

KRÓLOWA
BONA



KAZIMIERZ CHŁĘDOWSKI

KRÓLOWA BONA

A. Mykusiński



Królowa Bona

Drzeworyt z Deciusa: *Contenta de vetustatibus Polonorum*
z r. 1521

202700
1027493

KAZIMIERZ CHŁĘDOWSKI

PRZEDMÓW I DO DZI WYDANIA

K R Ó Ł O W A B O N A

OBRAZY CZASU I LUDZI

WYDANIE TRZECIE

L W Ó W
WYDAWNICTWO ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH
1932

Joanna
Majewska


7

KAZIMIERZ CHŁODOWSKI

B O L S H A
K R O T O W A

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

Biblioteka Główna
 Uniwersytetu Gdańskiego



1100221288



IX 4A/1a

VII 11G

11348104

Z DRUKARNI ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH
 POD ZARZĄDEM ADAMA WIERZBICKIEGO

800

I K 236/4/82

PRZEDMOWA DO III. WYDANIA.

Przygotowując drugie wydanie „Królowej Bony“, daliśmy wyraz przekonaniu, że książka ta nie przestała być jeszcze aktualna i że zadowolić może zupełnie dzisiejszego czytelnika. Szybkie stosunkowo wyczerpanie nakładu i to w czasach dla literatury niepomyślnych, potwierdziło słuszność tych przewidywań. Nieprzemijającą swą wartość zawdzięcza książka Chłędowskiego głębokim walorom, jakie posiada. Nie jest to bowiem suche zestawienie faktów pewnego okresu, lecz sylwetka wybitnej osobistości, wyczarowana piórem niezrównanego znawcy epoki i środowiska, a mimo że dziś niejeden szczegół możnaby uzupełnić lub zmienić, sam portret Bony w swych głównych liniach pozostać musi bez zmian. Ujęty w szereg luźnych szkiców, przedstawia on postać bohaterki wobec przeróżnych zagadnień bieżących, na tle rozmaitych sytuacji i ludzi, stanowiących jej otoczenie, a zakreśla go tak trafnie a przytem żywo i plastycznie, iż zapominamy o perspektywie czterech wieków, jakie dzieli rzeczywistość od jej odbicia na tych kartach.

A przecież ta właśnie perspektywa dziejowa, choć dyskretnie przytłumiona, pozwoliła na nakreślenie tak bezstronnego obrazu. O ile bowiem sąd literatury dawniejszej był w znacznej mierze echem krytyk współczesnych i wychodząc ze stanowiska polskiego oceniał tę nieprzeciętną kobietę na tle stosunków, w ramach których nie mogła się ona żadną miarą pomieścić, o tyle Chłędowski podjął tu próbę wszechstronnego jej scharakteryzowania z uwzględnieniem atmosfery środowiska, w jakim wzrosła. Czy obraz ten jest prawdziwy? Niewątpliwie tak, opiera się on bowiem przeważnie na świadectwach współczesnych, a jeśli pozostawiły one jakie luki, wypełniła je intuicja, zaostrzona niepospolitą znajomością ludzi tej epoki, w taki sposób, iż zyskał on tylko na wartości i życiowej prawdzie.

Współcześni, legenda i historia wydali na królową, obcą narodowi krwią i duchem, jednomyślnie wyrok potępienia. Surowość tego wyroku jest z pewnością większa aniżeli faktyczna wina. Ale czy mogło być inaczej? Czy królowa-matka, która własnym dzieciom nie umiała zaszcześcić odporności na intrygi swych przeciwników, mogła liczyć na pobłażliwość poddanych? Nie stanęła tedy w pamięci narodu obok Jadwigi i „matki Jagiellonów“ Elżbiety rakuskiej, ale to nie zmienia faktu, iż Bona była niewątpliwie jedną z najwybitniejszych indywidualności kobiecych, jakie się przez dzieje nasze przesunęły. W stosunku do takich postaci zadanie historii staje się bardzo wdzięczne, gdyż wychodząc poza odtwarzanie okoliczności zewnętrznych, w jakich obracało się ich życie, musi ona sięgnąć w głąb ich duszy i starać się nakreślić ich sylwetkę duchową.

Rola historii jako nauczycielki życia nie zmałała z chwilą odzyskania niepodległości, zmienił się jedynie jej charakter i kierunek. Stojąc przy warsztacie realnej pracy państwowej, żądamy dziś od historii nie substratu dziejów w postaci wyroków potępiających lub idealizujących, nie grania na uczuciu przez kontrastowanie światła i cienia, ale przedstawiania realnych stosunków i ludzi żywych, z wszelkimi ich wadami i zaletami, takich, jacy kształtowali losy narodu; w ich zmaganiu się z rzeczywistością szukamy nauki dla siebie, z ich doświadczeń pragniemy korzystać, zaniedbań unikać, wytrawność i zręczność naśladować, jednym słowem dążymy do nawiązania z przeszłością zerwanych nici. Postulatom tym książka niniejsza w zupełności czyni zadość, a wylaniająca się z jej kart postać królowej Bony, to nie mara wylęła w fantazji pisarza, ale osoba żywa, w której żyłach czerwona pulsuje krew, nie pozwalająca jej być w życiu tylko widzem.

Latorośl swoistej zupełnie rasy dynastów włoskich, których jedyną etyką była żądza panowania, dla których każda walka była sprawiedliwa, jeżeli była potrzebna, a każdy środek, choćby zdrada i podstęp, sztylet lub trucizna, był równie dobry o ile prowadził do celu, przeszczepiona w obce środowisko, stanęła od pierwszej niemal chwili w ostrem doń przeciwieństwie. Patrjarchalność stosunków, odmienność psychiki zbiorowej i indywi-

dualnej stwarzały odrębny świat, tak biegunowo różny od tego, w którym się wychowała, że przepaść, jaka istniała pomiędzy młodą królową a jej przybraną ojczyzną, była wprost nie do przebycia. Nie rozumiejąc społeczeństwa, na którego czele przyszło jej stanąć i wzajemnie przez nie niezrozumiana, wystąpiła z programem politycznym, który, choć podyktowany przez poważnie pojęty obowiązek, jeśli nie wobec narodu, to w każdym razie wobec dynastji, nie liczył się zupełnie z warunkami i szansami realizacji. Hasło wzmocnienia władzy królewskiej, ożywiające obóz reformatorów epoki zygmunto-wskiej, miało w Bonie gorliwą zwolenniczkę, mimo że program jej, z włoskich zaczerpnięty wzorów, oparcia władzy króla na przewadze materialnej, nie pokrywał się z dążeniami polskich mężów stanu. Rozbieżność programów, nie wykluczała zasadniczo współdziałania w realizowaniu głównego celu, jeśli jednak do tego nie doszło, winę ponosi charakter i wychowanie królowej, znajdujące wyraz w metodach, które rychło zjednoczyły przeciw niej całe społeczeństwo. Nie mogąc się pogodzić ze stosunkami, ani do nich nagiąć, pozostała przez całe życie obcą swej drugiej ojczyźnie, a gdy w ostatnich latach życia stanęła wobec ruiny wszystkich swoich zamysłów, zerwała brutalnie ostatnie nici, łączące ją z krajem i rodziną najbliższą. Syn, wzdragający się przyjąć pod dachem matki posiłek w obawie przed trucizną, jest może najwymowniejszym przykładem porażki, jakiej Bona na gruncie polskim doznała.

Przełóżając dzieje Bony i jej tragedję, niejednokrotnie zadajemy sobie pytanie, dlaczego ta nieprzeciętna kobieta, mając tyle danych, przeszła tak dziwnie przez życie, że tak mało pozostawiła po sobie śladów dodatnich. Wszak inteligencja i żywość umysłu, wykształcenie i bądź co bądź siła charakteru, przejawiająca się choćby w braku skrupułów, przy wielkim wpływie na sprawy państwowe i olbrzymich środkach materialnych, zdawały się sprzyjać możliwości odegrania w dziejach o wiele większej roli, aniżeli ta, która Bonie faktycznie przypadła w udziale. Rozwiązania tej zagadki szukać należy w jej usposobieniu. Przy niewątpliwej kulturze intelektu i energii była ona zanadto kobietą w ujemnym tego słowa znaczeniu. Niekonsekwencja i brak stałości, martwota uczuciowa i kaprys,

gwałtowność i małostkowość, tak silnie odbijające od jagiellońskiej łagodności i wielkoduszności męża i syna, nie tylko paraliżowały jej wszystkie wysiłki, ale podsycaly opór przeciw zamysłom i podrywały podstawy każdego jej działania. I nawet przy końcu życia, gdy z goryczą spoglądała na zupełny swój pogrom, nie zdobyła się ani na odruch uczucia, ani nawet na gest rehabilitujący, ale jako bezwolna igraszka namiętności stargała najświętsze węzły, które ją z życiem wiązały. A śmierć jej tragiczna nie była również spokojnem przejściem w niepamięć; sprawa sum neapolitańskich nie pozwoliła zagać jej imieniu, które długo jeszcze tłukło się w pamięci potomnych, jak upiorna mara.

Oto sylwetka duchowa Bony, nakreślona przez Chłędowskiego. Jej wierność historyczną podkreśla plastyka opowiadania, które przedstawiając każdy rys na tle sytuacji mistrzowsko odtworzonej, pozwala na zupełnie swobodne obcowanie z ludźmi i faktami odległej epoki. I ta właśnie harmonja między powieściową niemal formą opowiadania a ścisłością naukową, nadaje tej książce nieprzemijającą wartość.

Zasady, jakimi się kierował wydawca w przygotowaniu niniejszej edycji, streszczały się w dążeniu do zachowania całej świeżości i kolorytu opowiadania; zaniechał tedy wszelkich znaczniejszych skreśleń i uzupełnień, któreby mogły wpłynąć niekorzystnie na zwartość jednolicie pomyślanej całości i poza drobnymi i niezbędnymi retuszami oddaje ją w postaci pierwotnej, w przekonaniu, że dziś jeszcze przejrzy ją każdy oświecony czytelnik z niemałym zainteresowaniem i korzyścią.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

MŁODA KRÓLOWA.

I.

Żadne może miasto tak mało się nie zmieniło od XVI wieku jak Neapol. Przyroda zawsze głównym jego była wdziękiem; większe gmachy, jak wówczas tak i teraz pochodzą z czasów andegaweńskich z XIV wieku, a sposób budowania prywatnych domów odwiecznej trzyma się modły.

Wojewoda Ostroróg tak samo podziwiał w roku 1517 posępne mury zamku „Dell' Ovo“ albo pałacu królewskiego, jak dzisiejszy turysta z nad Wisły; a jedynej może zmiany trzeba szukać na jednostajnym „Piazza reale“, albo w porcie św. Łucji, gdzie zamiast równo wymierzonych uderzeń wioślarzy słychać żalony świst parowego kotła. Zresztą ludność ta sama: krzykliwa, różnobarwna, nie myśląca o jutrze, obojętna na dynastje, które się przechadzają po wspaniałych komnatach zamku, byle miała swoje „frutti di mare“ i mogła je popić siarczaną wodą u źródła św. Łucji...

Dla tej próżniaczej ludności wszelka uroczystość, wszelki zewnętrzny splendor jest przyjemnym powodem do zapełnienia ulic i wydawania piskliwych okrzyków. Dziwić nas też nie będzie, że cały Neapol wyległ na Chiaję, gdy się dowiedział, że córka księżniczki kalabryjskiej przybędzie do miasta, aby przyrzec swą rękę królowi z dalekiego kraju, gdzie wiecznie śnieg pada, i że w jej orszaku znajdują się posłowie tego króla, olbrzymi ludzie, w dziwnym stroju.

Pamięć aragońskiego domu jeszcze była za świeża, aby bliska temu domowi księżniczka nie miała także obchodzić ludności, tem bardziej, że krzywdy aragońskiego Ferdynanda łatwo

się zapomniało wobec nowych zdzierstw hiszpańskiego wicekróla, który i o królewskiej i o swej własnej musiał pamiętać kieszeni.

„La bellissima principessa Bona“ — we wszystkich było ustach, a i o jej matce Izabelli jeszcze nie zapomniano, bo stary Ferdynand niemało wydał pieniędzy, aby ją utrzymać na medjołańskim tronie, czego jednak nie mógł dokazać, a Francuzi wspierani przez papieża zajęli Medjolan...

W piękny więc dzień jesienny r. 1517, doczekała się ciekawa ludność triumfalnego prawie wjazdu księżniczki... Na białym koniu, jaśniejąca całą pełnią swej młodocianej urody, „o jasnych włosach, czarnych oczach, bardziej anielskich niż ludzkich“, o nader kształtnej kibici, jechała w towarzystwie matki przystojnej jeszcze, choć nieco znękaney kobiety i licznego orszaku przyjaciół i dworzan. Polscy jednak posłowie koło niej jadący, Ostroróg kasztelan kaliski i Jan Konarski archidiakon krakowski, zastępcy przyszłego jej małżonka Zygmunta, największą na siebie zwracali uwagę. Lud się dziwił, że nie znalazł pómcnych mężów w skóry zaszytych, ale w bogatych fantastycznych strojach, na przepysznych tureckich dzianetach. Ośmdziesiąt koni i 25 mułów postępowało przed orszakiem, niosąc na sobie wyprawę przyszłej królowej, suknie haftowane złotem i perłami, bieliznę nawet złotem wyszywaną i 60.000 czerwonych złotych w gotówce, jako pierwszą ratę posagu, która podobno była i ostatnią...

Kawalkata zatrzymała się przed „Castel nuovo“, przed siedzibą wicekróla, który miał sobie polecone z największą czcią przyjąć księżniczkę Kalabryi i uświetnić obrzęd ślubny, którego miał dopełnić poseł polski w imieniu Zygmunta.

Na wielkiej werandzie zamkowej, panującej nad morzem, zgromadziło się wieczorem całe towarzystwo. Księżniczka, posłowie i jej krewny kardynał esteński w towarzystwie Ariosta zwracali na siebie powszechną uwagę; księżniczka pociągała swą urodą, wdziękiem i uprzejmością, posłowie wzbudzali ciekawość, a kardynał słynął jako jeden z najprzyjemniejszych ludzi swego czasu i nie bał się bynajmniej stracić przy dowcipnym, fantastycznym Ariście, który mu nader często towarzyszył.

— Wierzej mi kardynale — mówił Ariost do swego projektora i przyjaciela — że pomimo wielkiego wstrętu, jaki czuję

do ołowianego powietrza północy, chciałbym być przecież królem polskim! Wenus, Diana i Juno oddały księżniczce po najpiękniejszym liściu z wieńca swej chwały; na jej skinienie Gotfryd-by nową podjął krucjatę...

— Rodzina Sforzów ma większe szczęście do kobiet aniżeli do mężczyzn — odrzekł kardynał — Jan i Franciszek jedni wielcy ich przodkowie nie wytrzymują porównania z taką Małgorzatą, która swym charakterem potrafiła męża z neapolitańskiej wydobyc niewoli, z taką Hipolitą lub Katarzyną...

— Gdybym nie pisał mego Rolanda, smok Sforzów dostarczyłby mi wątku do epepei, jakiej dwór ferarski nie słyszał!...

Rozmowę przerwali murzyni wnoszący stoły zastawione chłodnikami i najpyszniejszymi owocami, na jakie się mogła zdobyć dolina Caserty. Jasny, pogodny wieczór pokrył neapolitańską przystań, światło księżyca złotem i szmaragdami haftowało lekko podnoszące się fale, a duże woskowe pochodnie zapalane na werandzie, zdawały się tylko pożyczać światła od księżyca, tak zgodny z nim blask wydawały. Ariost oparł się o mурowaną balustradę i patrzył w morze...

— Myślisz o nowych obrazach do Rolanda? — zapytała go księżniczka podchodząc z cicha — przypatrz się cieniom skał Ischi, tamby mógł spokojnie marzyć Rugiero o swej kochance...

— Tak jest księżniczko, myślę o Rolandzie, ale myślę o tem, jak zmienić to co już napisałem...

— Nie mów tego. Zmieniać cośkolwiek w pierwszych księgach, byłoby świętokradztwem.

— Bynajmniej księżniczko. Pamiętasz scenę, w której czarownik Merlin pokazuje Baradamancie potomstwo, co sobie zasłuży na nieśmiertelny wieniec sławy?

— Tak, pamiętam dobrze, umiem ją prawie napamięć...

— Przeczuwam dzisiaj, że jeżeli dłużej pożyję, będę tam musiał obok ferrarskiego rodu wymienić nazwisko najpiękniejszej ze Sforzów...

— Sam nie wiesz, że w swem pochlebstwie czarną mi przepowiedziałeś przyszłość. Bohaterstwo sercem tylko albo krwią można okupić, a wiesz, że w moim rodzie nikt nie umiera naturalną śmiercią...

Okrzyki: niech żyje księżniczka! niech żyje królowa! —

przerwały rozmowę. Cała flotylla bark i czółen rzęsiście oświeconych pochodniami dopływała do brzegu; głos tysiąca moździerzy rozległ się po przystani, echem się odbił aż o skały Capri i Sorrentu.

Słowa Ariosta, śpiew, wspaniały obraz natury, wszystko to usposobiło księżniczkę poważnie i kazało jej myśleć o kraju, „gdzie morskimi bałwany miota wichery północny“, gdzie nieznanne pociągały ją losy. Bona bardzo była do matki przywiązana; nieszczęścia, jakie wspólnie przechodziły, pamięć zamordowanego ojca, wygnanie z Medjolanu, utrata jedynej opieki, jaką do niedawna miały w neapolitańskiej dynastji, wszystko zbliżyło je do siebie — gdyż nie miały nikogo, kto by bezinteresownie czuwał nad ich przyszłością. Prócz tego Bona była prawdziwą Włoszką, ubóstwiała słońce, nieświadomie rozkoszowała się pięknem przyrody, a sama myślała, że będzie musiała żyć w kraju, „w którym rok cały ciężkie przeciągają chmury“ — jak śpiewał Ariost — napełniała jej serce trwogą i niepokojem. Była to jednak chwila słabości, Bona się wkrótce ocknęła ze smutnych marzeń, gdyż nad wszystkie uczucia górowała w niej żądza panowania, właściwa nie tylko rodzinie Sforzów, ale wszystkim rodom tyrańskim ówczesnych Włoch, u których była jedyna tradycyjna wiara, jedyna dziedziczna moralność, dążenie do władzy...

Zręczny kardynał Hipolit d'Este, z krwi i kości prototyp owych ludzi XV wieku, u których trucizna i morderstwo wyrozumowanym, prawowitym środkiem były panowania, spostrzegł, że po czole księżniczki przebiegła chmurka tęsknoty...

— Odwagi, księżniczko! — powiedział, zbliżając się do niej — ci nad którymi mamy panować, nie powinni nas nigdy widzieć w chwili słabości. Polscy posłowie są tutaj i nie spuszczają z ciebie oka...

— Mówisz kardynale o mężczyznach, kobiety panują słabością! — szybko odpowiedziała Bona z uśmiechem...

Tymczasem Ostroróg kazał sobie nalać kielich wina, a zbliżwszy się do księżnej Izabelli, siedzącej przy stole, przemówił w te słowa:

— Najdostojniejsza księżno! Jak na twarzy Cerery, gdy bolała nad utratą swej córki Prozerpiny — widzimy troskę na

twem szlachetnem obliczu. Rozumiem księżno, że gdy się na ową cudowną przed sobą patrzysz krainę, trwożysz się, i przedstawiasz sobie nasze północne ziemie jakoby się po nich bezustannie powolna mgła pełzała i Eol mroźnemi dął wiatry. A przecież i u nas tak samo się dzieje, jak śpiewał urodzony w Italji Horacy, że:

Mroźne powietrze miła wiosna słodzi,
I lato ogniem się żarzy,
Po niem jesień ciężarna owocem nadchodzi,
Aż zima wszystko powarzy...

U nas nieinaczej, a jeśli czasem Boreasz zanadto się rozszaleje po nadwiślańskim kraju, to miłość serc polskich do swojej królowej najcieplejszą będzie dla niej osłoną i nie dopuści do niej zimna wiejącego od złych ludzi, które szkodliwsze jest od szronu srebrzącego nasze niwy i bory... Nabierz więc otuchy dostojna księżno i daj nam jak najrychlej dostojną swą córę, abyśmy ją mogli oddać w ręce królewskiego małżonka.

Podniósł się na to Prosper Colonna, krewny i wypróbowany przyjaciel kalabryjskiej księżny, on co miał Bonę do Polski odwozić.

— Dobrze powiedział poseł Jego Mości polskiego króla, miłość poddanych wynagrodzi księżniczce ciepło promieni rodzinnego słońca. Największą też dla niej otuchą do dalekiej podróży jest to, że wraz z przesławnym królem Zygmuntem będzie się mogła przyczynić do uszczęśliwienia narodu, który ciąglą walką z Turkami zasługuje się około chrześcijaństwa. Kobiecej ręce może się powiedzie zjednoczyć królów Rzeczypospolitej chrześcijańskiej, do tej wielkiej walki, która oddawna jest dążeniem stolicy apostolskiej i rzymskiego cesarza. Nie smutek to Prozerpiny maluje się na obliczu księżny, ale myśl wielka i wspańska, aby to małżeństwo ścieśniające jeszcze bliżej węzły pomiędzy cesarzem, Rzymem a Rzeczpospolitą Polską stało się groźną zapowiedzią dla tureckiej potęgi. Wobec bliskiego spełnienia tak radosnej dla chrześcijaństwa zapowiedzi, smutek ani chwilę nie powinien spoczywać na naszych twarzach, radujmy się i weselmy...

A zwracając się ku dworskim dziewicom, najpiękniejszym córom południa, zawołał:

Wystąp z jasnych podwojów, a twą boską stopę
Złóżywszy na poziomy grunt nasz, Kalliope,
Zanuć, piękna królowo! bądź na geśl ochotę,
Bądź masz puścić na cytrę palce jasnozłote...

Czekał tylko na to wezwanie chór dziewic, a głos lutni i pieśń połączyły się, aby resztę wieczora ubarwić prawdziwie poetycznym urokiem. Sama Bona tańczyła, a polscy posłowie tak się nią zachwycili, że nie mogli się powstrzymać, aby nie napisać królowi, że znając Włochy oddawna, piękniej tańczącej pani jeszcze nie widzieli.

II.

W dzień św. Mikołaja, patrona księstwa baryjskiego, mieli posłowie polscy w imieniu króla Zygmunta odbywać ceremonję ślubną z młodą księżniczką. W wigilję tej uroczystości, o późnej godzinie, kiedy już bramy królewskiego pałacu były zamknięte, wychodziły stamtąd trzy osoby zupełnie zakapturzone, tak, że trudno nawet było rozpoznać, czy pod dominami męskie, czy kobiece kryły się postacie. Za murami stała zaprzężona kolasa, a koło niej kilku jeźdźców ze spuszczonei przyłbicami. Milcząco weszły zakapturzone postacie do kolasy, a cała kawalkata ruszyła natychmiast ku Pozilipowi drogą prowadzącą nad morzem, do Puzzuoli. Rącze konie szybko zmierzyły milową przestrzeń i zatrzymały się w tej mieścinie w pobliżu ruin rzymskiego amfiteatru. Tam wysiadły nieznane osoby i poszły ku ruinom, dając znak rycerzom, aby spokojnie stali na miejscu.

Noc była jasna, księżycowa; cienie sterczących jeszcze kilku słupów porfirowych ogromnej wielkości padały na arenę, pozarzucając tu i ówdzie resztkami kapiteli, a od morza dochodził głuchy szum bałwanów rozbijających się o skaliste brzegi. Trzy cienie przesunęły się szybko przez arenę i stanęły przed wielką grotą, z której gorące, wulkaniczne bije źródło. Spostrzegł je starzec w zakonnem odzieniu, siedzący dotąd na marmurze przy wejściu do pieczary, a trzymając w rękę lampę podobną do starożytnego kagańca, wyszedł naprzeciw nim. Jedna z przybyłych postaci pokazała mu wielki brylantowy pierścień...

— Od godziny oczekuję księżniczki, proszę za mną... — rzekł starzec i zwrócił się do wnętrza groty.

Była to Bona w towarzystwie nieodstępnej swej mniszki Maryny i starszej damy dworu. Przyszła w przeddzień ślubu zapytać się najsłynniejszego wówczas nekromanty o przyszłe swe losy. Mniszka Maryna była już tutaj poprzednio, prosząc o wyznaczenie godziny, w którejby starzec mógł wywołać duchy, a na jego żądanie nocną wybrano porę. Odurzające powietrze wionęło z pieczary, jakby nasycone dziwnymi jakimiś aromata-ami, tak, że kobiety musiały usiąść na odłamku starej kolumny, aby się nie zachwiać na nogach. Starzec pozapalał światła, a cała pieczara żółtawym zajaśniała blaskiem; w głębi biło źródło gorącej wody, wyrzucając z siebie kłęby pary, w których się łamały żółtawe promienie.

— Abrakadabra! — zawołał nekromanta przytłumionym głosem — potężne duchy rodziny Sforzów wychodźcie! Rozkazuję wam w imię Bellephora, wychodźcie!

Na te słowa z gorącego źródła zaczął się wynurzać w stal zakuty rycerz o groźnym obliczu i zawisł w mgle utworzonej z pary. Kobiety poznały w nim protoplastę rodziny Sforzów, Jakóba Attendola z Cotignoli, najdzielniejszego condottiera XV wieku, którego portret dotąd zdobił mury baryjskiego zamku. Księżniczka drżała jak liść topoli, wschodnim poruszany wiatrem...

Rycerz zaczął mówić:

— Ostatnia jesteś księżniczko z mego rodu, bądź wierna jego tradycji. W przeciągu jednego wieku staliśmy się pierwszymi książętami Italji, umieliśmy korzystać ze szczęścia. Fortuna tym ulega, którzy ją nielitościwie zaprzęgą do swego triumfalnego wozu... Ona i ludzie niech będą twemi sługami... Nad ludźmi zapanujesz, jeśli wstydem nazwiesz klęskę, ale nie zwycięstwo, do którego się dochodzi podstępem. Z możliwym nie wszczynaj walki, jeśli ją wszakże zaczniesz, to zabij go... Obrażaj ludzi tylko wtenczas, jeżeli się nie potrzebujesz obawiać ich zemsty... Do walki szukaj sposobnej chwili, nie oglądając się za przyczyną, bo każda walka jest sprawiedliwa — jeżeli jest potrzebna...

Domawiając tych słów, zniknął rycerz w żółtawej mgle...

— Ukaz się duchu Jana Galeazza! — zawołał znowu starzec, a na ten rozkaz wynurzył się mąż blady, o dzikim, ponurem wejrzeniu, istny obraz wynaturzonej potęgi...

— Mój ojciec! — zawołała Bona z przerażeniem i zakryła twarz rękami...

— Strzeż się trucizny — mówił duch słabym głosem — od niej zginąłem!

Widok cienia ojca straszne na księżniczce zrobił wrażenie; słowo „trucizna“ brzmiała echem grobowem. Oczy mgłą jej zasły, zemdlona oparła się o wilgotną ścianę pieczary, a gdy po chwili przed siebie spojrzała, nie widziała znowu nikogo prócz nekromanty stojącego z lampą...

— Zapamiętaj słowa, któreś słyszała — mówił czarny człowiek — od nich twoja przyszłość zależy...

Następnie podał jej małą czarną szkatułkę z dwoma flaszeczkami; na jednej był wymalowany wąż, na drugiej płonąca pochodnia...

— Schowaj to księżniczko — powiedział — jako skarb najdroższy, i pamiętaj, że wąż zabija, a pochodnia miłość i życie rozżarza. Panią będziesz serca i życia ludzkiego, ten wszakże tylko panować potrafi, kto umiarkowanie i oględność zapisze na swoim sztandarze.

Dając jej te rady odprowadził nekromanta Bonę do dwóch towarzyszek stojących u wejścia pieczary, zagasił światło i zniknął w ciemnościach. Księżniczka oparła się na ramieniu mniszki Maryny, a tak była wzruszona i osłabiona, że zaledwie doszła do czekającej na nią kolasy...

Nazajutrz z rana wysłuchiwała krzyżem leżąc mszy w kościele św. Januarego i spowiadała się, przygotowując się w ten sposób do obrzędu, który może dla niej był ważniejszy, aniżeli dla każdej innej kobiety, gdyż nie znała swego przyszłego męża i narodu, na którego czele losy ją postawić miały...

Po południu salę w Castel nuovo znakomici zaczęli napełniać goście, oczekując orszaku księżniczki, która mieszkała w bocznym skrzydle połączonym gankami z komnatami przeznaczonymi na oficjalne przyjęcia. Posłowie polscy udali się po pannę młodą do komnat księżnej Izabelli i stamtąd wraz z całym jej orszakiem odprowadzili księżniczkę do wielkiej sali.

Juno byłaby wtedy pozazdrościła Bonie majestatycznej piękności. Bogaty strój podnosił jej wdzięki, a miała na sobie długą suknię z karmazynowego aksamitu, haftowaną złotem i obszytą gronostajami; greckie rękawy spadały aż do ziemi, a ogon sukni nosły dwie panny ze znakomitych rodów Kalabrii. Lekki gazowy welon pospinany gdzie niedzie perłami jasne ubierał włosy, a szyję ozdobił sznur wielkich pereł, na którym był zawieszony medaljon ze szmaragdu, rubinu i wielkiej perły...

W sali powitał pannę młoda poseł cesarski w imieniu swego pana, a około niego zgromadzeni byli posłowie innych państw i wice-król neapolitański. Kardynał Hipolit Esteński wystąpił naprzód, a kładąc na ustawionym przed Boną stole krzyż szmaragdowy z relikwią św. Mikołaja, tak do niej przemówił:

— Odbierz ode mnie księżniczko krzyż, który ci wskaże, coś winna wynieść z rodzinnego kraju, a co nowej ojczyźnie masz złożyć w ofierze. Znak krzyża — to znak wiary, relikwie patrona — to węzeł łączący z tą ziemią, na której wzrosli twoi przodkowie. Bądź oddana wierze i wdzięczna swemu krajowi, a z pewnością znajdziesz dość w swem sercu uczucia, aby spełnić obowiązki, których król i naród polski wymagać będą od ciebie...

Całe zgromadzenie widocznie się ucieszyło, że kardynał przeciw ówczesnemu zwyczajowi z tak krótką wystąpił przemową. Księżniczka i Ostroróg przystąpili do stołu, za którym stał kardynał...

— Spełnij twe poselstwo! — wezwał następnie Ostroroga. Na co poseł zwrócił się do księżniczki, a wkładając jej pierścień na palec, mówił:

— Dostojna Bono! Jego Królewska Mość król Zygmunt, pan mój najmiłościwszy, przysyła ci z wolnej woli ten pierścień ślubny i w jego imieniu wręczam ci go, wobec tego szlachetnego zgromadzenia.

— Również z wolnej woli pierścień ten przyjmuję — odpowiedziała Bona i ceremonia aktu ślubnego była spełniona.

Polska miała królowę, która przez lat kilkadziesiąt poważnie wpływała na jej losy.

Wystawne zabawy musiały się w XVI wieku z każdą łączyć uroczyścią, to też zaraz po odbytej ceremonji grono tanecznie wbiegło do sali, Hymen ustąpił miejsca Kupidynowi. Krewni

i przyjaciele domu Sforzów składali przed panią młodą drogie upominki, a i Ariost zbliżył się niosąc kosz najpiękniejszych kwiatów i owoców, a stawiając go mówił:

— Gdy Afrodyte wynurzyła się z łona oceanu i stopą swą ziemi dotknęła, krople piany morskiej znaczyły jej pochód, a z kropli tych powstała róża, królowa kwiatów... Więc ja ci Bono nie życzę owych świeckich triumfów, których pragną dla ciebie mężowie siły i czynu, ale radbym, abyś swej nowej ojczyźnie przyniosła to w darze, co ziemia włoska ma najpiękniejszego — kwiaty i owoce. Niechaj wszędzie, gdziekolwiek przejdiesz, pną się róże tak piękne, jak po nagich skałach Pozilipu, niech wyrastają lilje godne zdobić mury Sorrentu!

— Niech żyje Ariosto! — rozległo się w sali. — Niech żyje poeta Ferrary! — a żadnego podarku, ani krzyża z szmaragdów, ani naszyjników zdobnych rubinami nie przyjęła młoda królowa tak chętnem sercem, jak skromny dar autora „Szalonego Rolanda“.

Na zakończenie pamiętnego wieczora odegrano w pobocznej sali „Menechmy“ Plauta, komedję niezupełnie może stosowną do urozmaicenia ślubnej uroczystości, gdyż w niej małżonkowie niewielkiem cieszą się szczęściem, ale modną podówczas i graną nie na jednym ślubnym obchodzie, a pomiędzy innemi i na weselu Lukrecji Borgii. — W scenie, w której chcą schwycić Menechina, gdyż grozi żonie i teściowi pobiciem, zawołał aktor:

— Rzecz dziwna, że pod rządem potężnej Bony mogą się dziać podobne nadużycia!

Pierwsze więc pochlebstwo powiedział jej histrjon — później i wojewodowie zdobywali się na podobne słowa.

Za miesiąc wyjeżdżała królowa pod opieką Prospera Colonna do Polski. Z licznym orszakiem przebyła raz jeszcze kalabryjskie góry, aby się dostać do morza i stamtąd okrętem popłynąć do Forum Julium. Widziała po drodze Karyntję i Styrję, w Villach się zatrzymała, aby przyjąć wysłane naprzeciw niej polskie poselstwo, a wreszcie przez Rakuzy, jak wówczas mówiono, 15-go kwietnia 1518 przybyła do Krakowa. Znający ją tylko z medaljonu Zygmunt czekał jej z upragnieniem, bo się rozkochał w pięknem Włoszki obliczu i rad był na tronie po sobie zostawić następcę.

III.

W jednej z kamienic na Kanonnej ulicy w Krakowie mieszkał ksiądz Andrzej Krzycki, poeta, satyryk, niedawno jeszcze sekretarz królowej Barbary Zapolskiej, pierwszej małżonki Zygmunta I, obecnie trochę zapomniany i opuszczony, spędzający dnie na pisaniu wierszy, dokuczających ludziom, że się na nim nie poznali, i na walce z wierzyicielami, którzy mu nie dawali spokoju.

Mieszkanie poety — to jedna ułoga izdebka, zapelniona książkami i papierami, ozdobiona wizerunkiem Chrystusa na krzyżu z bukszpanu — pamiątką z Włoch.

Jakaś wielka myśl musiała zabłysnąć poecie, bo siedział przy stole z niezwykle rozpromienioną twarzą i oderwał się na chwilę od troski o chleb powszedni i o swą przyszłą karierę. Chciał nową królową bohaterskim przywitać wierszem, marzył o możebnym jej wpływie, o świetnej przyszłości poezji i poetów na jej dworze, słowem przepyszny widział przed sobą obraz.

Chór bachantek zdawał się go dolatywać, naprzód cichy i spokojny, później wyraźniejszą tworzący harmonję. Bogowie Olimpu zstąpili na ziemię i szli ku Polsce z triumfem, Diana, Wenus i Atene w płasach, Feb i Pan z Faunami, całe to grono przybliżało się, dawało oznaki radości. Rozciekawiony poeta zbliżył się do postępującej naprzód muzy i z ciekawością zapytał:

Mów, Erato, co znaczy ta wasza wesołość?
Jakiż los, jaki powód was do nas sprowadził?
Ta stanąwszy: Czycielu nasz drogi, powiada,
Lutnię teraz na lepszy ton nastrój i pienia
Lejąc, winszuj ojczyźnie i sobie zaszczytu.
Oto! piękną Auzonię i słodki Helikon
Opuściwszy, na północ waszą, na wyścigi
Zdążamy wszyscy. Dosyć Grekom już daliśmy
I Włochom; teraz losy kolei ozdobić
To królestwo darami naszemi kazały.

— Cha... cha... cha!... — zaśmiał się stojący przy drzwiach Koszyrski, szlachcic z sochaczewskiej ziemi, dowcipny dworak, który wszedł był zcicha do komnaty — czyż nie widzisz w tem gronie muz i bachantek także włoskich doktorów, muzykantów,

kuglarzy, błaznów wszelkiego rodzaju; czyż nie widzisz, jak cała ta zgraja zajada „raki, flaki, żabki, sałatę i ślimaki“, a po drodze zbiera czerwone złote i chowa je do kieszeni? Zstąp z Parnasu poeto, a zastanów się raczej, jakby tę chmurę szarańczy nieszkodliwą uczynić?

— Duch sprzecznosci mówi z ciebie Koszysiu — po przyjacielsku odezwał się Krzycki — wkrótce zmienisz zdanie! Gdy tylko owe czarnookie zobaczysz muzy, staniesz się jednym z ich największych czcicieli, a reszta twej fortuny pójdzie na naszyjniki i na sznury pereł, któremi ozdobisz córy południa...

— Obyś tego w złą nie wymówił godzinę! — odpowiedział Koszyski i zasępił się, bo ochoty do życia było w nim dużo, a ojcowizna coraz bardziej topniała...

Na drugi dzień obydwaj przyjaciele znajdowali się w licznym orszaku królewskim, wyjeżdżającym naprzeciw Bony ku Morawicy; a świetny to był orszak! Król Zygmunt wprawdzie już niemłody, ale dzielnie się jeszcze trzymał i wspaniale wyglądał w karmazynowym sobolowym płaszczu, na pysznym koniu, którego od sułtana dostał w podarunku.

Najwydatniejszą około niego postacią był Jan Łaski, arcybiskup gnieźnieński, znakomity mówca, niejednokrotnie do poselstw używany, a chociaż złośliwe języki, a pomiędzy innymi i Krzycki, wiele miały do zarzucenia jego herbowemu korabiowi, a przedewszystkiem, że zanadto chciwie do siebie przygarnia kościelne dochody, to przecież znakomity urząd, pamięć na niejednokrotne krajowi przyniesione usługi nie tak łatwo go mogły pozbawić zaufania królewskiego.

Na naznaczonym miejscu, w polu, rozesłano szkarłatne sukna, rozbito namioty i oczekiwano królowej. Spokojny Zygmunt może nigdy nie okazywał tyle niecierpliwości co obecnie, niemało bowiem był ciekaw małżonki, która się jego posłom „nimfą a raczej boginią być zdała“.

Nareszcie ujrzano wdali zbliżający się orszak; kardynał esteński przybył pierwszy konno, król przywitał go jakby dawnego znajomego...

Działa zagrzmiały, okrzyki, wiwaty, szcęk zbroi, rzenie koni — wszystkie te głosy zdawały się tworzyć wesoły chór rycerstwa obchodzącego zwycięstwo.

Na kilkaset kroków przed namiotem Colonna spał rumaka i dał hasło całemu orszakowi do pośpieszenia. Królowa z kilkoma damami jechała w krytym powozie, wybitym nazewnątrz szkarłatem; pacholeta królewskie poskoczyły, aby konie zatrzymać, polscy posłowie, księżę Konstanty Ostrogski i Jan Zaręba, będący w orszaku królowej, otworzyli drzwiczki powozu i wysadzili dostojną panią na miejscu suknem przykrytem.

Król tymczasem wychodził z namiotu i spotkał się prawie na pół drogi ze zbliżającą się ku niemu Boną...

Marzenia go nie zawiodły, córka Sforzów jaśniała w tej chwili całą pełnią swej południowej urody, spojrzała nań i pochyliła przed nim głowę. Zygmunt ją czule uściskał...

Znów zagrzmiały działa, trąby i fanfary rozniosły po pobliskich górach radosną wiadomość o przybyciu królowej, Zygmunt zaś do namiotu prowadził przyszłą swą żonę. Tam powstał Łaski i przednią łącińską miał do królowej orację... Bona wprowadzie rozumiała dobrze po łacinie a nawet tym językiem mówiła, ale w tej chwili nie byłaby słuchała nawet samego Apollina, gdyby ją był złotemi obrzucał słowy; od tego był sekretarz Ludovico; on miał wysłuchać mowy i stosownie na nią odpowiadać...

Koszyrski również nie słuchał mowy stojąc na boku, ale uważał, że Bona śmieiej okiem rzucała, aniżeli podstarzały Zygmunt, który zdawał się być olśniony czarującym widokiem młodej swej małżonki.

Mowy, uroczyste powitania i „epitalamia“, były plagą zwyczajów XVI wieku. Wtedy właśnie, kiedy ktoś najmniej był usposobiony do słuchania krasomówczych zwrotów, musiał rad nierad wystawić się na powódź wierszy, oracyj, niezabawnych obchodów, a panujący upadali nieraz pod ciężarem słów sprowadzających Jowisza, Minerwę, dziewięć muz i Bachusa z całą rzeszą Satyrów, aby tylko większe wywołać wrażenie... To też oboje królestwo byli nader zadowoleni, gdy już znowu wsiedli na koń i przy odgłosie dział zbliżali się do stolicy...

Kraków wystąpił uroczyście, wspaniale. Gród Jagiellonów chciał się pochlubić wobec cudzoziemców, że i on potrafi sprostać zagranicznym miastom. Wysokie, wąskie domy, o poważnym, kamiennym obliczu, przystroiły się w bogate dywany, w tureckie makaty, w herby Sforzów i Jagiellonów, a na murach, w strzel-

nicach, tam gdzie działo i samopał zwyczajnie swą morderczą szczyrzyły paszczę — widziałeś dzisiaj piękne twarze mieszczyk w złote oprawne czepce, widziałeś wstążki dziewcząt z ponad Wisły, mało się różniących strojem od dzisiejszych wieśniaczek ze Zwierzyńca i Krowodrzy, widziałeś zazdrosne miny pań, które nie mogły brać udziału w triumfalnym orszaku.

W katedrze, na zamku, znowu powitania — znowu oracje. Tym razem ksiądz biskup Tomicki, podkanclerzy, prawa ręka Zygmunta w zagranicznych sprawach, popisywał się swą wymową. Biedna królowa późnym dopiero wieczorem mogła się dostać do swych komnat i cokolwiek odpocząć po podróży...

We dwa dni później nastąpiła koronacja, a z nią uczty, turnieje, przedstawienie znakomitych osób, wręczanie podarków, tak że dopiero w dzień po koronacji znalazła się Bona w ściślejszem kole i po raz pierwszy od przyjazdu spokojniej się przypatrzyła nowym dla niej twarzom.

Przyjmowała królowa w nowo urządzonej komnacie, najpiękniejszej w królewskim zamku. Ściany były tam obite jasno-niebieskim adamaszkiem, haftowanym w srebrne, kabalistyczne figury. Tutaj wychylało się srebrne słońce z uśmiechniętą twarzą, ówdzie jaśniały gwiazdy, albo ciekawe rogi księżycy, gdzie indziej splecione były dziwaczne monogramy, albo instrumenta matematyczne, wszystko bez porządku porozrzucane po bogatej makacie. Stoły, stoliki, krzesła, karła, szafki i sekretarzyki z czarnego, słoniową kością wykładanego drzewa — takąż samą były pokryte materją, a szczególną uwagę zwracała przesłiczna czara z szafiru, na złotej osadzona nóżce, i zegar w hebanowej oprawie, osypany turkusami.

Tam Bona zgromadziła swych dworzan, tam się Zygmuntowi piękniejsza niż dotąd wydała. Ostrogski, Tomicki, Łaski naprzemian opowiadali jej szczegółowo o ludziach, którzy się jej w ostatnich dniach przesunęli, opowiadali o polskich zwyczajach, węgrzyn z piwnic jeszcze Aleksandra szumiał po niedawnej biesiadzie, więc serca były wylane, rozmowa wesoła, swobodna.

— Niebezpiecznego przywiozłaś nam królowo nieprzyjaciela — mówił do Bony Tomicki wskazując na jej fraucymer — i dzielni rycerze Ostrońskiego podobno mu się nie oprą.

— Dobrze sobie wróżę z tego, że tak zgodne słyszę spostrze-

zenia — odpowiedziała królowa — gdyż i moi włoscy dworzanie widząc piękność tutejszych kobiet mówią, że Kraków będzie dla nich Kapuą...

Wtem pacholę podbiegło do królowej mówiąc, że Stańczyk z całym towarzystwem błaznów prosi o posłuchanie...

W przyległej komnacie dały się słyszeć dzwonki błazeńskich czapek. Stańczyk pozbiierał znakomitszych błaznów z pańskich dworów, podówczas w Krakowie bawiących, a trzymając w rękę „cepy na pstrym kiju z lisiemi ogonki“ szedł naprzód z wielką powagą.

— Czego żądasz trefnisiów wodzu? — pytała go Bona.

— Poznałaś, najmiłociwsza królowo — odpowiedział Stańczyk — tutejszych biskupów, hetmanów, wielkich i małych panów, poznajże i błaznów. A tych poddanych będziesz królowo najwięcej miała w swej Rzeczypospolitej. „Stultorum numerus est infinitus“ — niezliczona moc głupców na świecie — powiada przysłowie. W imieniu więc głupców tego królestwa hołd ci złożę przychodzę. Klienci moi do wszystkich liczą się stanów, znajdziesz ich w senacie, na poselskich ławach i na krakowskim dworze, a w największej musisz ich mieć obserwacji, bo najtrudniejsze nad nimi panowanie. Nikt nie przewidzi — jak głupiec postąpi... Racz więc królowo, mając wzgląd na naszą liczbę, protegować nas na kasztelanje, biskupstwa, racz i wojewodą którego z nas zrobić, a my z wdzięczności okrzyknem cię królową naszego stronnictwa...

— Dość tego Stańczyku! — przerwał król.

— Zdaje mi się — powiedział zcicha kardynał esteński do Bony — że błazen mimowoli dobrą ci królowo daje radę, bo w tym kraju mądrzy sami chcieliby panować, więc na głupich tylko opierać się można...

ROZDZIAŁ DRUGI.

BUNT GDAŃSKI.

I.

Niezwykły, złowrogi ruch panował w Gdańsku... Walka religijna wrzała w jego murach; pomiędzy niemieckiem kupiectwem, skłonmem do luteranizmu, znać było na chwilę przytłumione namiętności, czekające tylko sposobności, aby nowym wybuchnąć płomieniem. Przed kilku miesiącami wyznawcy nowej wiary byli górą, pospólstwo skłonne do wszelkich ruchawek pomogło im w wydaleniu katolickich księży, w zrzuceniu istniejącej rady miejskiej, burmistrza i urzędników przychylnych Rzymowi. Bogactwa kościołów stały się łupem gminu, który nowe wybrał sobie władze.

Król Zygmunt czem prędzej wysłał tam kilku poważnych senatorów z poczem zbrojnych ludzi, aby uspokoiли umysły i wdali się z pospólstwem w układy. Na Krzysztofie Szydłowieckim, kanclerzu wielkim koronnym i podkanclerzem Tomickim najwięcej polegano, mężowie to byli bowiem umiarkowanego umysłu i wielkiej prawości; im więc w tej pacyfikacji główna wypadła rola. Obok nich znaleźli się w Gdańsku biskupi Drzewicki i Latałski, wojewoda Stanisław Kościelecki, Łukasz z Górki i Andrzej Tenczyński.

Na ulicach czuć było ponurą ciszę, złowrogie zawieszenie broni; postacie kupców w długich czarnych szubach omijały dworzan panów polskich, skryci zaś pomiędzy mieszczaństwem katolicy krzatali się, aby ułatwić trudną pracę kanclerzowi. Król miał przybyć wkrótce ze znaczną liczbą zbrojnych i ostatecznie sam ustalić w mieście porządek.

Ulica jednak nie zapowiadała spokojnego załatwienia spo-

rów — wszędzie grupy ludzi, sklepy poczęści zamknięte, przed kościołem Panny Marji wielkie zbiegowisko. Co się stało?... Czy znów rabunki? Czy kto legł pod nieprzyjacielskiem żelazem? Bynajmniej, tym razem ukryta nienawiść w paszkwilu ulgi szukała. Na drzwiach kościelnych przybito rycinę przedstawiającą wychudłą megerę z węzami na głowie zamiast włosów, trzymającą u piersi małe dziecko z potrójną papieską tiarą, u spodu napisano:

„Hie wird geboren der Widerchrist,
Megera sein Saugamme ist.“

Poważny kupiec gdański Bischof kazał zedrzeć rycinę i wzywał do rozejścia się. Z tłumu odzywały się przeciw niemu głosy i kto wie, czyby był stamtąd wyszedł bez szwanku, gdyby niespodziewany tętent koni nie był od niego odwrócił powszechnej uwagi.

— Książę Jerzy pomorski! Siostrzeniec królewski! — powtarzano z ust do ust, spoglądając na wysmukłego rycerza w stal zakutego, jadącego na czele dwustu wybornie uzbrojonych dworzan...

— Skąd on tak szybko przybył? — mówili z niepokojem zwolennicy reformy — sprawa nasza zaczyna być w niebezpieczeństwie; obcego wojska coraz więcej w mieście. I sarkali na radę miejską, że zamiast zamknąć bramy i nie wpuścić ani jednego stronnika Zygmunta, chce się wdawać w jakieś układy, które oddadzą miasto na łaskę i niełaskę królewskich.

Tak jednak nie było; rada miejska myślała o uwolnieniu się od obcej siły, układała, że podstępem wydali z miasta siostrzeńca królewskiego i cały zastęp nieproszonych pacyfikatorów. Uchwaliła na tajnym zebraniu, aby oczekiwać spokojnie chwili, kiedy się król zbliży do bram miasta. Wtedy całe polskie rycerstwo wyjedzie na jego spotkanie, a gdy już będzie za miastem, rada każe bramy zamknąć i z murów króla zamiast chlebem i solą — ołowiem i ogniem powita... Bischof jednak uwiadomił o tej uchwale Zygmunta, a król tajemnie wydał rozkaz, aby na jego spotkanie nikt z Polaków nie wyjeżdżał.

Tak się też stało; w trzy tysiące koni wjechał król do miasta i zajął swój zamek. Popłoch panował pomiędzy luteranami, głu-

che wieści o sądach, o egzekucjach krążyły z ust do ust. Luterska rada miejska jednak nie zasypiała sprawy. Idźmy więc za nią.

Na ulicy św. Jana tuż obok bramy tego samego nazwiska, był zamożny dom kupca Fischera, główny skład kolonialnych towarów. Przed domem, daleko w ulicę wystawał kamienny ganek, okolony żelazną barjerą, której głowy smoków niegościnnie spoglądały na wchodzących. Fasada czteropiętrowej kamienicy bogato ubrana była w sztukaterje, a złocene postacie Temistoklesa, Judasza, Machabeusza, Aleksandra Wielkiego i Hannibala przegradzały wąskie okna pierwszego piętra i dziwiły się zapewne, dlaczego ich losy na to samo sprowadziły miejsce. Duże drzwi żelazne sklepu zarzucone beczkami i pakami widocznie nie wpuszczały groszowej publiczności, ale tylko handlarzy, co stamtąd na całą Polskę rozwozili zamorskie bakalje.

Do tych drzwi wszedł wysoki mężczyzna w futrzanej szubie i sobolowej czapce, a nie zważając na kupczyków zajętych w sklepie, zapukał do składu położonego w dziedzińcu. Otworzył mu otyły staruszek, w zatłuszczonych sukniach, widocznie posiwiały na ulicy św. Jana, w tym sklepie.

— Antychryst! — powiedział wchodzący, a staruszek wyjął na to słowo wielki klucz z kieszeni, poprowadził go jeszcze do dalszych drzwi żelaznych, obrócił dwa razy w skrzypiącym zamku i wpuścił go do środka.

Dziwaczny się tam przedstawiał obraz. Wśród beczek z towarami, kosów cytryn i cykaty, porozwieszanych sztokfiszów i kręgów holenderskich serów, siedziało na worach i pakach kilkunastu gdańskich kupców. Wszyscy rzec można byli do siebie podobni, każdy z nich bowiem miał okrągłą twarz rumianą bez zarostu, i po każdym znać było, że sobie w życiu piwa nie żałował. Kilka świec woskowych stało w wielkich srebrnych lichtarzach, gdyż światło dzienne zaledwie się przedzierało przez małe pajęczyną oprzędzone okienka, a ostry zapach ryb, sera i korzeni roztaczał się dokoła.

Wchodzącego przywitano z szacunkiem, gdyż był nim Jan Schultze, członek rady miejskiej i prowizorycznego rządu, jeden z najzamożniejszych obywateli Gdańska, a przytem najzagorzalszy protektor luteranizmu.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! „Pereat Antichristus!“ — ozwał się wchodzący.

— „Pereat Antichristus!“ — powtórzyli mieszczanie, a byli to po większej części członkowie rady miejskiej.

— Cóż nam Schultze nowego przynosisz? — zapytał go Fischer, właściciel domu, odróżniający się od innych dużemi okrągłemi oczami.

— Cóżby przynosił nowego? Wszystko stracone — wtrącił inny z radnych, Homann.

— Bóg z tymi, którzy w nim ufność pokładają — odpowiedział znacząco Schultze — przychodzę z nowym planem, wymagającym wszakże wielkiej oględności i odwagi...

— Bóg wspiera tylko roztropnych — odpowiedział znowu Homann — a roztropność radzi zaniechać na teraz wszelkiego przedsięwzięcia, które się nanic nie przyda, i wejść z królem w układy.

— Nigdy w układy! — namiętnie wykrzyknęło kilku mieszczan — mów Schultze!

— Wszak wiecie — mówił Schultze — że w piwnicach królewskiego pałacu są składy puzkarskiego prochu.

— I cóż z tego? — wtrącił niecierpliwym Homann.

— Nie przerywaj! — zawołali inni.

— A za miastem, za murami, leżą stajnie królewskie — dodał znowu Schultze — radziłbym zatem, aby w nocy po świętym Filipie i Jakóbie zapalić te stajnie. Kiedy zegar giełdowy wskazywać będzie dwudziestą godzinę, łuna ma się ukazać za murami; rozruch się stanie po mieście. Rzymczyki pobiegną ratować dobytek króla, ani Szydłowiecki, ani Kościelecki, ani Kmita się tutaj nie ostoi, ale każdy będzie chciał swój płaszcz osmolić, aby się pochlebić królowi. Wtedy rzucić lont do lochów — niech wyleci w powietrze królewski pałac.

— Łatwo powiedzieć, ale wykonać trudniej! — zauważył znów Homann.

— Biorę to na siebie, mam zręcznych chłopców na moim okręcie, potrafią i do królewskich stajen niepostrzeżenie się zbliżyć i nić smolną przeprowadzić do lochów.

— Chcecie zgładzić tego, co najmniej winien — mówił znów Homann — chcecie starego króla wraz z pałacem wysadzić w po-

wietrze, a zapominacie, że pozostaną gorsi od niego biskupi? Choćby się ten plan udał, nie byłoby z niego radości, Polacy wrócą pomścić króla, a wtedy miasto nasze obróca w perzynę — nie wiecie chyba, jak są przywiązani do swego Zygmunta!

— Byleśmy ich mieli za murami, niczego się wtedy obawiać nie potrzebujemy! — odpowiedział Schultze — Bogu dzięki mamy dość śmigownic i moździerzy i kilkoletnie oblężenie w najgorszym razie wytrzymać potrafimy; żywność nam od morza przyjdzie...

— Zresztą — mówił znów Fischer — sami Polacy musieliby z nami szukać zgody, bo kto im kupi drzewo i pszenicę? Kto miody i woski wywiezie do Holendrów?

— Dobrze mówicie! Zgoda Schultze! — wołali radni.

— Większość przemaga — odpowiedział Homann — ale niech nieszczęście, które na miasto sprowadzicie i na wasze dzieci, nie będzie przywiązane do mego nazwiska.

Długo jeszcze radzili kupcy ostrożnie i poważnie, jak na gdańskich mieszczan przystało, poczucie jednak sił własnych, ogromne bogactwa, do jakich przyszli zamorskim handlem, nienawiść do wszystkiego, co z rzymskim kościołem stało w styczności, przeważyło szalę na stronę Schultzego. Wszakże przed kilkunastu dniami byli już panami miasta, zakosztowali rządów, zapewnili przyszłość religijnej reformie — niełatwo im przeto było porzucić myśl panowania. Zresztą kilku z nich obawiało się, aby nie byli pociągani przed królewskie sądy, gdzie może im śmierć groziła, a może tortury? Radzili przeto jeszcze długo i ustanowili projekt przyszłej obrony miasta w razie, gdyby ich plany się powiodły.

Około północy dopiero, cichaczem, po jednym wymykali się z domu Fischera, a zielone wody Motli chwytały przechodzące cienie i szemrały zeicha, jakby odradzając niebezpiecznych przedsięwzięć ludziom, którzy urosli łokciem i rachunkiem, a nie bronią i wojennym podstępem.

Nazajutrz Gdańsk spokojniejszy się zdawał niż zwykle, król wezwał miasto do zabezpieczenia wojsku żywności, więc jedni z radnych zgromadzili się w ratuszu rozkładając pomiędzy siebie ciężary, inni stali na pomoście, doglądając ładowania towarów i obliczając spodziewane zyski.

II.

Tłumy ludu zgromadziły się przed giełdą, długi rynek literalnie był zapełniony falą poruszających się głów. Mimo to głęboka cisza panowała wokół, a każdy niemal krok głośniejszy na bruku, odbijał się o poważne mury kupieckiego miasta. Dwustu rycerzy na koniach ustawiło się po obydwu stronach schodów giełdy, a przed schodami kilkuset pieszych pachołków przegradzało tłumy od głównego wejścia. Przez szeroką, na oścież otwartą bramę, widać było we wnętrzu migające płomyki jarzących się świec...

— Czterdziestu pod miecz oddadzą! — szepnął ktoś ze stojących bliżej giełdy, a wieść w oka mgnieniu rozeszła się po rynku i wzrosła do poważnej liczby czterystu skazanych.

Więc tam sąd swe groźne odbywał roki, więc sprawiedliwość tak licznych wymagała ofiar?... Wstąpmy do wnętrza.

Na podwyższeniu w senatorskim krześle siedział Piotr Kmita, marszałek koronny, obok niego kilkunastu sędziów. Cokolwiek na przodzie, przy osobnym stole dwóch pisarzy w długich sukniach spisywało zeznania winnych, mając przed sobą rozłożone wielkie, pergaminowe księgi. Całą salę kir okrywał; podwyższenie, stoły, ściany — wszystko czarnem było przykryte suknem, a jedyną złowrogą różnicą tworzyły trupie głowy białe wyszyte na każdej ścianie. Światło dzienne zaledwie drzwiami wciskało się do sali, gdyż wszystkie okna były zasłonięte, czterech tylko czerwono ubranych pachołków trzymało pochodnie przed sądem.

Oskarżony zbliżył się do sędziowskiego podwyższenia. Był to ów wysoki mężczyzna w futrzanej szubie, któregośmy widzieli wchodzącego do domu Fischera, Jan Schultze...

— W Imieniu Jego królewskiej Mości wzywam cię, Janie Schultze — przemówił do niego Kmita donośnym głosem — abyś na pytania, które ci zacny Filip Bischof postawi odpowiadał prawdę jak na ostatecznym sądzie...

Na to wstał Filip Bischof, znany nam już obywatel gdański, a stronnik królewski i jako oskarżyciel zapytał obwinionego.

— Czemuś ty Schultze, kościoły ze złota, srebra i klejnotów połupił? Czemuś sam w głównym kościele na kazalnicę wstą-

piwszy ważył się najpierwej luterską wiarę wnieść? Czemuś szubienicę, koło i miecz przed ratuszem postawił? Czemuś szatańskim pomysłem chciał prochy zapalić w lochach królewskiego zamku?

W długiej przemowie starał się Schultze ze wszystkich tych zarzutów uniewinnić, i nie przyznawał się do żadnej z zarzucanych mu zbrodni, a gdy go się znowu Bischof zapytał, jakich miał spółników, gdy chciał zamek wysadzić w powietrze, obstawał przy tem usilnie, że nie nosząc się ze zbrodniczymi zamiarami, które mu zarzucono, nie mógł mieć współników.

— Wziąć go na powrozy! — groźnie zawołał Kmita.

Schultze zbladł jak chusta, a bladeść straszniejsza jeszcze była przy świetle pochodni. Podobny do szatana wystąpił z głębi kat w czerwonym opiętym ubraniu, a zdjąwszy z obwinionego wierzchnie szaty, porwał go silnemi barki pod kółko przymocowane do belki, przez które były przewleczone grube postronki. U nóg przywiązano mu ciężki kamień, a postronkami ciągnięto go do góry, tak, że ciało w coraz większem było naprężeniu.

— Zwolnić powrozy! — zawołał znowu Kmita i zapytał się drżącego Schultza, czy obstaje przy swoim uporze...

— Nic nie wiem — wyjąknął delikwent, ale wzięty ponownie na tortury, zmienił się do niepoznania i zaczął wołać:

— Łaski! Łaski! Wymienię mych współników!

I rzeczywiście podyktował wszystkich, którzy z nim razem byli w domu Fischera. Przez kilka dni trwały sądy, a gdy trzynastu głównych przewodców na śmierć skazano, Schultze prosił, aby był przed króla przywiedzion. Ostatniego więc dnia tron królewski ustawiono w sali, Zygmunt zasiadł na czele sędziów i pozwolił mówić Schultzowi. Skazany raz jeszcze starał się wytłumaczyć, a przyznając się już w zupełności do winy odwoływał się do ludu, że za jego to rozkazem wszystko uczynił...

— Zapytajcie się pospólstwa! — rozkazał król Zygmunt, a herold sądowy wyszedł ku drzwiom giełdy i wielkim głosem pytał zgromadzonego ludu, czy rozkazywał Schultzowi głosić wiarę luterską i prochy zapalać pod królewskim zamkiem?...

— Król miłościwy wszelką winę przebaczy! — dodawał herold.

— Nie wiemy i wiedzieć nie chcemy o współnictwie z Schul-

tzem; co czynił, na swój karb czynił — krzyknęło pospólstwo...

Wtedy król rozkazał zaprowadzić winnych do więzienia, a sprawa ich jeszcze raz była roztrząsana przy drzwiach zamkniętych w obecności króla. Kmita, a przede wszystkim Krzycki byli za tem, aby wszystkich spiskowców skazać na gardło, kanclerz Szydłowiecki nie radził do rozpacy przyprowadzać tyle zamożnych rodzin w Gdańsku i błagał króla, żeby się ograniczył do podpisania jak najmniejszej liczby wyroków.

— To Judasz!... On Chrystusa sprzedał za śledzie i postawy sukna! — wołał Krzycki oburzony na Szydłowieckiego, posadzając go, że się dał gdańskim kupcom przekupić i ze szkodą wiary Chrystusa przyczynił się do złagodzenia wyroku.

Namiętne wycieczki jednak nanic się nie przydały; król tylko trzynastu skazał na śmierć, a innych współwinnych z miasta wypędził; Bischof zaś za ostrzeżenie króla przed spiskiem, został gdańskim burgrabią...

Miasto się uspokoiło, na domu tylko gdzie mieszkał kanclerz Szydłowiecki, spostrzeżono po kilku dniach przyklepioną kartę z napisem:

Gdyś ongiś za trzydzieści sprzedan był srebrników,
Teraz Chryste jednegoś wart zaledwie śledzia!...

Naturalnie że ksiądz Krzycki był autorem złośliwego dwuwiersza...

Kmita nie zapomniał napisać królowej o uśmierzeniu mieszczkańskiego buntu, gdyż gdziekolwiek był świadkiem spraw ważniejszych, zawsze stamtąd do Bony pierwsze posyłał słowo. Król pisał krótko, treściwie, Kmita dłużej się rozpisywał, wdawał się w szczegóły, a przeto lepiej umiał kobiecą zaspokoić ciekawość.

W tydzień po smutnym dniu panowania nieubłaganego miecza, Gdańsk w weselsze przybrał się szaty. Kilkanaście rodzin żałobnych ukryło się w głębi swych mieszkań, a długi rynek gwarliwym się zapełnił ludem. Król na nowo odbierał od Gdańska przysięgę — więc wszyscy cechmistrze i bractw naczelnicy zgromadzili się w giełdowej sali, a król znowu tam zasiadł na tronie. Ale tym razem nie widać już było kiru ani strasznych oznak

śmierci, ale światło dzienne wesoło przedzierało się przez różnokolorowe szyby, barwiąc salę, nadając jej ów ton poważny a uroczy, jaki w gotyckich zdarza się widzieć świątyniach.

Król Zygmunt wyglądał wspaniale w purpurowym płaszczu; obok niego dostojnicy państwa w barwistych szatach dodawali różnaitości i wspaniałości obrazowi. Cała sala zresztą pełna była mieszczan. Na rozkaz króla powstał Kmita i rozkazał się uciszyć mieszczaństwu, a gdy już lot ptaka możnaby było usłyszeć, przemówił tak do zgromadzonych:

— Niedawno jeszcze szerzący się bunt w murach waszego miasta okazał, że znaleźli się ludzie niepomi przysięgi i wiary złożonej Królowi. Krzywoprzysięzcy zostali ukarani... Teraz się was zapytuję w imieniu naszego Króla i Pana, czyście się w posłuszeństwie waszem zachowali i czy pamiętacie i znacie powinność waszą?

— Pamiętamy, pamiętamy! — liczne ozwały się głosy...

— Którzykolwiek więc Królowi są wierni — mówił dalej Kmita — niech przejdą na prawą stronę! — a wnet całe zgromadzenie znalazło się na prawej stronie, gdyż jedni szli tam z serca i z przekonania, inni zaś z bojaźni.

Gdy miasto już było spokojne, wyruszył Zygmunt na morze. W piękny dzień wiosenny wszystkie okręty stojące w porcie przybrały się w zielone liście, a purpurowa flaga z białą ręką, miecz trzymającą, powiewała na masztach. Bogatemi kobiercami przykryto pomost „Neptuna“, okrętu, na który wszedł król ze swym dworem; trzydzieści wiosel uderzyło w brunatną falę i posrebrzyło powierzchnię rąbkiem piany. Za latarnią Zygmunt długo spoglądał na pełne morze; fala za falą, rodzone siostry przesuwwały się jednostajnie, posepnie, niknąc na piaszczystem wybrzeżu...

— Bliżej nam do tej wieczności — mówił król do kanclerza Szydłowieckiego, wskazując na pełne morze — aniżeli do ziemi, skądśmy wyszli; spokojnie w tę wieczność będą spoglądał, jeśli wam zostawię w mym synu godnego następcę...

— Trzeba go miłościwy królu wcześniej mądrą otoczyć radą, rozwijać serce a roztropność zaszcześcić — odpowiedział Szydłowiecki.

— Dobrze mówicie kanclerzu; radbym w nim widzieć mniej

żądzy panowania a więcej miłości do ludzi; dwie korony odrzuciłem, chcąc się zająć szczęściem mych poddanych, sądząc więc, że we mnie nie będzie miał złego przykładu...

Inne myśli zajmowały księcia Jerzego pomorskiego, który się także z liczną drużyną znajdował na pokładzie; za kilka chwil król miał mu oddać w lenno Lemburg i Bytom i całą pobrzeżną morszczyznę za zasługi, a przede wszystkim za pomoc, jaką mu wyświadczył, znalazłszy się prędko ze swym rycerstwem na uspokojenie zbuntowanych Gdańszczan.

Okręt płynął spokojnie wzdłuż lądu, zielone pola wybrzeży zdawały się kąpać w fali, a gdy już znikła gdańska latarnia, król kazał zwinąć żagle i dać znak innym towarzyszącym mu okrętom, aby się uszykowały w wielkie półkole. Sygnały z dział oznajmiły, że się lennicza rozpocznie uroczystość...

Zygmunt usiadł na ustawionym na pokładzie tronie, Szydłowiecki, Kmita, Kościelecki, Górka, Tenczyński i wielu innych senatorów stanęło koło niego, a pacholę w złocistym ubraniu trzymało niewielki rozwinięty sztandar, na którym był haftowany gryf czerwony na białym polu, herb kraju. Książę Jerzy ukląkł przed królem...

— Rządź szczęśliwie tą ziemią — przemówił do niego Zygmunt, wskazując ręką na wybrzeże — i pamiętaj, że cięższy aniżeli mnie, Bogu kiedyś będziesz z swych rządów składał rachunek. Uciekaj pochlebców, hipokrytów, radź się cnotliwych i doświadczonych. Mierność tylko, miernością otaczać się lubi... Chrześcijańskiego rycerza niech zawsze świeci piętno na twym czole, miecz twój niech raczej zardzewieje w pochwie, aniżeli abyś go miał wyjmować w obronie złej sprawy.

To mówiąc, uderzył król dwa razy swym mieczem księcia, znacząc krzyż na plecach, i oddał mu do rąk rozwinięty pomorski proporzec. Książę wziął chorągiew naprzód w prawą, potem w lewą rękę, a dwa palce prawicy położywszy na Ewangelji, którą kanclerz Szydłowiecki trzymał otwartą na królewskim łonie, odmówił rotę lenniczej przysięgi.

Działa znów zagrzmiały, a mała flota pełnemi żaglami wróciła zpowrotem do gdańskiej przystani.

III.

— Majcie drzwi i okna, wieńczcie bluszczem i bukszpanem filary; drogie sprzęty domowe czyste i lśniące miejcie na pogotowiu, wytoczcie z piwnic najprzedniejsze wina, przygotujcie wszystko, aby godnie w Gdańsku przyjąć północne dziewice, aż z duńskiej, zamorskiej przybywające ziemi!

— Cóż je tutaj prowadzi? — pyta ludność mieszczańska — co za nową uroczystość wymyślili polscy panowie?

— Oto w Królewcu odbywało się wesele duńskiej księżniczki z księciem Albertem pruskim, a wracające druchny chcą powitać w Gdańsku Zygmunta.

Poranny wiatr jakieś nieznanne, uroczyste tony niesie po nurtach Motli; rycerstwo gromadzi się przed „zieloną bramą“ i słucha zbliżających się głosów owych morskich syren...

— Już w kanał wpłynęły, już się ich głos o gdańskie odbija mury...

Witaj nam królu, wielki, wspaniały,
Witajcie rycerze wiary...
Morskie to bóstwa nam przykazały,
Złożyć wam wieńce i dary...

Dwanaście dziewic stało na pokładzie płynącego statku, w białym germańskim stroju; długie jasne włosy spadały z pod niebieskich baretów, a każda z nich trzymała koszyk zręcznie upleciony z sitowia, a w nim muszle, bursztyny, korale — w co tylko państwo Neptuna bogate... Za niemi duńskie matrony w złocistych czepcach i ojcowie z długimi brodami, w czarnych aksamitnych kaftanach. Na maszty się powspinała załoga okrętu rzucając z góry dębowe liście i kwiaty...

Statek przybił do brzegu, ułożono pomost szkarłatem nakryty, a rycerstwo poskoczyło na pokład, aby bezpiecznie przeprowadzić kobiety. W obszernych komnatach nad „zieloną bramą“ czekał król na gości, a rycerstwo poprowadziło do niego dziewice, aby u stóp tronu złożyły życzenia i dary.

— Dzięki wam, piękne córki Danji — mówił do nich król Zygmunt — śpiew pokoju, z którym tutaj przybyłyście, zielona gałązka wiosny, którą niesiecie, najpiękniejszą mi są zapowie-

dzią, że szczęście trwale już w murach Gdańska osiedzie — przyjmijcie też naszą gościnność...

Możni panowie poustępowali swych domów miłym gościom północy, a kolasy złociste czekały na dole, aby podwozić ich do najpiękniejszych pałaców Gdańska.

— Bogowie widocznie wzięli w opiekę sprawę Zygmunta — mówił Krzycki — odkryli spisek mieszczan, przyśpieszyli posiłki księcia Jerzego, a teraz Neptun

Syreny śle z dźwięcznymi głosami, by wstrzymać
Nas w miejscu i znudzonym uprzyjemnić pobyt.
Pobyt, co lud zachwiany i wierność przywraca,
I trwalej niż kara surowa, podnosi.

Wkrótce wielką ucztę cały Gdańsk obchodził. Goście i panowie zgromadzili się w salach nad zieloną bramą, lud zaś na długim rynku. Malowniczo wyglądała ta ludowa uczta. Od bramy aż po ratusz ciągnął się długi stół nakryty, tak, że stojąc na jednym końcu, drugiego prawie widać nie było. Co kilka kroków stały beczka piwa i beczka miodu, a przy nich ludowy podczaszy i miejski pacholek w stroju o żółtych i czerwonych pasach. Na stołach wielkie misy z mięsiwem i z rybami, a zielone szklanice ubarwione różnymi herbami zdawały się dobrą wróżyc zabawę.

Gwar i ruch panował nie do opisania. Od kominów giełdy aż na drugą stronę rynku długą przeciągnięto linwę, a na niej włoski skoczek pobudzał do śmiechu podochocone tłumy, ówdzie znów jakiś rycerz księcia Jerzego, cały w zbroję zakuty, wołał wielkim głosem:

— Ustąpcie! ustąpcie!

— Chce konia przeskoczyć!... — powtarzano sobie z niedowierzaniem i rozstępowano się, wielkie tworząc koło.

Rycerz nie żartował, przyprowadzono mu konia, a on zlekka się rozpedziwszy, jak był w ciężkiej zbroi, tak na drugą stronę skoczył i poszedł dalej, nie oglądając się za siebie, jakby coś zwyczajnego uczynił.

Dwór i duńscy goście zgromadzeni nad zieloną bramą przypatrywali się zabawom ludowym.

— Gdybym był królem — mówił do Kmity Koszyrski — tobym naprzeciw zbuntowanego mieszczaństwa nie posyłał moż-

dzierzy i rycerstwa, ale pieczone woły i kufy miodem nabite, a dalibóg zwyciężyłbym bez krwi rozlewu...

— Gdybym chciał ugiąć butę szlachty — odpowiedział Kmita, spoglądając na duńskie dziewice... — tobym takie Amazonki wyprowadził do boju...

— Królowa Jejmość posłuchała już waszej rady, Mości Marszałku — odparł znów Koszyrski — bo czarnookich Włoszek nasprowadzała niemało do Krakowa i niemi jak mi się widzi rządzić zamyśla.

Kmita się odwrócił, ukrywając niezadowolenie z powodu tego zdania i przemówił gładko po niemiecku do przechodzącej właśnie Edy, najpiękniejszej z cór północy.

— Gdybym miał dorosłego syna, przezacna panno, tobym go się wyparł, gdyby wam stąd do domu odpłynąć pozwoił.

— Dobrze, że go nie macie, panie Marszałku — odpowiedziała niez mieszana Eda — bobyście może musieli być złym ojcem i wyprzeć się ukochanego dziecka...

— Przyjmijcie mnie za swego syna — rzekł szybko Latałski, krewny biskupa, a dzielny młodzieniec, który już od kilku dni nieodstępny był Edy rycerzem.

Eda jednak zarumieniona odwróciła się zrećnie, szukając opieki swej matki, a pięknie jej było z tym rumieńcem odbijającym od jasnych rozpuszczonych włosów i dużego niebieskiego oka. Malowniczy strój dodawał jej wdzięku. Spadziste ramiona zdobiła szkarłatna peleryna bogato wyszywana złotem i perłami, z pod niej zgrabna wyzierała ręka w biały cienki otulona rękawek, a gęsto pofałdowana suknia z takiej jak peleryna materji poważnie spływała na ziemię.

Wieczorem tego samego dnia całe towarzystwo zgromadziło się w oknach pałacu wychodzących na most i na Motłę. Nowa rada miejska ze świetną na przyjęcie gości wystąpiła iluminacją; nad brzegiem kanału gęsty rząd pachółków stał z różnokolorowymi pochodniami, a wszystkie okna były pełne rześistego światła. Noc w dzień się zmieniła, a ognie stokroć piękniejszymi się zdawały, kąpiąc się w głębiach wód morskich. Prawdziwe arcydzieło jednak miało się okazać wśród nurtów Motli. Oto łódź niewielką sporządzono w kształcie płynącego wołu ze złotymi rogami, przyozdobionego w wieńce i kwiaty, wół zaś, nito Jowisz pory-

wający Europę, niósł na sobie piękną kobietę w białe rzymskie przybraną szaty. Po bokach płynęło mnóstwo łodzi w kształcie muszli, a Trytony trzymając potrójne pochodnie, jakby trójzęby Neptuna, wyuczonym śpiewem wtórowały cichym uderzeniom wiosła.

— Ponoś i my będziemy mieli naszego Jowisza i naszą Europę — mówił Kmita do przypatrującego się tej uroczystości Zygmunta.

— Jak to rozumiecie, panie marszałku? — zapytał król.

— Młody Latałski radby ową piękną Edę nie morzem, ale w górę Wisłą powieźć, a ona i jej rodzice także nie od tego.

— Powiedzcie marszałku, że mu będę swatem, bardzo się temu raduję, bobym nie chciał, aby młodzież nasza pozwoliła wszystkim dziewicom zpowrotem odpłynąć.

Kmita stał się dobrym zwiastunem, a gdy powiedział o tem Latałskiemu, młodzieniec upadł do nóg królowi dziękując mu za wielką łaskę. Król zaś wysłał w kilka dni później marszałka do rodziców Edy, aby w jego imieniu prosił dla Latałskiego o białą jej rękę, obiecując, że się zajmie losem przyszłego ich zięcia. Ojciec Edy do najznakomitszych duńskich liczył się panów, a chociaż już w domu inne miał dla swej córki zamiary, przecież nie mógł się oprzeć zaszczytnym swatom...

Sute zrękowiny odbyły się w Gdańsku; król ofiarował przepyszny łańcuch złoty pannie młodej i cieszył się, że gdański rokosz kończy się weselem...

Ty, Junono, łożnicę przyrządź i pochodnie,
Pallas niech radą wesprze, Wenus bodźca doda
Miłości, aby śpieszne zrękowiny związkiem
Zakończyły się trwałym...

Mars jednak pozazdrościł Latałskiemu pięknej bogdanki i wkrótce po weselu, które się w duńskiej odbyło stolicy, wezwał go na Litwę, gdzie wówczas po zamarzłych błotach wtargnęły hordy tatarskie. Tam utonął pod lodem, a smężna małżonka wróciła za morze i zginęła bez wieści dla polskiego świata...

ROZDZIAŁ TRZECI.

KARŁY.

I.

Pan na Wiśniczu, Piotr Kmita, sprawiał huczne imieniny. Gości mnóstwo przybyło, strzały z moździerzów co chwilę znać dawały okolicy, że na zamku uczta. Stół zastawiono w dolnej sali, zwanej rycerską, od zbroi rozwieszanej po ścianach na szkarłatnem suknie. Szerokie pasy ze złotej taśmy przedzielały szkarłat od sklepienia do posadzki w kwadraty, a w każdym kwadracie jaśniał prawdziwie rycerski bukiet uwity z pancerza, szyszaka, miecza i husarskiego proporca. Sklepienie sali jasnoniebieskiego było koloru, gdzie niegdzie obite srebrnemi gwiazdami, na węzłach tylko gotyckich żeber świeciły tarcze herbowe Kmitów, a w środkowem, największem polu włoski artysta wymalował Phoeba, wjeżdżającego na słonecznym rydwanie.

Towarzystwo się zgromadziło u stołu, a śnać kilka dań już przeszło, bo twarze bardziej promieniały jak ów Phoeb na sklepieniu, a kobiety po jednej zaczęły się wysuwać, aż nareszcie i sama znikła gospodyni...

— Hej! na stół Kornela! — zawołał Kmita, i klasnął w dłonie.

W tej chwili jeden ze służby oburącz chwycił podbiegającego, dziwnej małości karła, przerzucił go ponad głowę któregoś z gości i na środku postawił stołu. Kornelek się nisko skłonił, zwracając się naprzód ku ks. Łatałskiemu, biskupowi poznańskiemu. Piramida z cukru wyższa była od karła, przybranego na sposób włoski w ponsowy obcisły strój z weneckiego atłasu, i w takiejże trzewiki z długimi nosami. Na końcu śpiczastej czapki trzy wisiały dzwoneczki.

— Proszę o głos, mości wojewodo! — wykrzyknął nadworny błazen, zwany Jaśkiem, spokojnie na końcu stołu siedzący.

— Mów waśc — odpowiedziało kilka głosów naraz.

— Muszę tutaj solenny wnieść protest, a ciało senatorskie będące prawie w komplecie, niech raczy wielkiej mej wysłuchać krzywdy. Według wszelkich praw boskich i ludzkich, a nawet według praw, które Orzechowski lub Stankar stanowią, tylko błaznowi wolno przywdziać czapkę z dzwonekami, nikt jednak, ani Aleksander Wielki, ani Cycero, ani ksiądz biskup Gamrat, ani pani kasztelanowa Dzierzgowska o takim prawie nie wiedzą, aby karzeł miał chodzić z dzwonekami. Panowie senatorowie dbacie o swe prerogatywy, a na sejmie piotrkowskim chodźcie około tego, aby wam włos z łysej głowy nie spadł — tuszę przeto, że i praw błazna strzec będziecie z równą gorliwością! Jeżeli więc nie każecie karłowi natychmiast zdjąć czapki z dzwonekami, natenczas ja zdejmę mój strój błazeński, a przybiorę się w szaty księdza Latalskiego...

Dwaj biskupi obruszyli się na błazeńską mowę, Gamrat nawet schmurzył groźnie czoło, ale powszechny śmiech i wołania: „Jasiek ma rację! — Niech żyje Jasiek!“ — zagłuszyły ich słowa. Jan z Kościelca, kasztelan lubelski pyszny a nadęty, chwycił nawet czapkę karła i wyrzucił za okno, sam zaś gospodarz dał znak muzyce stojącej w przedsiionku, aby zagłuszyła wrzawę i niemiłe słowa jakie się dostały Gamratowi i Latalskiemu.

Zamkowa kapela z dwunastu się składała ludzi, na czele stał Włoch, emigrant florencki, który w domu był rzeźbiarzem, tutaj jednak nie mając marmuru uczył jak umiał krakowskich organistów, aby potrafili i świecką popisać się muzyką.

Na odgłos trąb i kotłów podskoczył karzeł na stole, język pokazał Jaśkowi i począł wypełniać swój obowiązek, t. j. nalewać puhary. Wino w srebrnych stało dzbanach, a Kornel musiał wszystkich sił wydobyć, aby pełne przechylić naczynie...

— Dolej do „kufła“ — podszepnął mu Jan Tęczyński, wojewoda sandomierski, nierozmyślny gaduła.

Karzeł zrozumiał rozkaz i wprost poszedł uważnie pomiędzy misy i chleby przed nakrycie księdza Latalskiego, którego powszechnie „kuflem“ zwano i z pół dzbana węgrzyna zostawił w jego kielichu. Odwrócił się na to zacny podkanclerzy, ksiądz

Tomicki, jakgdyby nie chciał patrzeć na kostereę i coś zeicha powiedział do siedzącego przy nim Krzyckiego...

— Onby morze wypił! — odpowiedział Krzycki — za młodu musiano go karmić samemi śledziami...

— Waszmość zawsze kłasasz — wtrącił Łukasz z Górki, przesuwał się właśnie tamtędy — pełna złości głowa!

— Bo kto inny myśli już za nią o dobrych uczynkach, o tem jakby szlachcie najwięcej pożyczyć pieniędzy i lichwą kiesy zapęnić...

Górka poszedł jak zmyty — udał, że nie słyszy.

Muzyka grać przestała, Jasiak podsunął się znów ku stołowi, dumnie tym razem potrząsnął swą czerwoną czapką z dzwonkami, a wychodząc na stołek, aby go lepiej widziano rozłożył ręce i wołał:

— Słuchajcie! — powiem wam zagadkę; kto ją pierwszy odgadnie, dostanie płockie biskupstwo, na które jak wiecie najwięcej zawsze kandydatów.

Wiele głów zwróciło się ku Krzyckiemu, który czem prędzej schował twarz w kielichu.

— Otóż — mówił Jasiak — widzicie przed sobą na środku stołu dzielnego żubra, żubra, puszcza naszych ozdobe, naokoło niego z dziesięć pawów siedzi na srebrnych misach i lśni niebieską szyją i roztoczonym ogonem; tamten skromny, jak szaraczek, te dumne zdają się tutaj jeszcze wyzywać wszystkich do walki, i nie widzieć nic piękniejszego nad swoje pierze. Cóż wolicie pawia czy żubrowinę?...

— Żubrowinę! — naraz mnóstwo odezwało się głosów.

— I ja także — odpowiedział Jasiak — a teraz zgadujcie, kto pomiędzy wami żubrem, a gdzie pawie siedzą?

— Tarnowski, Tomicki, to żubry — ktoś zaraz powiedział.

— Ogon pawi to ogon królowej! — odważnie się odezwał Mikołaj Russocki, kasztelan biecki, do otwartości pobudzony winem.

Gwar się zrobił na te słowa. Gamrat, Latalski, porwali się z miejsca, Firlej za kord chwycił, Kmita piorunujący wzrok rzucił na gościa. Odroważ krzyknął i schował głowę w kołnierz od delji, Krzycki przygryzł wargi i myślał o zemście... Jasiak bojąc się gniewu swego pana wcisnął się w kąć za stoły i służbę.



Piotr Kmita
Nagrobek w katedrze na Wawelu

Przytomny Stanisław Łaski, kasztelan przemęcki, młodzik rozsądny, dowcipny, chcąc odwrócić burzę czem prędzej powstał i zawołał:

Pachołcy! hej! wina, niepróżno wam gwarzę,
Odbijcie gwóźdź stary w smolonym ankarze,
I lejcie do szklenic, do czarek,
Dymiący, niebieski nektarek.

Gdy krąży po rękach szklenica dostojna,
Nie będziem się troskać czy pokój czy wojna,
Nieżgoda czy zgoda w narodzie,
Niewiele nas wtedy ubodzie.

Któż wtedy się zmarszczy? kto tańca nie utnie?
Kto wtedy odrzuci piosenki i lutnie,
Kto zręczność wyborną ominie,
Zaśpiewać o lubej dziewczynie?

Bogdajby dzień cały upłynął wam żywo,
I smutek przepędził i myśl frasobliwą.
A jutro na bój się powleczem —
Z pawężą, pancerzem i mieczem!

— Niech żyje Łaski! — niech żyje Korab! Kochajmy się! — słychać było z powszechnego gwaru, który powstał, gdy młodzieniec ostatniej domawiał zwrotki. Sąsiedzi zaczęli go ścisnąć, inni nie mogąc Łaskiego, ścisnęli nawet tych, którym niebardzo dobrze życzyli, inni nareszcie wołali co sił starczyło:

— Niech mówi! Na stół! Niech jeszcze się popisie!...

Tętent koni na podwórzu przerwał gwar powszechny — nowy gość przyjechał, Mikołaj Wolski, marszałek dworu królowej. Wysoki, przystojny mężczyzna w czarnym weneckim stroju, w płaszczu i birecie z piórem, jakby „bravo“ włoski. Giętki, układny spojrzawszy po towarzystwie, przyjacielsko się przywitał z gospodarzem, z Latalskim, Górką i z Gamratem, do Tomickiego z przymuszoną przystąpił grzecznością, koło Krzyckiego z lekceważącą przeszedł poufałością.

— Królowa Jejmość — ozwał się do Kmity — umyślnie mnie przysłała, abym najlepszemu jej słudze przywiózł w dniu dzisiejszym życzenia. Skromny podarek przyjmiecie także od królowej, panie wojewodo, karego rumaka z neapolitańskiej stadniny...

— Nie za darmo to będzie — ozwał się zcicha Jasiak stojący na boku.

— Umieć sobie wysoce cenić łaskę Jej królewskiej Mości — odpowiedział Kmita dziękując — a zaszczyt, który mnie za waszem dzisiaj spotyka pośrednictwem, panie kasztelanie, będzie mi tem większą pobudką, aby sobie nadal skarbić zaufanie miłościwej Pani...

— Mości Panowie! — zawołał Kmita biorąc puhar do ręki, za zdrowie Jej królewskiej Mości...

— Niech żyje! — całe odpowiedziało koło powstając z puharami.

A piękne i malownicze było to koło, same typowe postacie, od grubo narysowanej, w rumianem zdrowiu rozpływającej się twarzy Gamrata, aż do drobnej, sprytniej figurki Łaskiego. Chciwy, zakochany w sobie Górka zdawał się zazdrościć tego konia, którego Kmicie przysłała królowa; w wypłowiłym kontuszu spoglądał podejrzliwie to na Wolskiego, to na Tomickiego, nikomu nie ufając prócz własnej kieszeni. Krzycki z namiętnem ale zużytem obliczem, snać niejedną przeszedł burzę, złych chwil więcej niż dobrych liczył w swem życiu, w ustach zawarł złośliwe słowo, a w sercu gorycz piekielną. Płockie biskupstwo jak mara chodziło mu po głowie, to był jego ideał — z Przemyśla, z Brzozowa, z Radymna mógł za ledwie chudy dwór utrzymać; na płockich piaskach lepszej spodziewał się pszenicy.

Młodziutki Stanisław Łaski patrzył się trochę z boleścią, a trochę z szyderstwem na dwóch godnych siebie towarzyszy, na Latalskiego i Gamrata, powtarzając w myśli: „przyszłość do mnie należy“. A sam Kmita, pyszny, gwałtowny, w bogatym stroju, pan, który swej dumie światby był poświęcił i nie uznawał niczyjego zdania, prócz złośliwego żartu swego błazna — Jaśka.

Obok tych postaci strojna służba, częścią w szerokich polskich kontuszach, częścią w opiętych strojach południowych krajów, siwy jak gołąb marszałek dworu i dziwnej piękności pacholeta ze srebrnymi dzbanami. Nie brakło tam nawet wielkiego psa o gładkiej sierści, leżącego poważnie na zielonym liściu szuwaru, którym potrząśnięto ceglana posadzkę, jak nawę kościelną na Zielone Świątki. A cóż powiedzieć o zastawie stołu!

Gdyby na nią Bachus był spojrział, toby porzucił Olimp dla Wiśnicza! Ptastwo strojne piórami, jakgdyby z półmisków miało ochotę wlecieć jeszcze na wolność, cukry w mitologiczne ustawione grupy, rogi żubra złocone, jak niegdyś rogi Apisa, a pomiędzy tem wszystkim biegający karzeł i dolewający „dymiącego nektaru“. Nie tak źle tam było!

Marszałek Wolski spoglądał na karła, a gdy się uczta ku końcowi już miała, zapytał Kmita, czy miałby coś tak drogiego, czegoby nie odstąpił królowej.

— Chyba błazna Jaśka — wesoło odpowiedział Kmita — zresztą życie i majątek na usługi miłościwej Pani...

— Nie o błazna chodzi, królowa radaby mieć waszego karła. Nie dla siebie bynajmniej, boby w takim razie nie chciała was pozbawiać Kornela, ale chce go Karolowi V posłać w podarunku.

— Bierzcie go — odrzekł Kmita — mamci i ja obowiązki dla króla Hiszpanów. Cóż ty na to chłopcze? — ozwał się do zafrasowanego karła, który stał wpobliżu.

— Przykro mi porzucać pana, bo tem gorzej mi będzie, im większe bawić się mną będą dzieci.

— Dobrześ powiedział! — wykrzyknął Russocki...

— Chleb mi odbierasz — odezwał się Jasiek — odbierz go doreszty! I rzucił karłowi dukata.

Jasiek dobry dał przykład, bo każdy sięgnął za pas i wkrótce przed karłem spora się zebrała sumka, na co błazen widocznie zadowolony z sukcesu wylazł na stół, potrząsnął dzwoneczkami i powiedział:

— Słuchajcie! Co powiem, nie są słowa moje, ale wyjęte z Apokalipsy św. Jana. Przyjdą czasy kiedy się karły zamienią w olbrzymy, ale nim to nastąpi mają służyć na ponętę, na którą syrena chce wielką ułować rybę. Indyjski król Melchizedech ożenił się razu pewnego z turecką księżniczką. Księżniczka miała dostać nieprzebrane skarby w posagu i księstwo w ciepłych krajach — może na księżycu. Był jednak wielki cesarz, noszący na swej głowie całą piramidę z koron, ten zapragnął owego księstwa, bo w niem rosną pomarańcze i kare konie pasą się na łąkach; księżniczka się przestraszyła, żeby jej księstwa nie zabrano i myślała nad tem, jakaby owemu cesarzowi posłać zabawkę, aby ciesząc się nią zapomniał o księstwie... Z tego po-

wodu pewien wojewoda złą zrobił zamianę, zamiast karła dostał starą szkapę...

— Milcz błaznie! — groźnym głosem zawołał Kmita.

— Karła poszła — Baru nie dostaną! — dopowiedział ktoś zcicha, a Kornelek zeszedł ze stołu i zapłakał za Wiśniczem, gdzie się urodził, gdzie całe życie służył za pośmiewisko...

II.

Szczególny jakiś popłoch zapanował na rynku w Krośnie, które w XVI wieku zwano małym Krakowem. Jak kury przed burzą chronią się w gęstwinę klombu, tak przekupki krośnieńskie, rzędem siedzące poza straganami, uciekały pod długie podsienia, zgartując do fartuchów bez porządku chleb, jabłka i wędliny.

— Hajduki, hajduki! — wołano na wszystkie strony, a ten i ów kupiec zamykał drzwi swego sklepu, albo stawał z nożem lub toporem w ręku, jakby gotował się do upadłego bronić swojej własności.

Biedne Krosno miało wówczas dosyć do cierpienia. U pana Marcina Kamienieckiego, wojewody podolskiego, na pobliskim zamku, dzisiejszym Odrzykoniu, bawił Jan Zapolya, pretendent do korony węgierskiej z resztkami swej łupieskiej armji. Wojewoda mu sprzyjał, a wraz z panem na Tarnowie sądził, że skłoni Zygmunta do niesienia pomocy królowi bez ziemi. Nieśforni hajducy Zapolyi przywykli do wojennych rozbojów, schodzili z zamku panującego nad doliną i rozbiegali się po okolicy, zabierając co się dało — krowy, kury, gęsi...

Tym razem popłoch był zbyteczny, bo kilkunastu hajduków konwojowało rzeczy swego pana, który sam jechał do Tarnowa, a panią wojewodzinię kamieniecką odprowadzał aż w pobliże Niepołomic na dwór królewski.

Wielkie chłopcy w czerwonych kapotach, gęsto wyszywanych srebrnymi guzami i sznurami, w kapeluszach z kapłoniemi piórami, wyglądali jak wojsko Belzebuba, takie dzikie robili oni wrażenie. Na małych krępych koniach otaczali dziesięć czterokonných wozów, na których cała rozsiadła się czereda najrozmaitszej służby. Hałas, wrzask, przekleństwa ludzi spychanych

z drogi towarzyszyły temu pochodowi, dopóki nie stanął na nocleg w wielkiej gospodzie za Jasłem, gdzie wojewoda i jego ludzie zwykli byli odpoczywać, jadąc ku Krakowowi.

— Toście mi dzisiaj naprowadzili nieproszonych gości — rzekła otyła gospodyni do jednego ze służby wojewodziny, widząc węgierski tabor.

— Będą stać pod namiotami — odpowiedział sługa — gospodę zajmiemy dla pani wojewodziny.

Wlot też hajducy podprzęgali konie, pozdejmowali z wozu dwa duże namioty i rozbili je w pobliżu karczmy, nie uważając na biedną oziminę, chylącą się pod ich ciężkimi stopami. Służba pani wojewodziny wzięła się do wynoszenia szynkwasu i wszelkich rzeczy z wielkiej gościnnej izby, przykryła podłogę makatami, stoły obrusami, ustawiła składane łóżko w mniejszym pokoju, a kucharze i kuchciki rozgościli się w piekarni, przyrządzając czem prędzej wieczerzę. Gospodyni chodziła zafrasowana, widząc, że kto inny w domu się rozgościł, dzwoniła kluciami, nie mając co otwierać i powtarzała zcicha:

— Więcej zniszczenia, aniżeli zapłaty!

— Hej! gosposiu, cóż tak w ziemię patrzycie? — przemówił do niej zbliżający się hajduk, chłop jak dąb, wysoki a barczysty — jakbyście nie radzi byli naszemu przybyciu?

— Licho was naniosło! — niebardzo grzecznym odpowiedziała gospodyni tonem, widocznie tracąc cierpliwość.

— Niebardoście jeszcze schudli z frasunku, prędzejby w tańcu beczkę piwa niżli was wykręcił.

— To spróbuj z beczką, kiedy ci tak skoro do tańca...

— Jak mi dacie piwo, co w niej będzie, to zatańczę.

— Dobrze! — odpowiedziała gospodyni, rozdrażniona w wysokim stopniu przymówkami do jej wydatnej kibici.

— Zgoda! Biorę was na świadków — odpowiedział hajduk — obracając się do towarzyszy i czem prędzej poskoczył do piwnicy, z łatwością wyniósł co największą beczkę z piwem, kazał obecnemu dziadowi grać na lirze, a trzymając swą martwą tancerkę oburącz, kilka razy z nią obtańczył całą sień zajezdną.

— Skaranie Boże z tymi rozbójnikami! Jedzcie teraz, pijcie, zniszczcie doszczętu nieszczęśliwą wdowę! — zaczęła szlochając

krzyczeń gospodyni, uciekła do ostatniej izby, nie chcąc patrzeć na swą krzywdę i schroniła głowę pod poduszki.

Tymczasem na przyzbie panował ruch i wesołość. Hajduk solenizant ćwierć beczki piwa prawie sam wychylił, a gwar się nie uciszył, dopóki nie zobaczono nadjeżdżających powozów. Dla złej drogi powoli toczyła się naprzód wielka kryta kolasa sześcioma zaprzężona tarantami. Dwóch hajduków w granatowych kapotach z ponsowemi pętlcami szło po obydwu stronach kolasy, przytrzymując ją swą herkulesową siłą, gdy się zanadto na boki chyliła. Trzech siedziało na koniach ustrojonych w wielkie ponsowe pióropusze, przymocowane na głowach. Zapolya, w granatowym od złota kapiącym dołmanie na czele poczty kilkuset ludzi jechał częścią za kolasą wojewodziny, częścią przybliżał się do okna. Z panią siedziały w karecie dwie panny respektowe i Kasia, karlica, młoda jeszcze dziewczyna w wiejskiem, mazurskiem ubraniu.

Niedaleko za kolasą toczył się niewielki wóz, a w nim dwie odznaczające się postacie, kapelan wojewodziny i astrolog Zapolyi, słynny ze swych przepowiedni Latos. Astrolog, w czarnym płaszczu z wysokim stojącym, powyżej uszu sięgającym kołnierzem i włoskim birecie, ukrył swą żółtą, pergaminową twarz w kołnierzu i od czasu do czasu niechętnie tylko zdawał się odpowiadać, weselej na świat spoglądającemu, prałatowi.

Gdy cały tabor stanął przed gospodą, Zapolya szybko zeskoczył z konia, podał rękę wojewodzynie, odprowadził ją do przygotowanych izb, a sam ze służbą cofnął się do namiotu. Latos znalazł się przy nim wkrótce, a że już było po zachodzie słońca, wyjął jakieś narzędzie astrologiczne i zaczął robić spostrzeżenia.

— Cóż ci mówią gwiazdy o powodzeniu naszych zamiarów?

— Dzisiejsze spostrzeżenia jak najlepsze zapowiadają nam losy, Bóg rządzi gwiazdami, a gwiazdy człowiekiem. Łaskawego Jowisza, Wenery z Trygonem nie trzeba się wystrzegać, jeśli się w zgodnych znajdując znakach, wszystko mówi za tem, że wojewodzina potrafi u królowej wymóc dla nas posiłki.

— Niczego więcej nie żądam tylko zyskać królowę, wszak król się jej poddał zupełnie i nigdy nie postąpi przeciwko jej woli.

— Tak i ja sędzę — odpowiedział astrolog. Drobne powo-

dzenia czasem są większych zwycięstw zapowiedzią. I to dobrze nam wróży, że dla królowej wiezie wojewodzina upragniony podarek — karlicę. Królowa po całym kraju rozpisała listy, szukając żony dla swego karła, którego otrzymała od Kmity, wojewodzina zaspokoi jej życzenia.

— Zapewne, że to szczęśliwy wypadek, u kapryśnej kobiety więcej czasem znaczy karlica, aniżeli związki z ościennem państwem.

Rozmowę przerwał dworzamin wojewodziny, prosząc Zapolyę do gospody, do stołu swej pani.

Szynkarska izba była nie do poznania — wszędzie makaty, stół bogato zastawiony, dymiące półmiski, a niebieskawy płomień licznych świec woskowych nader przyjemne na całość rzucił światło, tak że nawet martwa twarz astrologa żywszą się tam być zdawała.

Wojewodzina pozwoliła także przyjść do stołu pielgrzymowi, który się znalazł w gospodzie; dodał on jeszcze oryginalności i tak już jaskrawemu obrazowi. Pątnik w zakonnej siermiędze, z długimi włosami i spadającą na pierś brodą, z pokorną wprawdzie miną, ale z żywym okiem i wyrazem znamionującym franta i bywalca, usiadł koło astrologa. Wpobliżu stała Kasia, karlica, smutna i posepna, z oczami zapłakanymi, a nader łagodnym wyrazem twarzy.

— Czemuż się tak zasepiła? — pytał się jej pielgrzym.

— W dalekie pojedzie kraje — odpowiedziała za nią wojewodzina — królowa ją pośle na dwór cesarski do Hiszpanji.

— Nie troszcz się dziecko, przepiękne to kraje, byłem tam u świętego Jakóba w Komposteli.

— Skąd idziesz ojciec teraz? — wtrącił astrolog.

— Aż z Nowego Świata. Bawiłem tam lat kilka i cuda widziałem... Owce ze złotem runem, krynice najlepszego węgierskiego wina, a śnieg tam ludzie w ogniu suszą i za cukier sprzedają.

— Hm! więcej tam widziałeś, aniżeli ja na niebie...

— Zapewne! Na księżycu tego nie zoczy, co w tym Nowym Świecie. Dla króla Hiszpanów wożą stamtąd srebro ze srebrzystych gajów. Oczy nie mogą znieść blasku drzew, bo szyszki na sosnach z drogich kamieni, a szkło w wielkich leży bryłach.

— Jak widzę — odpowiedział Latos — to ojciec nie wszystkiemu się dobrze przypatrzyłeś, nie wiesz, że w owym lesie są mrówki jak słonie, a mróz w tym kraju tak wielki, że

jak kto słowo rzecze,
To zmarznie na powietrzu niżli się dowlecze;
A gdy jest kto tam blisko, to zmarzły zostaje
Przez zimę, aż na wiosnę ledwie się roztaje.

Na wierszyk astrologa powstał śmiech powszechny, pielgrzym trochę się zmieszał, ale wnet wzrok podniósł i powiedział:

— Kiedym Miłościwych Państwa ubawił — proszę o jałmużnę.

Nazajutrz ruszył tabor dalej, a koło Tarnowa kolasa wojewodziny odłączyła się od orszaku Zapolyi i potoczyła się ku Niepołomicom, gdzie król i królowa na całą jesienną zjechali porę. Karlica tylko całą drogę śniła o tym królu hiszpańskim, co ma srebrne gaje i w dziwnej aureoli wystawiała sobie swego przyszłego pana...

III.

Jesień była piękna, dwór królewski bawił w Niepołomicach, a że na dworze gościł Prosper Colonna, jeden z najlepszych przyjaciół Bony i matki jej Izabelli Aragońskiej, przeto najróżnorodniejsze wymyślano uroczystości, aby mile przyjąć cudzoziemca i przynajmniej w części wynagrodzić mu trudy dalekiej podróży, bo aż z cudownej Kampanji. Wesele karła Kmity z karlicą pani wojewodziny podolskiej miało przydać oryginalności zabawom i rozwinąć przed oczyma włoskiego pana obraz narodowych zwyczajów. Weselny obchód poprzedzały jednak inne uroczystości.

W pobliżu królewskiego pałacu, podobnego do wielkiego szlacheckiego dworu, był wspaniały las dębowy, a pośród niego duża, podłużna łąka, na której jedyne panowało drzewo, odwieczny dąb, do połowy prawie spróchniały, ale mimo to daleko sięgający swemi ramionami. Zieloną swą szatę zamieniła jednak tym razem łąka na ciemną suknię, wysypano na niej bowiem owalny tor do gonitw, pozostawiając tylko we środku około dębu oazę. Z jednej strony owalu opierały się o las dębowy trybuny

z amfiteatralnymi ławkami i tron dla obojga królestwa pod purpurowym baldachimem. Wszystkie zresztą ławki i stopnie przykryte były czerwonym sukniem.

Królowa Bona jaśniała jeszcze całą pełnią swej urody; czarne żywe oko, odbijające od płowych włosów i nadzwyczaj regularne rysy twarzy utrzymywały ją długo w kwiecie piękności. Cała niebiesko ubrana z pewną kokieteryją trzymała rękawiczki w obnażonej ręce, która była prawdziwą jej ozdobą. Kasia karlica, przybrana już po dworsku w zieloną suknię i takiż kołpaczek, stała za królową, gotowa do niesienia końca jej płaszcza. Stary Zygmunt w znanej nam z portretów żółtej czapce złotem wyszywanej i w żółtym sobolowym płaszczu bawił się rozmową z siedzącym obok niego Colonną, niemłodym już mężczyzną, któremu czarny aksamitny strój włoski ze złotym na piersiach łańcuchem dziwnie dobrze przypadł do włosów przyprószonych siwizną. Na trybunach pełno dam i dworzan, dalej przyboczne hufce biskupów i wojewodów, a wszystko strojne i barwne, ubrane po polsku, włosku, hiszpańsku, niemiecku, w purpurowe, fioletowe, zielone, żółte i niebieskie szaty. Bogactwo form i kolorów nie do opisanja.

Zapowiedziano gonitwy do pierścienia; kilku trębaczy wyszło na arenę i ogłosiło początek rycerskiej walki. Pierwszy wjechał Jan Tarło z Szczekarzewic, krajeży królewski, mąż w sile wieku, o pięknym obliczu, zwycięzca na niejednym turnieju. Na lekko osiodłanym tureckim koniu, bez zbroi, tylko w stalowej koszulce, skłonił się królestwu, objechał z drzewcem w ręku powoli cały tor wokoło i stanął gotów do biegu. Za nim w ten sam sposób wjechało i uszykowało się jeszcze czteremastu jeźdźców, a pomiędzy nimi znany nam już młody Stanisław Łaski.

Kmita, Łukasz, Górka i żupnik Seweryn Bonar mieli sobie powierzony sędziowski urząd i stali na podwyższonem miejscu, tuż obok areny. Los rozstrzygał, kto ma pierwszy się pokusić o zdjęcie pierścienia.

— Stanisław Łaski, herbu Korab! — zawołał Bonar donośnym głosem.

Jeździec ruszył z kopyta z wyciągniętem drzewcem... Najzupełniejsza zapanowała cisza, nawet konie współzawodników stały nieruchome...

Dźwięk metalu i brak pierścienia na sznurze wywołał tyśiączne okrzyki z ust widzów...

— Wziął pierścień! — wołano wokoło.

Prawo mu służyło pokusić się o pierścień drugi. Łaski podniósł drzewce po raz wtóry, dał koniowi ostrogi, ale młoda ręka już osłabła i ugodził tym razem w dolną krawędź pieścienia. Ugodzenie takie było wprawdzie zaszczytne, ale nie upoważniało już do dalszej próby. Jeździec więc cofnął się z areny.

Próbowali inni zręczności, ale śnać niełatwą to było rzeczą zdjąć pierścień, skoro jednemu ze strzemięcia noga wypadła i zamiast nagrody wyniósł szydercze śmiechy widzów z areny, drugi drzewcem sznur przeniósł i także nic nie wygrał; jeden tylko Tarło powszechne wzbudził podziwienie, gdyż sześć razy z rzędu zdjął pierścień i byłby może po raz siódmy kuśił się o zwycięstwo, gdyby nie to, że spieniony rumak wymagał już wytchnienia...

Dwóch więc tylko przed trybunę zajechało zwycięzców — inni ustąpili z areny.

Sama królowa zeszła powitać Tarłę, a około niej biegł Kornelek, karzeł Kmity, niosąc do dziś dnia jeszcze istniejącą przepyszną szkatułkę z sandałowego drzewa, którą jej Leon X przysłał w podarunku. Królowa otworzyła szkatułkę, wyjęła z niej wieniec złoty i włożyła go na skroń kłęczącego przed nią zwycięzcy, mówiąc po łacinie:

— To od króla! A to ode mnie — dodała — ofiarując mu własną rękawiczkę.

Taki zaszczyt jeszcze nikogo nie spotkał. Tarło z rozrzewnieniem upadł do nóg królowej.

— To mu się oddawna należało! — powtarzali przyjaciele zwycięzcy — przecież on niemały przyniósł nam zaszczyt, odniósłszy zwycięstwo w turniejach na wiedeńskim zjeździe monarchów...

— Ba! i wówczas największy dank mu się dostał — przypominali inni — kiedy Bona po raz pierwszy w krakowskim gościła zamku, a na jej cześć wielkie urządzano zapasy.

Przybliżył się i drugi zwycięzca, a że był bezżennym, więc może wolał otrzymać nagrodę z rąk której z panien fraucymeru królowej. Tak się też stało. Prześlicznej urody Zuzanna Mysz-

kowska zeszła w towarzystwie marszałka Wolskiego, a z rumieńcem na twarzy wręczyła pierścień florenckiej roboty.

— Może to dobra zapowiedź — szeptały kobiety, ale tym razem się pomyliły, gdyż panna Zuzanna poszła później za Stanisława Rozrażewskiego.

Zaledwie Łaski odszedł, dumny ze zwycięstwa i wygranego pierścienia — przeraźliwy pisk rozległ się po arenie, każdy się patrzył to w lewo to w prawo, ciekaw co się stało, nigdzie jednak nie odkryto powodu. Stańczyk żółty jak cytryna, bo w cytrynowy atlas ubrany, oparł się spokojnie o stopień trybuny i trzymał za obrożę dużego psa białego, ksiądz Łańalski wyglądał jak piwonja, ale nie zemdlał z gorąca; po bokach trybuny stali nieporuszenie ludzie Gamrata w szkarłatnych żupanach i złocistych kontuszach ze skrzydłami z białych piór strusich; nic się też nie stało pomiędzy rotami hetmana Tarnowskiego, przybranymi po hiszpańsku, nic między murzynami i tatarami Radziwiłłów.

— Skądże więc ów pisk przeraźliwy, jakgdyby kogo duszono? — mimowoli każdy się pytał...

— To Jasiak! Błazen Jasiak! Błazen z Wiśnicza! — ozwało się naraz kilkadziesiąt głosów.

Homeryczny śmiech powstał na trybunach, gdy spostrzeżono Jaśka, wychodzącego z wnętrza spróchniałego dębu, stojącego w środku areny... Ponsowy błazen drapał się jak małpa na gałąź i wydawał przytem przeraźliwe głosy... Wreszcie stanął na gałęzi, potrząsnął dzwoneczkami i błazeńską grzechotką i zawołał:

— Najjaśniejsi Królestwo, hetmani i panny dworskie, uciszcie się!

A po chwili zaczął mówić:

— Przedewszystkiem wybaczcie Miłościwy Królu i Królowo, że ja maluczki błazen śmiem przemawiać w towarzystwie, gdzie tyłu znakomitych błaznów, pomijając nawet mego kolegę Stańczyka...

— Nic nie szkodzi — odezwał się Stańczyk.

— Właśnie co wyszedłem — rozpoczął znów Jasiak — z podziemi Plutona i dlatego wyglądam taki osmolony. Władca Hadesu uznaje wprawdzie panowanie Waszej Królewskiej Mości, ale

pomny świetnych niegdyś olimpijskich igrzysk, sierzdi się i gniewa, że na tej arenie tylko zręczność ciała znalazła miejsce popisu, a że ani cnota ani dowcip nie były nagrodzone. Podziemny więc władca rozkazał mi, abym wymieniał cnoty, które na tym świecie i w naszym kraju szczególnie kwitną, a on tych wybierze, których uzna za najlepszych i zaszczyci ich swą wysoką łaską.

Na te słowa podniósł się Stańczyk, tak mówiąc:

— Jego Królewska Mość złał na chwilę na mnie swe panowanie, ponieważ z obcymi mocarzami tylko przez takich posłów, którzy dużo kosztują a nic nie robią, układać mu się godzi. W imieniu też Królewskiej Mości pozwalam ci błaznie na Wiśniczu mówić co chcesz — rozpoczynaj!

Jasiek nisko się skłonił, stojąc ciągle na gałęzi i donośnym ozwał się głosem:

— Za miłość ojczyzny i hojność w publicznej sprawie, najwyższa nagroda — korzec dukatów. Kto ją ma otrzymać, odpowiedz władco ciemności!

— Łukasz z Górki — rozległ się przytłumiony głos po borze, jakgdyby rzeczywiście wychodził z pod ziemi. Całe zgromadzenie ze śmiechem i zdziwieniem spoglądało naokoło, nie widząc osoby, któraby tak donośny głos mogła wydać. Górka zaś widocznie nie był zadowolony z błazeńskiej nagrody, poczuwał się bowiem do sknerstwa i obojętności dla Rzeczypospolitej. Jasiek stał na gałęzi nieporuszony, jakby przejęty wielkością swego posłannictwa.

— Za pokorę! — wywoływał dalej — nagroda druga: różaniec i włosienica.

— Janowi z Tęczyna! — odpowiedział niewidzialny głos.

Nagrodzony nie obraził się bynajmniej, ale się uśmieł, wiedząc o sobie, że jest w gorącej wodzie kąpany i że lada komu nie ustąpi z drogi.

— Nagroda trzecia, — lutnia i kantyczki, za łagodność i brak złośliwości.

— Krzyckiemu...

Biskup poprawił się na krześle i pomyślał: Dam ja nagrodę temu, kto wymyślił bawić się cudzym kosztem!

— Za wstrzemięźliwość, dowcip i prawdziwie arystotele-

sowski rozum, nagroda ostatnia — poleć słoniny i beczka węgryzna...

— Górskiemu z Miłosławia! — odezwały się naraz głos podziemny i publiczność — gdyż Górski był pośmiewiskiem dworu.

Nadzwyczaj otyły, z brzydką twarzą i krzywymi palcami, nie umiejący dobrze listu napisać, pomimo, że przez jakiś czas był sekretarzem królewskim, o wszystkie jednak się dopominał urzędy. Jasiek skorzystał z gwaru i śmiechu, a obawiając się zapewne, aby mu kto boleśnie nie podziękował ze stronników Górki, skrył się tam skąd wyszedł — do szczeliny dębu. Królestwo dali hasło do przerwania zabawy i powrotu, a w gwarliwym zgromadzeniu słyhać było tylko bezustanne zapytania, skąd głos podziemny pochodził, czyjemu dowcipowi trzeba było zawdzięczyć zgrabnie ułożone widowisko?

— To Koszyrski musiał urządzać — mówili ludzie bliżej obeznani z dworem.

I nie omylili się. Koszyrsio „radość i pociecha dworu“, jak go nazywano, kazał wielką sporządzić tubę, ustawił ją opodal areny w dębowym lesie i sam odgrywał rolę Plutona, odpowiadając na pytania wiśnickiego błazna. Pacholek, siedzący pomiędzy liśćmi na wysokim dębie, skąd mógł widzieć gestykującego Jaśka, dawał mu znać, kiedy należało odpowiedzieć. Pomysł się bardzo podobał, a nawet gość zagraniczny Colonna, który niejedną widywał świetną uroczystość na rzymskim, florenckim i mantuańskim dworze, podziwiał zręczność Tarły i dowcip dworzan królewskich.

IV.

Fraucymer Bony nie małą był dla polskiej młodzieży pokusą, składał się bowiem z kilku Włozek cudnej urody, posiadających w daleko wyższym stopniu sztukę podobania się i daleko swobodniejszych w rozmowie, aniżeli polskie panny. Królowa wiele pozwalała i z nie małym spoglądała zadowoleniem, jeżeli miłośna intryga swobodnie na dworze zarzucała sieci. Tak zwana mniszka Maryna, nosząca się wprawdzie po zakonnemu, ale żadnej nie wykonująca reguły, była główną wszelkich intryg sprężyną i po większej części tem się stała nieodzowną królowej, że jej

o wszystkim donosiła, a przytem każdej panny dworskiej była powiernicą.

Nazajutrz po gonitwach życzyła sobie królowa, aby włoskim obyczajem, nim się inne zaczną zabawy, kilka włoskich panien przy odgłosie tamburina popisało się solowym tańcem. Najpiękniejszą z polskich dziewic, Zuzannę Myszkowską, rada była w ten sposób pokazać swemu gościowi w całej pełni urody, temwięcej, że Zuzanna co do zgrabności i wdzięku w tańcu przewyższała Włoszki.

— Myszkowska nie chce tańczyć — mówiła mniszka do Bony w sam dzień przygotowanych zabaw — utrzymuje, że słaba, że ją głowa boli. Mnie się jednak zdaje, że to inny powód...

— Jaki powód? — przerwała niecierpliwa królowa.

— że Stanisław Rozrażewski musi sobie tego nie życzyć...

— Tym Polakom zawsze się zdaje, — gniewnie odrzekła Bona — że są z innej gliny, aniżeli wszyscy inni ludzie; ja mogłam tańczyć przed całym neapolitańskim dworem, a panna Myszkowska, córka jakiegoś tam szlachcica, droży się tańcem! Co za nedorzeczne wyobrażenia! Ci ludzie podobno nigdy się nie nauczą naszej grzeczności. Powiedz jej — że musi tańczyć!

— Położyła się do łóżka...

— A więc tydzień trzymać ją na diecie, niech Catignani idzie do niej i niech jej każe zażywać lekarstwa. Jest rada na grymasy...

— Czy marszałek ma wykreślić taniec z programu?

— Bynajmniej, za wiele triumfu dla polskiej panny; i bez niej się obejdzie. Laura z Faustyną niech odtańczą włoski, a potem hiszpański taniec.

Były to nazwiska dwóch najpiękniejszych Włoszek z fraucymeru królowej, za któremi połowa młodzieży szalała, a nawet i starsi dygnitarze dworu chętniej do nich, aniżeli do zagranicznych posłów zwracali swe rozmowy. W pierwszej oddawna kochał się Lubomirski, a w drugiej Skoruta, zamożny szlachcic z Rusi.

Wieczorem tak zwana niebieska sala świetnie była przystrojona, tron królewski tworzył środek, od którego się w półkole rozchodziły rzędy ławek. Wewnątrz półkola wolne zostawiono dla tanecznic miejsce, turecką wysłane makatą. Laura

i Faustyna zabawiały się rozmową, siedząc w pobliżu królowej i dopiero na jej skinienie zeszły na środek sali; paziowie podali im tamburina. Rytmiczny to był taniec, polegający właściwie tylko na harmonijnych ruchach kibici, podobny do dzisiejszej neapolitańskiej taranteli. Do hiszpańskiego, bardziej ożywionego, ale podobnego tańca przygrywał na lutni Koszyrski, zdatny do wszystkiego...

— Rojzusz-by lepiej tańczył — ozwał się zcicha któryś z błaznów, co powszechny stłumiony śmiech wywołało, trzeba bowiem wiedzieć, że Rojzusz był profesorem rzymskiego prawa na krakowskiej Akademji, a pomimo że z pięknej pochodził Hiszpanji, przecież należał do najbrzydszych i najniezgrabniejszych ludzi swego czasu i do tańca w żaden sposób się nie kwalifikował.

Zaledwie taniec się skończył, wszystkie głowy zwróciły się ku Koszyrskiemu, który miał zagrać na cytrze. Włócząc się po Niemczech, zapoznał się bliżej z instrumentem i nakoniec grać się na nim nauczył, w Krakowie zaś opowiadał dziwne rzeczy o nauczycielce, której ten talent zawdzięczał.

— Gdym się przeprawiał przez Alpy, wracając z Bononji — mawiał dowcipniś — zbłądziłem jednego wieczora, spóźniwszy się na nocleg, a idąc za światłem wpadłem, niby drugi Ulisses, w ręce jakiejś czarodziejskiej Circe. Mieszkała ona w ogromnej jaskini, szafirowej jak strop niebieski w noc gwiazdzistą, siedziała na tronie z brylantów i grała piękniej na cytrze niż Arion na lutni. Zgubnąć to jednak muzyka; kto się tam przybliży, idzie jak na lep do jaskini, oczarowany pięknymi tonami i nie ma więcej siły na świat powrócić. Nieporuszeni, jak glazy, siedzą tam różni ludzie wokoło i będą na wieki słuchali zdradliwej czarodziejki. Widziałem w pieczarze naszego króla Bolesława Śmiałego, o którym mówią kronikarze, że pogrzeban w jakimś klasztorze, widziałem Mahometa w zielonym turbanie i ojca naszego Stańczyka, który miał zginąć na Tatarach — słowem na tysiące patrzyłem ludzi, przykutych od sta i tysiąca lat odgłosem muzyki.

— A jakżeś się ty Koszyrsiu stamtąd wy dostał? — pytano go się.

— Ba! od czegoż się rodziłem w Wielkopolsce... Patrzyłem

uważnie, w jaki sposób owa czarodziejka palcami przebiera, starałem się zapamiętać jej melodje i razu pewnego prosiłem ją, aby mi chwilę zagrać pozwoliła. Z początku się wahała, ale wkońcu nie mogła mi odmówić grzeczności, siadła tuż koło mnie i cytrę mi podsunęła. Jakem też zaczął grać, tom ją przeszedł biegłością i uczuciem, a po chwili spostrzegłem, że i ona pod wpływem tej muzyki nieczułą i nieporuszoną być zaczyna. Grałem więc jeszcze z większym ferworem, jakby sam Orfeusz, tak że duchy tam siedzące chrapały z wielkiego wrażenia; a gdym już widział, że czarodziejka stoi jak słup soli i że nie tak szybko się zbudzi — co mi nóg starczyło zacząłem uciekać i nie oglądałem się, aż dopiero daleko za cudowną jaskinią...

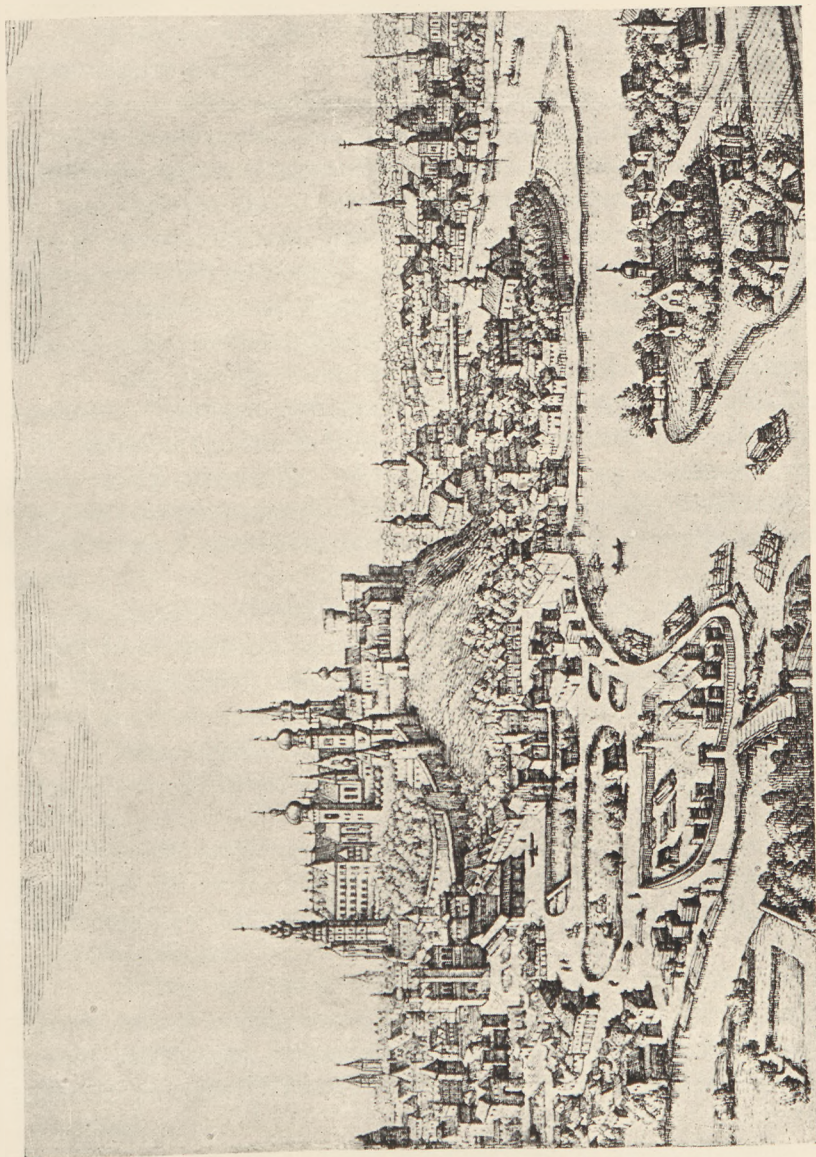
— A czy inni nie puciekali wraz z tobą?

— Mahomet tylko drapnął, bo był najbliżej wyjścia i dlatego Turcy gotują się teraz do wojny...

Nie dziw więc, że gdy Koszyrski zagrał, wszyscy z niemałą słuchali uwagą, a gra do tego stopnia podobała się Colonnie, nie znającemu cytry, że zdjął z palca pierścień ze starożytną kameą i ofiarował go w upominku artyście...

Dwór królewski niemało liczył ludzi światowych, dowcipnych i awanturników. Z Koszyrskim mógł iść w zawody sekretarz Zambocki, nie taki może zwinny i nie tak stałego humoru jak tamten, ale zato obieżyświat, który już był w swem życiu katolikiem, Turkiem, luteraninem i Bóg nie wie czem; chodził w turbanie i z niemieckimi faworytami, a mistrzowsko urządzał wszelkie uroczystości, szczególny mając do tego spryt i inwencję. Zambocki widywał we Włoszech przedstawienia trochę podobne do dzisiejszych baletów, zwane tam „Moreskami“, podjął się więc na przyjęcie Colonny na ich wzór urządzić maskary. W pobliżu błękitnej sali, pod starożytnymi dębami, wystawiono pod jego kierunkiem umyślnie w tym celu rodzaj wielkiej sceny bez dachu, w której dęby i gwiazdziste niebo naturalną tworzyły dekorację. Tam miało się odbyć przedstawienie... Po skończonym też popisie Koszyrskiego udało się całe zgromadzenie na krążanki, aby się stamtąd swobodnie przypatrywać widowisku.

Było się czemu przypatrzeć; pacholki w kraciastych jak szachownica ubraniach, z pochodniami w ręku oświecali kawał



Zamek królewski na Wawelu w końcu XVI w.
Według współczesnej ryciny

lasu, z którego na wielkim rydwanie zbliżała się Minerwa w zbroi, z sową w ręku, tworząc swą powagą niemal kontrast z jowialnymi Satyrami, ciągnącymi rydwan.

— Królowa światła! Królowa mądrości! — wołały Satyry — czarne duchy z drogi!

Wtem z boku nadciągała czereda Turków, groźne wznosząc okrzyki i chcąc zatamować triumfalny pochód bogini — Satyry zaczęły się płoszyć, najmniejszy z nich, karzeł Kmity, wsunął się pod rydwan, sama tylko Minerwa podniosła puklerz, jak-gdyby gotowa do boju. Znalazła jednak wybawców: kilkudziesięciu polskich rycerzy z orlemi piórami wypadło z drugiej strony, rzuciło się na Turków, zmusiło ich do ucieczki i prowadziło boginię w triumfalnym pochodzie śpiewając:

— Gdy światło wieczystej Romy z polskiem się połączy męstwem, pierzchną wrogowie wiary, zginą synowie proroka...

Zaledwie rycerze z Minerwą zniknęli w ciemnościach boru, aliści wśród wrzasków i okrzyków ukazało się kilkunastu dziwnie poprzebieranych błaznów, z których jeden na ogromnym koniu tuszą i wzrostem przypominał kogoś z dworzan królewskich...

— Wszak to Górski! — wołano z radością, a sami nawet królestwo od śmiechu na ten widok wstrzymać się nie mogli.

Chór błaznów, najróżnorodniejsze wyprawiając grymasy, zaczął śpiewać wydrzeźniając się niejako rycerzom:

— Gdy światło wieczystej Romy — z naszą się połączy głupotą — pierzchnie Minerwa — Apollo, zostaną synowie proroka...

Chór ten miał ogromne powodzenie; stary Zygmunt kazał przywołać do siebie Zambockiego jako twórcę całej maskary, przedstawił go Colonnii i pozwolił mu sobie wybrać konia z knyszyńskiego stada.

— Należy mu się ten podarek królewski — dorzucił w pobliżu siedzący podkanclerzy Tomicki — jeżeli już nie za efektownie wystawione maskary, to za liczne korespondencje, które pisze w kancelarji Waszej królewskiej Mości z chwałą Rzeczypospolitej...

Krzycki, wieczny rywal Zambockiego na sekretarstwie, powstał w najgorszym humorze i całą noc ślęczał nad paszkwilem,

w którym nazajutrz suchej nitki na nim nie zostawił, posądżając go, że niedawno był Turkiem, a dzisiaj Lutrowi duszę swą zaprzedał.

Na koniec wieczornych zabaw ukazała się jeszcze Faustyna, tym razem przebrana za Muzę, a akompanijując sobie na lutni śpiewała pieśń włoską o jednym z bohaterskich przodków Colony.

— Co ona śpiewa? — spytano się Koszyrskiego, który wszystkim mówił językami.

— O tem, że niema jak polski kraj — bo chuda Włozka przyjedzie tutaj w połatanych trzewikach, a wyjedzie w aksamiatach haftowanych perłami. Pokazuje się, że nasza ziemia nie tylko pszenicę, ale i perły i jedwabie rodzi, zależy tylko od tego jak się ją uprawia.

— I ile się żąda dukatów, sprzedając urzędy koronne — dorzucił Stańczyk.

V.

— Ślub karłów! — powtarzano sobie od kilku dni, a Niepołomice nie pamiętały takiego zbiegowiska ludu, jakie było widać nazajutrz przed tamtejszym kościołem. W murach mógł się za ledwie pomieścić dwór królewski, więc wiejska publiczność utworzyła szpaler około drogi, a dzieci pięły się jak wiewiórki po drzewach, ciekawe niepospolitego widowiska.

Dwóch paziów królowej i dwie panny z jej fraucymeru družbowały karłom, a sam ksiądz Gamrat ślub dawał. Karlica zalewała się łzami, przystępując do stopni ołtarza i zwracała się ciągle do dawnej swej pani, do wojewodziny kamienieckiej, jakgdyby ją błagała o wyswobodzenie z narzuconego związku, pan młody, Kornelek, nie tak tragicznie pojmował swe położenie, gdyż przedewszystkiem za pierwszy pomyślny skutek małżeństwa uważał liczne podarki, jakimi go dwór obsypie. Po odbytych obrzędzie i karlica odzyskała dobry humor, a nawet z pewną dumą spoglądała na dziewczęta, które się rade były wydać, a napróżno na tę intencję suszyły piątki i soboty. Jedynie pani Kamieniecka marszczyła czoło, traciła bowiem ulubioną karlicę, a w interesie Zapolyi nic u królowej nie wskórała, bo

Zygmunt w małych rzeczach wprowadził swą Włoszcę ustępował, ale w ważnych sprawach niełatwo dał się powodować i nie myślał bynajmniej o narażeniu spokoju państwa dla pretendenta, który mu żadnych nie mógł przynieść korzyści.

Ślub odbył się umyślnie wcześniej zrana, gdyż królestwo z całym dworem udali się wprost z kościoła na polowanie do niepołomickich lasów. Z litewskich borów niewidzianej wielkości przywieziono niedźwiedzia w klatce i miano go dzisiaj wypuścić, aby padł pod królewskim oszczepem. Cała kawalkata w myśliwskich była strojach. Najokazalej, rzec można, wyglądała królowa. W sobolowym kółpaku, w niebieskiej jak zwykle sukni również sobolami szeroko bramowanej, dzielnie siedziała na niespokojnym tureckim szpaku, wrywającym się na czoło myśliwskiego grona. Za pasem miała sztylet i pistolet o prześlicznej złotej rękojeści, ozdobionej emalją i drogiemi kamieniami. Za nią na litewskim mierzynku jechał jej giermek w żółtej koszulce i zielonej spódnicy, podobny raczej strojem do kobiety niżli do mężczyzny. Giermek trzymał nowomodną broń, która po raz pierwszy na tem polowaniu miała złożyć dowody swej doskonałości. Była to strzelba ze skałką, mniejsza od arkebuzy, a większa od pistoletu, francuski wymysł, podarunek rycerskiego Franciszka I. Strzelba nadawała się swym zgrabnym kształtem do lekkiej kobiecej ręki, a nadto miała być nadzwyczaj celna, tak, że wielu starszych myśliwych, niedowierzających nowym wynalazkom, z większą ciekawością oczekiwano praktycznego rezultatu tej broni, zwanej „petrinałem“, aniżeli litewskiego niedźwiedzia.

Wogóle broń i przybory myśliwskie wielką tworzyły rozmaitość. Jedni, jak np. strzelcy Radziwiłła po staroświecku jeszcze wyjechali z łukami i kołczanami, z ironją spoglądając na myśliwych, którzy tylko konie płoszyli a rzadko trafiali, inni lepiej dowierając własnej sile, aniżeli dobroci broni, szli z szerokim oszczepem, inni nareszcie zaopatrzyli się w arkebuzę. A cóż mówić o zbytkowej broni, którą było widać w królewskim orszaku! Co za prześliczne kordelasy i noże myśliwskie z najznakomitszych fabryk w Brescji i Florencji, co za pistolety i oszczepy, istne arcydzieła sztuki!

Colonnę szczególnie bawiły polskie sokoły, o których utrzy-

mywał, że lepszych mu się nigdzie widzieć nie zdarzyło, jechał więc konno z takim ulubieńcem na ramieniu, ubranym w szkarłatny kapturek. W miarę jak koń szybkim pędził krokiem, sokół podnosił skrzydła i rad był prześcignąć go lotem, gdyby nie łańcuszek, na którym był przymocowany do stalowej jeźdźca koszulki.

Stańczyk także towarzyszył konno królestwu, za jedyną broń mając swą grzechotkę.

— A nie boisz się Stańczyku — pytał go Koszyrski — iść z grzechotką na grubego zwierza?

— Mniej niebezpieczny litewski niedźwiedź, aniżeli ta włoska gadzina — odpowiedział, wskazując na Bonę — a przecież się jej nie uląłem!...

Klatkę z niedźwiedziem ustawiono w pobliżu Wisły, tak, że zwierz mając odwrót wodą odcięty musiał się w las puścić, gdzie za krzakami i drzewami czekało nań trzystu wieśniaków z oszczepami, a na bezpieczniejszych stanowiskach panowie z dworzaczami. Królowa w towarzystwie Kmity znalazła się na ustroniu pod wielkim rozległym dębem, Zygmunt nie zbliżał się do koła myśliwych, będąc tego dnia nieco ociężałym, ale kazał namiot rozbić woddali i zabawiał się tam rozmową z podkanclerzym Tomickim i z panem Sewerynem Bonarem, z których pierwszy sprawy polityczne, drugi finansowe trzymał w swym ręku.

Zbliżyły się jednak do królowej. Nie zdawała się w tej chwili wiele zważać na myśliwskie przygotowania, ale opuszczając cugle, z uśmiechem pełnym kobiecego wdzięku zwróciła się ku wojewodzie.

— Powiadają — mówiła — że królestwo polskie podobne do partji szachów, gdzie król stoi nieporuszony, a królowa tylko wszędzie drogę zabiega; dzisiaj się to prawdą być zdaje, bo król pod namiotem, a ja na myśliwskim stanowisku.

— Może to nietylko dzisiaj się tak dzieje, Miłościwa Pani — odpowiedział Kmity z dworską uprzejmością — mała ręka Waszej królewskiej Mości rumakiem i ludźmi dzielnie kierować potrafi.

— Kiedy tak sądzisz, mój wojewodo, to powiedz mi przecież, czemuś chciał być w tej partji szachów?

— Rycerzem królowej, tym, który obok niej stoi i zawsze

ma sposobność ukłęknąć przed nią i oddać jej hołd jako najmędrszej władczyni i najpiękniejszej kobiecie.

— Powiedziałeś może zbyt porywczo, mój wojewodo! Wieszże, jak ciężkie obowiązki na szachownicy ma rycerz królowej? Wszakże on to musi w jej stawać obronie, przychodzić w pomoc, gdy rycerz innego zbliża się koloru, musi bacznie spoglądać na wszystkie strony i strzec się całej chmury dworzan, a więc owego konia, co przez trzy pola skacze, i zdradzieckiego chłopka cichaczem zachodzącego z boku i wieży idącej prosto, ale śmiało — jak nasz podkanclerzy Tomicki.

— Oględność, baczność i odwaga, to pierwsze zalety rycerza. Nieprzyjacielskim koniem dla niego na szachownicy Tarnowski, który ma siłę i odwagę, aby trzy pola przesadzić, zdradzieckim chłopkiem Chojeński, co stale a wytrwale czyha na to, by szkodzić potędzie królowej, trzeciego sama nazwałaś Miłościwa Pani.

— Zgadujesz moje myśli. Czyż się jednak możemy spuścić na giermków i rumaki naszego koloru; któż nam będzie wieżą?

— Gamrat, mówię to bez ogródki; za wiele w nim bowiem pychy, a za mało przewrotnego sprytu, ażeby szedł inną niżli prostą drogą; naszym giermkiem Krzycki, jako Tatar dobry do podjazdowej walki, a dobrze że stoi o jedno pole dalej od królowej, gdyż powinien być sługą, ale nie poufnym dworzaninem. Naszym koniem będzie czasem pan Łukasz Górka, tylko że temu koniowi trzeba dużo owsa dawać.

— Trafnie powiedziałeś, pasuję cię wojewodo na mego rycerza! — rzekła Bona, podając mu rękę do pocałowania.

Wołania: niedźwiedź! niedźwiedź! przerwały rozmowę, dzielnego więźnia wypuszczono z klatki.

Ogromne psy rzuciły się na niego, trzymane dotąd na sforach — rozpoczęła się krwawa walka. Misio się dzielnie opierał, najodważniejszego psa tak zręcznie schwycił, że nietylko zabił go na miejscu, ale sobie na chwilę wolne otworzył pole. Natarł nań jednak w pobliżu stojący Tarło, zwycięzca z gonitw do pierścienia, człowiek olbrzymiej siły; oszczep błysnął w powietrzu, ale się ześliznął po twardej skórze; niedźwiedź powalił nieprzyjaciela, nie mógł jednak korzystać ze zwycięstwa, gdyż zobaczył cały tłum biegnących ku niemu pachółków i jednym

zwrotem ciężkiego ciała pomknął w ową stronę, gdzie stała królowa. Niespokojny jej koń spłoszył się, a wprawdzie Kmita w jednej chwili schwycił go za cugle swą silną prawicą, ale królowa straciła równowagę i ciężko upadła. Dumna kobieta ukryła jednak ból, a szybko się podnosząc rzekła do Kmity:

— Złą wróżbą się nasze zaczyna przymierze... upadkiem królowej.

— Kto się tak prędko podnosi, ten wiecznie stać będzie — odpowiedział Kmita, podając jej rękę.

Błazen Kmity, Jasiek, który zdaleka niepostrzeżenie śledził rozmowę swego pana z Boną, przybiegł także czem prędej, aby potrzytać konia królowej, podczas gdy Kmita podawał jej strzemię.

— Wszak prawda Miłościwa Pani, że tak urodziwego pana jak Kmita nie tak łatwo znajdzie! — odezwał się błazen spoglądając na królowę ze słośliwą miną.

— Ani słowa więcej! — zawołał Kmita i w twarz go uderzył, poczerwieniawszy od gniewu.

Bona zdawała się nie uważać słów błazna i spiąwszy konia wyruszyła naprzód.

Błazen chwycił się za policzek, a spoglądając na odjeżdżającego Kmitę, powiedział zaciskając rękę:

— Jeżeli nie za życia, to ci po śmierci ten policzek oddam...

A błazen był mściwy... Wprawdzie odtąd stał się największym pochlebcą wojewody, ale zarazem i najskrytszym jego nieprzyjacielem, a codziennie odnawiał ślub, że zbecześci dumnego pana...

Tymczasem niedźwiedź dostał się w głąb lasu i niemało nastraszył Stańczyka, stojącego ze swoją grzechotką. Trefniś zadyszany schronił się pod namiot królewski.

— Począłeś sobie nie jako rycerz, ale jako błazen, żeś przed niedźwiedziem uciekał — przemówił doń Zygmunt.

— Gorszy ten błazen, kto mając w skrzyni niedźwiedzia, puszcza go na swoją szkodę...

Król się dobrodusznie uśmiechnął, bo „błazeńska rzecz niema odpowiedzi...”

Niedźwiedź dzielniej się sprawił niż myśliwi, ukrył się bowiem w niepołomickiej puszczy, a dwór nie mając ochoty ścigać

go w gęstwinie, zgromadził się pod królewskim namiotem. — Zastawiono obfite śniadanie, a ten i ów radził, jakby nazajutrz nową urządzić wyprawę, któraby więcej niż dzisiaj miała powodzenia. Jako jedyne trofeum przyniesiono Nielitościwie poszarpanego zająca, którego mimochodem schwytały charty królowej. W braku grubszej zwierzyny szarak stał się powodem rozmów, a nawet królowa zbliżyła się zobaczyć ofiarę. Krzycki szukający zawsze zbliżenia się do pani, od której się spodziewał płockiego biskupstwa, znalazł się natychmiast.

— Cóż wasza miłość, księże biskupie, tak się zastanawiasz nad losami zająca? — zapytał go złośliwie pan Seweryn Bonar.

— Elegję na jego zgon układam — odpowiedział przytomnie Krzycki.

— Zapewne wiesz, co zając myślał umierając? — wtrącił Bonar.

Królowa usłyszała ucinkową rozmowę, a zwracając się do poety chciała go swą łaską ochronić i wezwała, by wygłosił ową elegję, o której wspominał:

— Tak myślał szarak, gdy go szarpały wasze charty, miłościwa królowo:

Szybszego ode mnie nie znano zająca,
Psów się nie bałem, ni jeźdźców pogoni.
Bezpiecznie żywot pędziłem wśród borów.
Lecz gdym zobaczył precudną królowę
Oczy jak gwiazdy i łabędzią szyję,
Stałem, dziwnym olśniony urokiem...
Dałem się schwytać, by na Nią spoglądać...
Powód rozkoszy był przyczyną śmierci,
Uległem z dumą, że mnie ta schwytała,
U której Jowisz chciałby być w niewoli...

— Brzydki pochlebca, dostanie biskupstwo! — mruknął odchodząc Bonar i nie mylił się, bo Krzycki wkrótce cel swych życzeń osiągnął...

Polowanie smutno się skończyło, gdyż Bona ciężko zachorowała wskutek potłuczenia się — orszak myśliwski wkrótce też powrócił do niepołomickiego dworu. Błazen Kmita jechał ostatni, trzymając się za policzek, a powtarzał ciągle...

— Jeśli nie za życia — to ci go oddam po śmierci!

VI.

— Cóż tam za zbiegowisko przed Hallerem? — pytał się ktoś Koszyrskiego, idącego krakowskim rynkiem.

— Karlów pakują dla cesarza! Wielki poseł Dantyszek nie może do porządku doprowadzić sukcesyjnej sprawy po matce naszej królowej, może mali posłowie co pomogą... Pierwszy mówi za wiele, od drugich wprawdzie nikt słowa nie usłyszy, ale to podobno na jedno wyjdzie na hiszpańskim dworze... Czy tak czy owak niedługo się będziem cieszyć tem księstwem baryjskiem, król nasz nie pośle swego rycerstwa do Włoch, a królowa słodkimi listami także nic nie pomoże...

Przed handlem Hallera stała wielka bryka czteroma zaprzężona końmi, w niej mnóstwo worów i worków; w jednym kącie zalana łzami karlica, w drugim karzeł z posępną miną, a koło nich na najlepszem miejscu siedział Gerlicz, kurjer królewski, którego zwykle pan Bonar z ważnemi wysyłał depezsami. Bryka ta co miesiąc jeździła do Wrocławia i jedyną była stałą okazją dla kupców i dworu. Niejedna dama z fraucymeru Bony oczekiwała z niecierpliwością jej przybycia, w niej bowiem mieściły się aksamity i atłasy weneckie, w niej norymberskie zegary i szkatułki, w niej myśliwy znalazł broń z Brescji, a podkanclerzy Tomicki listy od Dantyszka z Hiszpanji, w których się wicznie skarżył, że nie ma pieniędzy...

Biedne karły daleką miały drogę. Wrocław, Norymburga, Antwerpja i Toledo — to główne etapy, a podróż conajmniej musiała trwać ośm miesięcy. We Wrocławiu oddano ich agentom słynnych na cały świat Fuggerów, bankierów augsburskich. Dom Fuggerów podówczas tyle znaczył co do niedawna firma Rotszyldów. Przy cesarskim dworze w Hiszpanji mieli Fuggerowie swoją filję, król Zygmunt przekazywał im swoje wypłaty, a mało było książąt niemieckich, którzyby u nich nie zastawiali swych familijnych klejnotów.

W bogatej Norymberdze dłuższy nastąpił wypoczynek; karzeł zaczął się oswajać ze swoim losem i nadzwyczaj szybko się wprawiał w niemiecki język, karlica jednak mizerniała coraz bardziej, tęskniła za domem, a gdy jej w Antwerpji przyszło

siąść na okręt, oczy sobie chustką zawiązała, aby nie patrzeć na swoje nieszczęście...

Karol V bawił podówczas w Toledo, a zagraniczni posłowie, pomiędzy nimi i Dantyszek, wraz z cesarzem zmieniali ciągle siedziby. Nie dziw też, że w krótkim przeciągu czasu poeta-posel musiał się przenieść z Barcelony do Madrytu, stamtąd do Valladolid lub Grenady, później do Brukseli i Gandawy, i wszędzie z niemałym kosztem na nowo się osiedlać. Ajent Fuggerów Wolff bawił także chwilowo na cesarskim dworze i on mu to powiedział o przybyciu karłów do Hiszpanji. Dantyszek dowiadywał się też ciągle u Fuggerów, czy rychło nadjadą mali goście; dopiero jednak po upływie dziesięciu miesięcy dano mu znać, że kurjer bankierów wraz z karłami wjechał już do miasta. Karlica tak wynędniała, że poseł musiał małe małżeństwo wziąć na jakiś czas do swego mieszkania i odżywić je nieco, nimby mógł u cesarza żądać posłuchania...

Małe mieszkanie Dantyszka musiało swe ściany rozszerzyć, aby pomieścić polską kolonję. Niełatwą to było sprawą, bo wszystko w tem mieszkaniu nosiło cechę chwilową, tymczasową, jakby na popasie w oberży. Niewielkie miasto nie mogło wygodnie pomieścić cesarskiego dworu, więc też i posłom nie najlepsze wyznaczano kwatery.

— Lepiej u nas w Krakowie — skarżył się Dantyszek Wolfowi, z którym oddawna był w przyjaźni — król i dworzanie składają się na to, żeby zagranicznemu posłowi na niczem nie brakło, dadzą mu dom na mieszkanie, przyślą leguminy, węgryzna wtoczą w piwnicę poddostatkiem — i grosza nie potrzebuje na swoje potrzeby; tutaj gdym przybył, zaprowadzono mnie do izdebki, której nie zamiatano od niepamiętnych czasów, a w sąsiedztwie miałem jakieś wesołe kobiety, tak, że mieszkać tam, nie zgadzało się z poselską powagą.

Biedny Dantyszek opowiadał dalej, jak musiał inne, za własne pieniądze wynajmować mieszkanie, jak mu prócz czterech beczulek wina żadnych nie dostarczano zapasów, jak chodził po mieście skupować talerze i sługi przyjmował, żeby jako tako móc reprezentować wielkiego króla...

— A nadomiar kłopotów pieniędzy nie miałem — dodawał

Dantyszek — od ośmiu miesięcy ani asygnacji na czerwone złote do Fuggerów, ani listu z Krakowa, ani człowieka, któryby mi cośkolwiek doniósł z kraju. Żeby nie znajomy dr. Brantner, z którym się jeszcze znałem na dworze ś. p. cesarza Maksymiljana, nie miałbym nawet u kogo zaciągnąć pożyczki. On mi dał paręset czerwonych złotych i tem żyję do dzisiaj.

Dantyszek niepospolitego zdradzał człowieka; wesoly, dowcipny, bywalec, znał dworskie intrygi dokładnie, przyjaciół miał rozrzuconych po całym świecie, kurjerów do wszystkich państw obsypywał swemi korespondencjami, królowi szeroko i długo opisywał co się dzieje na cesarskim dworze, prywatnych nawet sięgając stosunków, a gdy był w dobrym humorze, to i wiersz wmieszał do dyplomatycznej noty. Cesarz go lubił, więc łatwiej niż innemu dawał posłuchanie, a nawet szlachectwem i herbem go obdarzył, czem mu niemałą zrobił przyjemność, bo to należało do słabych stron posła, że rad był nosić herbową tarczę i pokryć nią trochę gdańskie swe mieszczaństwo i swych przodków, którzy podobno powrozy kręcili. Pan poseł czyli raczej orator, jak go wówczas zwano, miał jeszcze i inne słabe strony; jedna nazwiskiem Dorotka została w Krakowie i pilnie się wypytywała przyjaciół o listy z Hiszpanji, druga była szczęśliwsza, bo nie wiedziała o pierwszej, ale się wychowała pod pięknem niebem Aragonji.

W kilka tygodni po przybyciu karłów prosił Dantyszek o audjencję. Niełatwą to jednak było rzeczą dostać się do cesarza, który albo liczne przyjmował poselstwa i rządził swem państwem, w którym słońce nigdy nie zachodziło, albo jeździł na polowanie, albo też — i to bardzo często — chorował na febry i goście. Trzeba też było czekać i dwa i trzy miesiące, zanim się miało zaszczyt być doń przypuszczonym, choćby na dwie minuty. Tym razem jednak szczęśliwiej się udało, sam cesarz rad był zobaczyć przysłane mu karły.

Nie koniec jednak było tych trudności. Dworski zwyczaj wymagał, aby obcy poseł idąc do cesarza, miał koło siebie orszak złożony z kilku tamtejszych biskupów, albo innych cesarskich dygnitarzy. W takiej tylko asystencji mógł się godnie pokazać na pokojach. Tymczasem ci biskupi i dygnitarze nieradzi byli tylko dla pięknych oczu posła przywdziewać drogie szaty i nie-

bardzo zabawną do zamku odbywać pielgrzymkę. Trzeba ich było dobrze uraczyć „na przynętę“, trzeba było otwarty dom prowadzić, w którymby od czasu do czasu wesoło zabawić się się mogli...

Dantyszek w najgorszym był tedy humorze, nie mając dość pieniędzy, aby przyjąć uciążliwych gości; zagniewany też napisał do kanclerza Tomickiego, powiernika wszystkich swych myśli:

— Oszczędzam się jak mogę, ale mniej od stu dukatów miesięcznie wydawać nie jestem w stanie, chcąc żyć odpowiednio do mego urzędu... Rachunki zresztą wykażą, że szczerą mówię prawdę. Za siedmdziesiąt dukatów, które mi Jego królewska Mość przeznaczył miesięcznie, nie mogę się utrzymywać jako orator, tak jak się utrzymywać zacząłem; za te pieniądze będę żył jako agent i faktor, z jedną mulicą i trzema lub czterema sługami, biorąc jedzenie z pierwszej lepszej garkuchni. Jeżeli jednak Jego królewska Mość chce mieć tutaj swego oratora, to niech sto złotych wyznaczy. Co innego być posłem w Rzymie, albo gdzie indziej we Włoszech, a co innego na dworze cesarskim i do tego w Hiszpanji!... Ś. p. księżna Izabella, matka naszej królowej, miała niegdyś posła w Barcelonie, któremu płaciła ośmdziesiąt dukatów miesięcznie, ale też nie miał on jak tylko jedną mulicę i czterech służących; jakżeż ja mam za siedmdziesiąt złotych istnieć jako poseł wielkiego króla z sześcioma lub siedmioma końmi i dziesięciu sługami, mając prawie zawsze gości u siebie?... Niech za mnie kto inny tutaj przyjedzie, a ja będę pisał w kancelarji Waszej Miłości, bom do tego przywykłem... Ze służących, których wzięłem z domu, nie mam już żadnego, bo nikt nie chce tutaj ze mną na polskim chlebie wojować, każdy rad mieć swe miesięczne dukaty, bo tutaj wszystko droższe niż u nas, a wikt podwójnie droższy jak w Valladolidzie albo w Madrycie... Przeszłego lata, podczas piekielnych upałów, wydawał mój gospodarz po dziesięć dukatów na trzy dni... Tej jesieni tak się urządziłem, że trzy konie sprzedawszy mogłem wydawać tylko czternaście dukatów, czy tak długo potrwa, nie wiem.

Dantyszek wylał wszystkie swe żale na papier, a te same skargi, co on, wywodziło mnóstwo ówczesnych posłów, których stan nie był do pozazdroszczenia. Ileż to Machiavelli nie nagnie-

wał się na swych Florentczyków, że mu pieniędzy nie przysyłają, a posławać każą! Ta tylko była różnica pomiędzy większą częścią innych posłów a Dantyszkiem, że inni napróżno pisali o pieniądzu, a Dantyszek dostał czego pragnął od króla Zygmunta, gdyż asygnacja do Fuggerów na sto dukatów miesięcznie niebawem nadeszła.

Wypisawszy swe skargi pożyczyl Dantyszek pieniędzy od Wolffa, sprawił obiad trzem biskupom i trzem świeckim dworzanom, przywdział swój strój atłasowy, kupiony jeszcze w Wenecji, karłów wystroił jak mógł najlepiej, swej służbie składającej się z sześciu pacholków kazał wystąpić w gali i jak na oratora przystało wyruszył do zamku.

Po nabożeństwie cesarz zasiadł na tronie. Przy nim stał wielki kanclerz cesarstwa i kilkudziesięciu dworzan. Mówił najprzód z papieskim i angielskim posłem, poczem przyszła na Dantyszka kolej, który mając obok siebie karłów w tych słowach po hiszpańsku rzecz uczynił:

— Wielkość, potężny cesarzu, nie bawi twych oczu, gdyż zanadto się z nią oswoiłeś, a próżnemby było staraniem, chcieć ci nieznanne przynosić dary... Wielkich ludzi, śmiałych wodzów, roztropnych ministrów masz już poddostatkiem — więc moja miłościwa królowa najmniejszych Ci posyła poddanych sądząc, że wielki umysł chętnie się do maluczkich zniża i w nich znajduje rozrywkę...

Cesarz łaskawie odpowiedział na te słowa, a wypytawszy się karła po niemiecku, jak długo jechał do Hiszpanji i jak mu się tutaj podoba, polecił go marszałkowi dworu.

VII.

Wielki kanclerz cesarstwa Mercurino di Gautenaria, jako prawdziwy dyplomata lubił wszelkie ważniejsze sprawy załatwiać przy dobrem śniadaniu i pełnym kielichu, a że Dantyszek przyczyniał się niemało do ożywienia towarzystwa, częstym więc był u niego gościem. W kilka miesięcy po przybyciu karłów do Toledo, dość liczne się u kanclerza zebrało towarzystwo, a gdy już wesołość na wszystkich znać było twarzach, wstał dr. Brantner, który prowadził sprawy niemieckie na cesarskim dworze,

a obróciwszy się z puharem do Dantyszka w te do niego przemówił słowa:

— O dwór cesarski najważniejsze się opierają sprawy, tutaj nieraz Marsa pobudziliśmy do krwawej czynności, tutaj się ważyły losy arcychrześcijańskiego króla, gdy jeszcze był w niewoli, stąd co godzinę wychodzą rozkazy na wszystkie strony świata do Włoch i Flandrji, do Niemiec i do zamorskiej Hiszpanji. Gdy wszakże zbieramy się przy gościnnym stole kanclerza, gdy pełny puchar krąży wokoło, wtedy jest dla nas jedna sprawa najważniejsza, ważniejsza od przymierza z Gallami, ważniejsza od medjolańskiej sukcesji, ważniejsza nawet od urzędzenia flandryjskich prowincyj — a to sprawa baryjskiego księstwa. Gdyby jej nie było, nie mielibyśmy pomiędzy sobą polskiego oratora, nie mielibyśmy najlepszego naszego towarzysza. Więc radbym, żeby się ta sprawa przeciągała w nieskończoność, żeby zawsze w baryjskim zamku był cesarski kasztelan, o którego oddalenie starałby się Dantyszek. Niech żyje orator polskiego Króla Jego Mości!

Powszechny śmiech rozległ się po komnacie, a Dantyszek podziękował natychmiast za przyjacielskie życzenie, zaręczając, że jeśli im tak miłe jego towarzystwo, to niechaj się tylko przyczynią do zupełnego oddania zamku baryjskiego w ręce wysłaników królowej, a jemu będzie najmilej nigdy nie opuszczać ich przyjacielskiego koła...

Wchodzący karzeł przerwał rozmowę gdyż przyniósł od cesarza jakieś listy do kanclerza...

— Pójdź do mnie Kornelku — zawołał go Dantyszek, gdy się kanclerz na chwilę od stołu oddalił — pokaż dawną sztukę, nalewaj puhary!

Kornelek wesoło poskoczył, nalał temu i owemu wśród powszechnej wesołości, gdy się jednak zbliżył do Dantyszka, powiedział mu zeicha:

— Miejcie się na baczności oratorze, kanclerz chciałby, aby z was dzisiaj wino mówiło — radby was o coś wybadać, później wam więcej opowiem.

Kanclerz wrócił tymczasem, cieszył się, że Kornelek tak zgrabnie puhary dolewa i kazał mu pamiętać o oratorze dawnej swej królowej.

— Czemu tak leniwo spełnacie kielichy? — pytał się po chwili kanclerz Dantyszka — snać że macie jakieś ukryte myśli, których się zdradzić boicie?

— Bynajmniej kanclerzu; w długiej mej na dworach praktyce, czterech się musiałem uczyć rzeczy: naprzód być cierpliwym, następnie nikomu nie wierzyć, po trzecie ukrywać swe myśli, a wreszcie przewybornie kłamać. W cierpliwości nadzwyczaj już postąpiłem, podejrzliwość staje się przyzwyczajeniem, dwóch ostatnich tylko właściwości przyswoić sobie nie mogę, aby je bowiem posiadać, trzeba na to sprytniejszego od mego umysłu, a nikt się w nich nie wydoskonali, komu ich sama nie dała natura. Czy więc jestem naczczu, czy po kilku puharach asturyjskiego wina, zawsze mówię prawdę, a próżnoby się trudził, ktoby chciał po skończonej uczcie coś nowego dowiedzieć się ode mnie...

Kanclerz odszedł, jakby go zimny, morski wiatr owionął i już więcej nie dolewał Dantyszkowi.

Na drugi dzień skradał się karzeł cichaczem do domu Dantyszka pilnie się oglądając, czy go kto nie widzi. Poseł oczekiwał go z upragnieniem.

— Cóż mi nowego przynosisz Kornelku?

— Chcę was ostrzec oratorze — mówił do niego karzeł — na dworze myśla, że jeszcze nie rozumiem po hiszpańsku, więc się z niczem przede mną nie kryją. Kanclerz podejrzewa naszą królową, że z królem Gallów się porozumiewa przeciw cesarzowi, że syna swego zamierza kiedyś ożenić z francuską księżniczką. Dlatego cesarz nie chce oddać baryjskiego zamku jej... Kanclerz umyślnie zaprosił Was wczoraj, aby Was wybadać...

— Dobrześ się sprawił chłopcze — odpowiedział mu Dantyszek — a udawaj jak najdłużej, że nie rozumiesz tutejszej mowy.

Karzeł też rzeczywiście dobrze się sprawiał i niejednokrotnie prawdziwą był Dantyszkowi pomocą, a później gdy się już dobrze nauczył języka, tak umiał rozweselić cesarza i wejść w jego łaski, że jakby dworskim był błaznem, nigdy nie wychodził z zamkowych komnat. Karol V brał go ze sobą, gdziekolwiek się z dworem przenosił, a nawet na afrykańskich wyprawach bez niego się nie obszedł. Karlicy powierzono nadzór nad cesar-

skiem i futrami, gdyż przybywszy z północy powinna się była znać na tem. Dawna Kasia pani Kamienieckiej spełniała swą służbę sumiennie, ale nikt nie widział uśmiechu na jej twarzy, tak tęskniła za krajem. W cesarskiej szatni były sobole, dar Zygmunta; karlica też z szczególną troskliwością składała je zawsze i czyściła, a dworska służba dziwiła się nieraz, dlaczego Kasia zawsze temi sobolami zajęta. Szuba przypominała jej zamek pod Krosnem, stroje polskie i dwór pana wojewody, przenosiła ją myślą w rodzinne strony... Ciągła tęsknota podkopywała zdrowie karlicy i nie pozwoliła jej ujrzeć już północnych krajów. Umarła wkrótce pod najpiękniejszym słońcem, pod niebem pogodnym Grenady, którego uroku ocenić nie umiała.

Dopóki Dantyszek był w Hiszpanji albo w Niderlandach na cesarskim dworze, dopóty w karle bardzo użytecznego miał sprzymierzeńca, a Kornelek tak się nawet przywiązał do oratora, że z każdej wolnej korzystał chwili, aby się z nim rodzinnym rozmówić językiem; gdy jednak baryjska sprawa została załatwiona, a królowa Bona weszła w posiadanie swego dziedzicznego zamku, gdy zresztą i sprawy pruskiego Albrechta nie dawały mu więcej do czynienia, Dantyszek wrócił do Polski. Karzeł po raz pierwszy może od lat wielu rzewnie się rozplakał, żegnając oratora; ciągle przenoszenie się jednak cesarskiego dworu z miejsca na miejsce i życie obozowe na wojnach dawało mu roz-targnienie.

Cesarz chciał złamać protestantyzm w Niemczech, więc przy schyłku swego politycznego i wojskowego działania więcej przebywał na północy, aniżeli w Hiszpanji. Całe życie nad tem pracował, aby zbudować potężne katolickie cesarstwo, nie dziw też, że gdy widział, iż dążenia i starania całego życia wniwecz się obracają przez odstępstwo do protestantyzmu niemieckich książąt, wszelkich używał wysiłków, aby zgnieść wyrastającą hydrę i stanąć z mieczem zwycięskim na łbie jej zgruchotanym...

Nadzieje go zawiodły; cesarz znalazł się w Innsbrucku tak otoczony przez swych nieprzyjaciół, że samotrzeć przez góry musiał się przedzierać do Karyntji. W Innsbrucku też cały swój dwór rozpuścił, a tam i nasz karzeł, siwy już starzec, po raz ostatni oglądał cesarskie oblicze. Niemało sobie zebrawszy pieniędzy, postanowił wrócić do Krakowa, pójść do Wiśnicza, uca-

łować jeszcze raz rękę dawnego pana i kości swe złożyć na rodzinnym cmentarzu.

Trzydzieści pięć lat nie był karzeł w Krakowie. Wszystko się tutaj zmieniło, stara królowa nie mieszkała już w stolicy, ale na Mazowszu, młody król ponury i smutny polował w litewskich borach, aby oddalić ciągle stojący mu w myśli obraz straconej niedawno Barbary, a zamek królewski dziwnie sposepniał i opustoszał. Dworzanie Kmity snuli się po podwórzach zamkowych, ale nie butnie i gwarno jak dawniej bywało... Na twarzy każdego przebijał się niezwykle jakiś niepokój.

— Cóż tam słyhać na zamku? — spytał karzeł pierwszego dworzanina o barwach pana na Wiśniczu.

— Alboż to nie wiecie? Pan nasz bardzo chory, mówią, że lada chwila skończy...

Karłowi młodość się przypomniała, łza zabłysła w oku, pobiegł czem prędzej do komnat, w których leżał Kmita i prosił, żeby go wpuszczono. Od chorego wyszedł błazen Jasiek, śmiejący się, wesoly jak zawsze, dziwną tworząc sprzeczność ze smutkiem rozlanym na wszystkich twarzach. Siwizny nawet z pod kaptura znać mu nie było, twarz się tylko pomarszczyła od błazeńskich grymasów, a dzisiaj jakąś szczególną szatańską zdradzała radość.

— Jak się masz kolego — wykrzyknął błazen, zobaczywszy Kornela — gdybyś był o dziesięć palców wyższy, byłbym cię nie poznał...

— Niewczesne żarty Jaśku — odpowiedział karzeł — zaprowadź mnie do pana, bym mu jeszcze ucałował rękę...

— Dla nas wszystkie drzwi otwarte, pójdź za mną, głupcy mają wstęp wolny na pańskie pokoje.

Dzielny niegdyś Kmita zaledwie błędnym wodził po komnacie wzrokiem, książdź czytał nad nim psalmy pokutne, tchnienie śmierci czuć było w komnacie.

— Kornelek! — przemówił zcicha wojewoda, dając znak karłowi, żeby się przybliżył. — Krzywdę ci wyrządziłem, posyłając cię obcym ludziom, Bóg cię zsyła, byś mi to przebaczył...

Karzeł zalał się łzami, ukląkł przed chorym i ucałował mu rękę. Błazen stał na boku i szeptał sam do siebie:

— Małe krzywdy pamięta, o większych zapomniał!...

W godzinę nie żył już jeden z najmożniejszych panów z cza-

sów zygmontowskich; człowiek dumny i namiętny, mający wielu przyjaciół i stronników, lecz i wrogów niemało. Ciągły współzawodnik Tarnowskich, nieraz swą dumą zaszkodził Rzeczypospolitej, lecz miał i świetne karty w swych dziejach, a kraj niepospolitego tracił w nim męża.

Komnata na chwilę się wypróżniła — zostało się kilku tylko bliższych dworzan, Jasiek stał przy łóżku zmarłego a karzeł kleknął w kącie i odmawiał pacierze. Na wszystkich twarzach szczerzy osiadł smutek, z oczu tylko błazna mściwy i szydlerczy przebijał się wyraz...

ROZDZIAŁ CZWARTY.

DIANA DI CARDONA.

I.

Po wielkiej mszy w krakowskiej katedrze wracała królowa do swych komnat w towarzystwie Piotra Opalińskiego, ochmistrza młodego królewicza Zygmunta Augusta.

— Czyś uważała Miłościwa Pani — rzekł do niej Opaliński — że od niejakiego czasu królewicz i Diana zawsze noszą białe konwalje, ona we włosach, a on przy płaszczu? Królewicza częściej można widzieć przy Florjańskiej bramie, aniżeli na zamku.

— Zostawcie mu ochmistrzu wolność noszenia konwalij — odpowiedziała królowa — ma on jeszcze za wiele namiętności, aby dobrze mógł rządzić, niech się ten wulkan wcześniej wypali; aby władać królestwem, trzeba mieć dużo w sercu spokoju...

Za królową wychodzili z kościoła dygnitarze, dworzanie, cały orszak świetnie przybranych panów i dam urodziwych. Prawie na ostatku szła wysoka, prześlicznej urody kobieta, która robiła wrażenie brunetki, mimo że jasne jej włosy w bogate spięte były zwoje. Pierwsza promienna młodość minęła już u niej, zostawiając po sobie ślady cierpienia, które dzisiaj dziwnie się przyczyniało do podniesienia rozlanego na twarzy uroku. W wysokiej smutnej postaci malowało się wiele powagi, a oko każdego artysty musiało mimowoli wyszukać ją w tłumie i spojrzeć na niej z ciekawością.

Była to Diana di Cardona, jedna z dam dworskich królowej Bony, pochodząca ze znakomitej hiszpańskiej rodziny. Bliski jej

krewny Jan di Cardona był biskupem Tortozy i sławnym antykwarzem i bibliofilem, a odraza tylko, jaką miał do zepsutego Rzymu, za Aleksandra VI i Leona X, nie pozwoliła mu wyjść wyżej po stopniach kościelnej hierarchji.

Królewicz wiódł ją swym wzrokiem przez kościół aż do kolasy, do której wsiadła Diana wraz ze swą towarzyszką, starszą kobietą i pojechała przez miasto na Florjańską ulicę. Służący w hiszpańskim zielonym stroju zapukał do żelaznej bramy, furte nieśmiało otworzono i pośpiesznie zamknięto, jak tylko kobiety weszły do sieni. O ile kamienica, przed którą stanęła kolasa, nazewnątrż trochę nieprzyjemne, ponure robiła wrażenie, gdyż żelazne kosze u okien daleko wystawały na ulicę, a umieszczone nad bramą mitologiczne postacie oddawna właściwą swą postać zmieniły, to sień i schody bardzo przyjemny wywoływały nastrój... Tak tam było miękko i wykwiłtnie, że już na dole można było powziąć dobre wyobrażenie o smaku i przyzwyczajeniach właścicielki. Ściany wybite były makatami, przedstawiającemi sceny z „Odyssei“, posągi dziewięciu muz znalazły sobie miejsce dobrze oświetlone, a zamiast bramy na podwórze wprawione było wielkie okno szklane z kolorowych szyb tak zestawionych, aby odpowiednie do barwistych makat rzucały światło.

— Powinnabym teraz być szczęśliwą, moja Luigo — mówiła Diana, wchodząc do komnat, do swej towarzyszki — a przecież nią nie jestem...

— Wyszukujesz sobie sama zmartwienia signora; w ten sposób nigdy szczęśliwa nie będziesz.

Za całą odpowiedź odpięła Diana świeże konwalje od włosów i starannie włożyła je w kubek z wodą. Luiga zdjęła jej welon z głowy i odeszła, Diana zaś wzięła do ręki księgi Owidjusza, ale umysł niebardzo się w tej chwili zajmował tem, co czytały, lecz błędził gdzie indziej; marzył już o terażniejszości, przeskakiwał z przedmiotu na przedmiot.

Diana miała o czem marzyć; życie jej wprawdzie jeszcze niedługie, pełne jednak było pięknych, dziwacznych a najczęściej wcale smutnych wspomnień.

Straciwszy bardzo wczesnie rodziców, wychowywała się u swej krewnej hrabiny Ribaldi w Rzymie, bezdzietnej wdowy, podeszłej już damy, która nie była w stanie tyle się nią zajmo-

wać, ile dla niej w swem sercu żywiła miłości. Wyręczały ją też mniszki z San Silvestro in Capite, ucząc małą Dianę po łacinie, wprowadzając ją w religijne i towarzyskie formy, w czym były mistrzyniami, skoro im przemożna rodzina Colonnów córy swe powierzała. Z klasztoru też najpiękniejsze wyniosła Diana wrażenia, tam po raz pierwszy opowiadano jej o cnotach Penelopy, tam z Liwjusza czytała o wielkości dawnego Rzymu, tam się jej fantazja kształciła na dziełach Dantego, a oko wprowadzało podziwiać piękności pendzla Andrzeja del Sarto, albo Rafaela. Mniszki uczyły religijności i wpajały wiarę, świat zaś jak fantasmagorje przesuwał przed młodocianym umysłem obrazy wspaniałe i śmieszne, wielkie cnoty i wielkie zbrodnie, zbytki, zabawy, festyny.

Na świecie znalazła się Diana pomiędzy hr. Ribaldi a Colonnami, do których ją zbliżyły klasztorne stosunki, z jednej więc strony miała przed sobą obraz znikającego życia, zatopioną tylko w dewocji staruszkę, z drugiej świetne dwory najpierwszych panów rzymskich, całą nić intryg, walk i ambicyj... Młodociany umysł nie zastanawiał się, nie dochodził prawdy, lgnął tam, gdzie było weselej, gdzie życie z pełnej wylewało się czary; fantazja znajdowała zaspokojenie w igrzyskach i koncertach, w strojach i teatrach...

Na cześć Diany zaczęto pisać sonety, odgłos lutni i śpiewu odbijał się o spokojne dotąd arkady pałacu Ribaldi...

— Co znaczą te nocne śpiewy, skąd te serenady? Dawniej ich nie bywało — pytała hrabina.

Diana się zarumieniła, ruszyła ramionami i z cicha skradała się ku oknu, aby w cieniach nocy rozpoznać, kto się zabłąkał z tak dźwięcznym głosem w zamarłą uliczkę.

Diana dochodziła lat siedemnastu, i w najpiękniejszym była rozkwicie. Na urodziny darowała jej hrabina familijny klejnot, rubin nadzwyczajnej wielkości. Gruba oprawa szpeciła klejnot, od czasów Benvenuta złotnicy rzymscy magiczną prawie siłą nauczyli się wywoływać blask i światło z kamieni — trzeba mu więc było nową nadać formę.

— Giulio oprawi go tak, że Kleopatra piękniejszego nie miała klejnotu — radziła jej jedna z rówieśnic w wieku i zabawach.

Diana posłuchała rady i posłała po Giulia, który był uczniem Celliniego i najslawniejszym podówczas w Rzymie złotnikiem. Całą noc myślała o rubinie, rysowała w myśli kształty naszyjników i medaljonów, wyobrażała sobie, ile ten kamień blask jej oczu podniesie. Niech go nawet Giulio oprawi — mówiła do siebie — mój wzrok wytrzyma z nim porównanie... Z bijącym sercem oczekiwała mistrza.

Giulio przyszedł nazajutrz. Sami bogowie chyba go posłali, tak promiennem światłem twarz jego jaśniała; genjusz wyższym go zrobił człowiekiem. Diana zadrżała, wzrok spuściła i nie wiedziała co mówić, żałowała, że hr. Ribaldi obok niej nie stoi.

— Posłaliście po mnie „signorina“. Jestem, aby waszym życzeniom najlepiej odpowiedzieć; zrobię, co tylko zdołają mój talent i sztuka — przemówił Giulio.

Diana nie umiała mu nic odpowiedzieć, podała tylko klejnot. Mistrz wziął go do ręki, obrócił ku światłu, pomyślał chwilę, a patrząc się to na Dianę, to na klejnot zaczął rysować na marmurowym stole przepyszny diadem.

— Królową cię zrobię, „signorina“! Łatwo mi teraz być mistrzem, gdym znalazł czoło, dla którego ten klejnot stworzony!

— Wasz genjusz wszystko ozdobić i olśnić zdoła, a patrząc się na ten rysunek można uwierzyć, że z niepodobnych podobne rzeczy stworzyć potraficie.

Diana oddała klejnot Giuliovi i patrzyła się długo za odchodzącym, nie mogąc sobie zdać sprawy, dlaczego ten człowiek jakies inne, nowe na nią zrobił wrażenie.

— Jakżeś mogła dać rubin w ręce nieznanego ci człowieka? — wyrzucała jej hrabina — widziałas go po raz pierwszy w życiu!

— Wszak to nie mógł być kto inny tylko Giulio — odpowiedziała Diana — żaden złotnik prócz niego nie miałby takiego promieniejącego genjuszem oblicza, i żadenby tak pięknego nie był narysował wzoru, wróci on z pewnością, wróci...

I wrócił rzeczywiście, przychodził często pod ciche krużganki pałacu, aby próbować, czy diadem odpowiedni ma rysunek do postaci Diany, czy nie za ciężki, czy nie za bogaty, a gdy był skończony, przynosił jej pokazywać najpiękniejsze swoje roboty,

układał z nią razem rysunki do srebrnych mis z rzeźbami greckich bohaterów, do pysznych pierścieni, godnych ozdobić potężną dłoń cesarską. Diana nie widziała nic złego w tych odwiedzinach, bo to był arysta, a kiedy później pewien niepokój ogarniał jej duszę, kiedy nie była pewna, czy hrabina dobrzeby przyjęła te częste schadzki z Giuliem, gdyby o nich wiedziała, wtedy już nie miała siły zamknąć podwoi artyście i powiedzieć sobie, że go więcej nie zobaczy.

Amorek trzepotał skrzydłami po samotnym pałacu i odganiał wszystkie myśli, wszystkie względy, któreby artyście mogły szkodzić w sercu Diany. Temu jednak nie mógł zapobiec, że piękna dziewczyna zwierzyła się staruszce ze swej miłości i że myślała wymóc od niej pozwolenie na nierówny związek.

Hrabina Ribaldi była wszakże Hiszpanką, pochodziła z rodu, który niejednym się szczycił biskupem i w Artusowej legendzie miał przodków, a talent artysty nie dorównywał u niej szlachectwu i wojennej zasłudze.

— Na moim chyba grobie odda ci Giulio pierścień! — mówiła.

Ogień miłości gorzał coraz większym blaskiem w młodych sercach Giulia i Diany, a sama Wenus zdawała się przybywać na łabędzim wozie, aby podsycać płomień ofiary. Bogini zwyciężyła. Ludność z pod Kapitolu spostrzegła jednego dnia, że sklep Giulia był zamknięty i że kilku rycerzy z tarczą Colonnów popędziło drogą ku Bononii. Rycerze ujeli kochanków i Giulio zginął w dzielnej obronie, Rzym stracił największego po Cellinim złotnika. Dianę oddano hrabinie, a oddano na to, aby jej złorzeczyła i smutek wniosła do domu. Jakoż podwójny smutek wkrótce ten pałac okrył, bo dumna hrabina Ribaldi nie mogła przeżyć zniewagi wyrządzonej jej przybranej córce i przeniosła się w świat, gdzie cienie jej przodków z Artusowej legendy wieczność jednostajnymi mierzyły kroki.

Prócz bolesnych wspomnień nic dla Diany w Rzymie nie zostało. Pomiędzy Colonnami nawet a nią nieprzebyta otworzyła się przepaść, z której wyglądało urocze choć krwawe widmo Giulia. Wyjechać z Rzymu, zerwać ze wszystkim, co ją łączyło ze smutnymi wspomnieniami stało się jej upragnionem życzeniem. Bez opieki pozostawiona kobieta musiała przyjąć pośred-

nietwo tych, którzy się krwią jej kochanka splamili. Prosper Colonna chciał namówić kilka dam włoskich, aby się wybrały na dwór królowej Bony, do Krakowa. Diana rada była tego uchwycić się projektu, któryby najbardziej uderzał swą nadzwyczajnością. Takim się jej zdawał projekt Prospera — więc pojechała do Polski.

To były jej dzieje.

Diana patrzyła się w książkę Owidjusza, myśląc o Rzymie, o Giuliu, o zakonnicach z San Silvestro, przebiegała wzrokiem różne graciki i dzieła sztuki porozstawiane w pokoju, bo z niemi łączył się inny świat, świat niepowrotnych wspomnień.

Na ścianie wisiało duże, okrągłe metalowe lustro, lśniąca jak tarcza Feba; pod niem hebanowy sekretarzyk, wykładany bogato turkusami i słoniową kością. Diana poszła ku sekretarzykowi, otworzyła tajemne drzwiczki i wyjęła z ukrycia najpiękniejszy z diademów, jaki wyszedł z ręki złotnika. Przymierzyła go, wpatrywała się weń długo.

— Królową cię zrobię, „signorina“! Tak mówił do mnie Giulio! — powtarzała po kilka razy. Spełniła się przepowiednia, — jestem królową! — dodała z szyderczym, pełnym goryczy uśmiechem, a lzy piękniejsze od kamieni w diademie zabłysły w jej oku...

II.

W gabinecie królowej nigdy może takiej jak obecnie nie było czynności. Dążenie Bony, by złamać samowolę szlachty, nie wiodło się, kokosza wojna rozdrażniła do głębi królową. Pragnąc przeciw szlachcie całą swą skierować siłę, chciała z Wołoszą jak najprędzej zawrzeć pokój, a w postronnych przymierzach szukać nazewnątrz bezpieczeństwa. Układy z Turcją i ożenie syna z Małgorzatą, córką Franciszka I. były jej marzeniem; przymierze to chciała przeciwstawić potędze cesarskiej, połączonej z królestwem węgiersko-czeskiem. Do cesarstwa żywiła głęboką niechęć od czasu trudności, które jej stawiano w baryjskiej sprawie. Tymczasem większość możniejszych senatorów zupełnie do czego innego dążyła, bo do utrwalenia związków z domem austr-

jackim i do przyprowadzenia do skutku małżeństwa Zygmunta Augusta z Elżbietą rakuską.

Królowa była w pełni swego działania, chodziła szybkim krokiem po komnacie, a pod oknem milcząco stali najlepsi jej doradcy, Mikołaj Wolski, marszałek dworu i Opaliński, ochmistrz młodego króla.

— W takich zebraniach jak pod Lwowem — mówiła Bona, gwałtownie głos podnosząc — straszna ta bestja o wielu łbach, to jest gmin, wiele włada i nadto sobie pozwala. Trzeba wszelkimi siłami pomyśleć o powściągnięciu jej na przyszłość. Jeżeli złemu wcześniej się nie zapobieży, nie widzimy, jakim sopsobem dostojność syna naszego, pomiędzy tak burzliwymi i zuchwałymi poddanymi, z przyzwoitą powagą utrzymywać się będzie mogła.

— Jan Tarnowski pisał do kanclerza Chojeńskiego, że szlachta bardzoby to dobrze przyjęła, gdyby młody król pojechał do obozu — wtrącił Wolski.

— Tłumowi schlebiać nie myślę — gniewnie odpowiedziała Bona — należy dążyć do zakończenia wojny z Wołoszą, a syna naszego nie widzę potrzeby narażać na natręctwa gminu. Niech raczej będzie król młody prywatnym polskim obywatelem, — niżeliby miał w takich uciskach dźwigać rządy królestwa.

— Młody król wyrażał ochotę wyjechania do obozu — odezwał się Opaliński.

— Syn mój przekona się, że tylko taka głowa jak Chojeńskiego może mu ten projekt podsuwać. Zostawcie mnie o to staranie; was proszę panie ochmistrzu, dajcie się napić szklanke wody staremu kanclerzowi, niech trochę ochłonie i niech raczej myśli o kondycjach, jakie Wołochom postawić należy, aniżeli o czynnościach młodego króla.

Bona pożegnała doradców, a Opaliński pod wrażeniem ostrych jej słów śpieszył, aby czem prędzej wykonać zlecenie i odwieść Chojeńskiego od niefortunnego pomysłu wysłania królewicza. Szedł więc wprost do kanclerskiego mieszkania.

Chojeński był chory i nie wychodził od niejakegoś czasu. Zaczny, spokojny, pracowity, prznosił nad wszystko domową ciszę, a na dworze królowej nie lubił bywać, wiedząc jak ją to

boli, że pomimo wszelkich intryg i zachodów, król zrobił jego kanclerzem, a nie księdza Gamrata.

Kanclerz prowadził dom skromny ale otwarty, a kto się tylko odznaczał dowcipem, talentem, nauką, chętnego u niego doznawał przyjęcia.

— Dobrze żeście mnie odwiedzili ochmistrzu — przywitał kanclerz Opalińskiego — od kasztelana krakowskiego miałem znowu umyślnego, żeby naglić na wyjazd młodego króla; doda on szlachcie zapału i pokaże się godnym krwi ojców. Trzeba działać ochmistrzu.

Opaliński schował głowę w kryzę hiszpańską, jak ślimak rogi w skorupę, zaczął mówić, że wyjazd królewicza nie zdaje mu się być tak ważną sprawą, zresztą, że królewicz już jest w takim wieku, iż sam postanawia o swoich czynnościach. Urząd zaś ochmistrza coraz mniej znaczy i do marnej zszedł nazwy.

Koszyrski, który po niedawnej śmierci Krzyckiego przeniósł się prawie na mieszkanie do kanclerza, słuchał tych wymówek, pokręcał wężą z gniewu, a gdy już mu było za wiele próżnego gadania, zawołał:

— Pan Opaliński woli grać w warcaby; chodźmy do szachownicy!

— Śnać że Waści dużo czasu zbywa — odpowiedział ochmistrz poczerwieniawszy po uszy — skoro ci tak warcaby na myśli.

— Czasu jak czasu, panie ochmistrzu, ale w próżnych na dworze rozmowach nauczyłem się, że gdy kto inaczej od nas myśli, a przekonać go trudno — to najlepiej go do gry zasadzić.

— Na starość stajesz się weredykiem Koszyrsiu — odpowiedział Opaliński, w żart obracając przymówienie — siwym włosom niejedno uchodzi.

— Żart żartem, panie ochmistrzu — odezwał się znów Chojeński — ale szlachta sarka, że wstyd narodowi wychować takiego króla w spódnicy, który dorósł już do lat siedmnastu, a jeszcze nieprzyjacielowi nie popatrzył w oczy — i prawdę mówiąc, szlachta ma słuszność!

— Jeszcze się niejedna po temu zdarzy sposobność, aby królewicz kłam zadał tym słowom — odpowiedział Opaliński —

terazby jednak nie wporę był jego wyjazd do obozu, gdyż wojna z Wołoszą dobiega do kresu.

— Chodźmy do szachownicy! — znów wtrącił Koszyrski.

Rozmowie tej był także przytomny Klemens Janicki, który niedawno z Włoch powrócił. Przystojny, o łagodnem wejrzeniu i jasnych włosach, ale schorzały i wynędzniały, nader ujmujące robił wrażenie. Przez śmierć Krzyckiego stracił największego swego przyjaciela i dobrodzieja, który nie szczędził grosza, aby go w Padwie wykształcić na pożytecznego krajowi człowieka. Obecnie Kmita świadczył mu wiele dobrego, a poeta umiał być wdzięcznym i niejeden piękny wiersz poświęcił swemu dobroczyńcy.

Poeta żywo się przejął słowami kanclerza, zdawało mu się, że Zygmunt August ma obowiązek wobec narodu, aby posłuchać wezwania Jana Tarnowskiego i że będąc potomkiem rodu Jagiellonów, największąby swemu szlachetnemu szczerpowi wyrządził zniewagę, gdyby jak kobieta krył się w murach Krakowa, podczas gdy rycerska młodzież ścigała ku Wołoszczyźnie. Pod tem wrażeniem wysunął się cichaczem z towarzystwa, wyszedł na ulicę i wprost skierował swe kroki ku Florjańskiej bramie, do domu Diany. Na schodach spotkał się z wracającą stamtąd mniszką Maryną.

— Królowa tam była pod postacią mniszki — pomyślał Janicki i zastanowił się, jakie zamiary mogły ją sprowadzić. Może ta sama sprawa, a przeciwne plany nas tutaj przywiodły? Zobaczymy.

Diana przyjęła go z radością i przyjaźnią, śnać częstym tam bywał gościem.

— Więcej jak kiedykolwiek potrzebuję was dzisiaj Klemensie — odezwała się do niego na wstępie. Gram na lutni, maluję, czytam „Piekło“ Dantego i w niczem nie mogę znaleźć uspokojenia.

— W każdym razie „signora“, niestosownie szukasz spokoju tam, gdzie Dante złożył całą boleść i całą namiętność swej duszy. Cóż „signora“ malujesz?

— Będąc jeszcze w Rzymie, odrysowałam jednego z aniołów Rafaela, teraz go kończę.

To mówiąc zaprowadziła poetę do przyległego gabinetu,

w którym jakby w jakim muzeum mnóstwo było obrazów, posągów, zabytków dawnej rzymskiej sztuki. Amorek stał na sztaludze i ostrzył strzałę, a świadczył o niepospolitym talencie malarskim Diany.

— Zawsze amorki — i zawsze strzały! — zauważył żartobliwie Janicki.

— Zaczynamy je malować, kiedy nam ich brak w kołczanie. O szczęściu wtedy się myśli, kiedy go w duszy już niema.

— Nigdy w swą gwiazdę wątpić nie trzeba — podpowiedział poeta.

— Promienie tej gwiazdy krótko tylko świecą i nigdy nie wracają. Gdybyś mnie nauczył Klemensie, gdzie szukać szczęścia?

— W żartach i kochaniu. Żartuj i kochaj, tak starzy mówili.

— Kochać łatwo, lecz żartować trudniej. Twa rada nie wystarczy, poeto.

— Więc być na wszystko obojętnym:

Niczemu się nie dziwić w tym świecie fałszywym
Jest jedynym sposobem być zawsze szczęśliwym.

— Nie wierzysz sam w to, co mówisz. Dobra to rada dla samolubów, ale nie dla tych, którzy kochać umieją.

— Jeśli tak, to w poświęceniu znajdziesz zadowolenie; kosztem swego serca staraj się podwyższyć tych, których kochasz.

— Piękne zdanie, lecz trudno je wykonać! Chętniebym poświęciła wszystkie uczucia i spaliła serce na ofiarę temu, kogo kocham, gdybym wiedziała, że ta boleść obfite przyniesie owoce.

— Pozwól, że ci przerwę Diano i że może za śmiało postawię pytanie.

— Słucham cię poeto.

— Czego od ciebie żądała mniszka Maryna? Spotkałem ją na schodach, miała dziwnie tajemniczą minę, coś złego w jej oczach czytałem.

— Powiem ci otwarcie; przychodziła od królowej, a pomimo, że jej nie dowierzam i że ją zawsze tylko z największym widzę wstrętem, przecież sędzę, że dzisiaj z dobrą mówiła intencją. Tarnowski i kanclerz chcą Augusta wysłać na wojnę — a toby

go rzuciło między zbuntowaną szlachtę, uwłaczałoby jego królewskiej godności. Zresztą narażałoby go niepotrzebnie na niebezpieczeństwa, tem bardziej, że pokój ma być wkrótce zawarty.

— Wierzej mi, że mniszka i królowa jak zawsze tak i dzisiaj fałszywie mówiły! Honor Augusta wymaga tego, aby poszedł za zdaniem kasztelana krakowskiego; szlachta zaczyna sarkać, że młody król chodzi w spódnicy i nie widzi w nim już potomka dzielnych Jagiellonów. Mówiliśmy o poświęceniu, o zaparciu się własnych uczuć dla wywyższenia tych, których kochamy. Czybyśmy nie wrócili do tego przedmiotu?

— Rozumiem cię, panie Klemensie, ale jesteś pewny, że wyjazd Augusta jest konieczny, że rzeczywiście wymaga tego honor jego i dobro królestwa? Może jesteś zanadto pod wpływem kanclerza?

— Zapytaj się „signora“ własnego serca, tam znajdziesz potwierdzenie tego co mówię i że się stronnictwami nie kieruję wpływami. Pomyśl, czy godzi się, aby młody król wojowniczego narodu takie jak August prowadził życie, aby w latach siedemnastu nie wyzwolił się z pod wpływu matki i własnych nie spróbował skrzydeł?

Diana odwróciła się, aby ukryć łzę w oku.

— Największe szczęście w poświęceniu! — tak powiedziałaś Klemensie!

III.

W jednym z bocznych pawilonów królewskiego zamku mieszkał Zygmunt August. Niewiele zajmował pokoi, ale z wielkim je umiał urządzać smakiem. Ściany komnat po większej części kazał ciemnymi obić materjami, po miękkich tureckich dywanach kroku słyhać nie było, a osobliwe sprzęty i dzieła sztuki nadawały mieszkaniu wybitną cechę. Metalowe, pięknej roboty zwierciadła, pyszne majoliki, porozkładane pierścienie, łańcuchy z drogiemi kamieniami spotkałeś w każdym pokoju, a bukiety z konwalij rozszerzały prawie wschodnią, upajającą woń.

Zygmunt August wysmukły, błydy, o dziwnie głębokiem, spokojnem, prawie czarującym spojrzeniu, siedział w głębokiem

krześle, przeglądając księgę z rycinami jakiegoś włoskiego mistrza; duży pies o lśniącej sierści oparł głowę na jego kolanach i mądrze patrzył w twarz zadumaną. Młode pacholę z kawałkiem irchowej skóry w ręku chodziło od stołu do stołu, od sekretarzyka do sekretarzyka, wycierając uważnie złoto i kamienie.

— Pokaż mi klejnot wenecki — odezwał się August do pacholęcia, które mu podało duży diament oprawny w ten sposób, by go nosić na piersiach.

August wziął do ręki klejnot i z wielką mu się przypatrywał uwagą. Stawiał go do światła, wywoływał nim najpiękniejszą grę kolorów, a snąć to światło szczególny dlań miało urok, skoro pół godziny niemal bawił się brylantem, przekładając go z ręki do ręki, rozkoszując się magicznym jego blaskiem. Wreszcie wstał młodzieniec, uważnie włożył klejnot w małą skrzyneczkę z hebanu i kazał sobie przyprowadzić osiodłanego konia... Zaufanemu służącemu oddał klejnot i kazał jechać za sobą...

Koń przywykł był iść ku Florjańskiej bramie, więc zdziwił się prawie, gdy mu August za bramą zamku inny nadał kierunek, za mury, nad Wisłę, aż ku Bielanom. Królewicz chciał świeżem odetchnąć powietrzem, ciągnął do boru, na pole, a gdy się dość narozkoszował swobodą, gdy konia umęczył, szybkim go wypuszczając klusem, dopiero wtedy wrócił do miasta i zsiadł przed domem Diany.

Czy królewicz kochał Dianę? — trudnoby to było poznać po jego twarzy. Przyszedł spokojny; znaku radości nie było na nim widać, oko tylko jeszcze głębsze, niż zwykle rzucało spojrzenie. Że ją jednak kochał, o tem się można było przekonać z przywitania Diany. Włoszka zdawała się być pewną wzajemności, troska jej sięgała poza dzień dzisiejszy... Czemuż jest królem? — powtarzała nieraz z boleścią.

— Kochałem się dzisiaj w brylancie i przynoszę ci martwego rywala — mówił po chwili August, podając jej klejnot...

Diana jakiegoś nerwowego doznawała wzruszenia i jakby z rodzajem wyrzutu powiedziała:

— Czemu go właśnie dzisiaj przynosisz? Każdy klejnot w mem życiu nową zapowiada burzę, każdy mi cierpienia przynosi...

— Gwiazdy były korzystne, więc się nie wahałem wybrać chwili dzisiejszej. — Zresztą może się rozłączymy na jakiś czas, chciałem ci coś zostawić, coby mnie przypominało...

— Więc powziąłeś już stanowczy zamiar wyjechania do obozu?

— Dzisiaj się wszystko rozstrzygnie; mam jeszcze mówić z królową.

— Nietrudno zgadnąć, że królowa będzie wyjazdowi przeciwna, a jej zdanie pewnie zwycięży — nieśmiało powiedziała Diana.

August ze zdziwieniem spojrzął na nią, a młodzieńczy rumieniec wypłynął na blade oblicze. Ubodło go to, że kobieta może wątpić o męskiej jego woli, ochłonął jednak natychmiast i odpowiedział:

— Czy zwycięży? Będzie zależało od ważnych powodów, któreby przemawiały za pozostaniem w Krakowie.

Diana odetchnęła, spełniła swój obowiązek i dotrzymała słowa Janickiemu. Dość było nieśmiało wypowiedzianego powątpiewania, aby zbudzić silną wolę w Augustcie: uczuła to Diana i więcej go pokochała. Młody król zwrócił rozmowę na inny przedmiot, a chociaż się starał być pełnym dowcipu i humoru, przecież zamyśliwał się co chwilę, bo widział przed sobą pierwszą walkę z matką... Wkrótce opuścił Dianę, a wróciwszy do zamku, zamknął się czekając obiadowej godziny, w której cała rodzina królewska zgromadzała się na pokojach królowej. Zaledwie jednak miał czas sympatyczne spojrzenie rzucić na dzieła sztuki i porozkładane księgi, a już przyszedł paź królowej, prosząc go do gabinetu matki. August przyzwyczajony do ślepego prawie posłuszeństwa, wyszedł natychmiast, a dziwnie był rozdrażniony i niespokojny.

Bona oczekiwała go, oddaliwszy świadków, a wchodzącego z prawdziwie macierzyńską przywitała miłością. August z uszanowaniem rękę jej ucałował.

— Przywołałam cię — mówiła Bona — by się porozumieć z tobą w ważnej sprawie. Mówił mi Opaliński, że miałbyś chęć ulec naleganiom Chojeńskiego i Tarnowskiego i pojechać do obozu. Projekt ten mógł powstać tylko w zapalonych szlacheckich głowach.

— Wiele ma jednak za sobą — z uszanowaniem, ale dobitnie odpowiedział August.

Bona bystro na niego spojrzała. Nieprzyzwyczajona była do tego, aby syn przeciwne jej zdaniu robił uwagi, zaczęła jednak mówić dalej:

— Projekt to niedorzeczny, a jadąc tam, naraziłbyś się tylko na natrętne prośby szlachty, a co gorsza na nierozsądne jej wymagania. Zamiast wojnę prowadzić, szlachta czyni tam ojcu zarzuty, że przeciw prawu i statutom wykraczał. Ale nie należało królowi zniżać się do sporów prawnych z poddanymi swoimi w niniejszych okolicznościach; rozprawy takie w czasie pokoju i w zaciszu domowym mogą mieć miejsce, ale nie na wojnie. Jeżeli jednak już król postąpił nie jak należało i popuścił cugle tej rozhukanej drużynie, to ty powinienes stać na uboczu, czekać aż się namiętności uspokoją i zostawić sobie na przyszłość wolne ręce. Młody król powinien wtedy stanąć po raz pierwszy w obliczu szlachty, kiedy jest od niej silniejszy; pokazywać się słabym bezkarnemu gminowi byłoby największym błędem... Wszelkich dołożymy starań, aby jaknajrychlej wojnę zakończyć, a wtedy będzie czas ukorzyć szlachtę i pokazać się jej tak, jak panującemu przystoi.

— Najzupełniej uznaję słuszność tych słów roztropnych — odpowiedział August — ale i to zważyć proszę, że u wojowniczego narodu młody król nie mógłby być w powinnem poszanowaniu, gdyby zaczęto wątpić w jego osobiste przymioty, gdyby go posądzano o brak męstwa i nie widziano go nigdy w obozie. Co do obawy, abyśmy się tam nie okazali słabymi wobec zuchwałego gminu, to jakkolwiek młody jestem, czuję w sobie dosyć powagi, aby odeprzeć uroszczenia, któreby mogły ubliżać naszym królewskim prawom.

Odpowiedź ta w najwyższym stopniu rozdrażniła królową; nie była ona na nią przygotowana i widziała w niej jakieś potajemne wpływy kanclerza Chojeńskiego, do którego nieprzewyciężoną czuła nienawiść. Zygmunt August z względami winnymi dla matki i królowej starał się jeszcze bliżej wyłożyć powody, które mu każą tym razem odstąpić od świętej zresztą dla niego woli matki, zakończył jednak z wszelką stanowczością, że za kilka dni wyjedzie do obozu.

Bona widząc, że młodej ambicji namową nie przezwycięży, posyła nazajutrz mniszkę Marynę znowu do Diany, sądząc, że jeżeli August nie pokazał się powolnym dla słów matki, to iza kochanki pręcej go przekonać potrafi. Królowa nie spodziewała się jednak i nie przeczuwała, że Diana stała w przeciwnym obozie i że może się najwięcej do tego przyczyniła, aby młodego króla popchnąć do wyjazdu.

Zajście to było jednak pierwszym fałszywym tonem, który się odezwał pomiędzy matką a synem. Bona przekonała się, że zaczyna tracić wpływ na Augusta i że nie potrafiła mu w zupełności wpoić swoich zasad rządzenia, August zaś z tego spotkania niemiłe wyniósł wrażenie, widział bowiem gniew matki i poczuł, że chce nad nim bezwzględnie panować.

Praktyczna zresztą królowa nie tak łatwo porzuciła myśl swoją.

Wszelkich użyła sposobów, aby czem pręcej z pomocą zagranicznych wpływów, przyprowadzić do skutku pokój z Wołoszą i zawrzeć go pręcej, niż królewicz mógł zdążyć do obozu. Dzieło się udało, a August rzeczywiście dojechał tylko do Niepołomic i mimo najszczerzych swych chęci, aby się zmierzyć z nieprzyjacielem, musiał wrócić do Krakowa, nie chcąc się zrobić śmiesznym, że przybywa do obozu po skończonej wojnie.

Diana polubiła brylant od Augusta. Był to pierwszy klejnot, który jej nie przyniósł nieszczęścia... Królewski kochanek wrócił bowiem bez szwanku.

IV.

Ksiądz Samuel Maciejowski, późniejszy kanclerz a obecnie dopiero wielki sekretarz koronny, zaczynał już potężnego nabierać wpływu. Wszystkie ważniejsze sprawy o niego się opierały, a zręczny i potężnego umysłu, on jeden umiał poczęści utrzymać harmonję pomiędzy królową i jej przeciwnikami. Na Prądniku pod Krakowem wybudował piękny, obszerny dom włoskim stylem i tam zgromadzał około siebie najwybitniejszych ludzi w kraju i zagranicznych posłów, którzy Kraków odwiedzali. Maciejowski dążył do tego, aby młodego króla prędko ożenić, a przez nowy związek z rakuskim domem utrwalić stosunki przy-



Zygmunt August, jako królewicz
Według medalu J. M. Padovana
z r. 1532

jacielskie obydwu państw. Za jego staraniem przysłano królowi miniatyrę Elżbiety, tak misternie wykonaną, że królowa na niej prawdziwie piękną się być zdawała. Miniatyrę ta wisiała na ścianie w komnacie Zygmunta Augusta i niedocieczonym sposobem znikła przed kilku dniami. U księdza Maciejowskiego właśnie o tem rozmawiano, najrozmaitsze stawiając domysły.

— To sprawa samej królowej... — utrzymywał obecny tam Janusz Latalski, wojewoda poznański, wielki stronnik projektowanego królewskiego związku — prócz jej dworzan nikt przecież inny nie może mieć wstępu na pokoje młodego króla, nikt zresztą prócz niej nie chciałby zniszczyć cennego portretu. Jej królewska Mość sądziła, że Elżbieta nie jest tak urodziwa, gdy jednak z miniatyry inne powzięła przekonanie, nieradaby, aby młody król za często spoglądał na to malowidło...

— Mniszka Maryna wyjaśniłaby nam zaraz całą tajemnicę — dodał ktoś inny z obecnych.

Całe towarzystwo bardzo się oburzało na owego nieznanego śmiałka, który trafić umiał do królewskich komnat, a starsi widzieli w tym fakcie początek podziemnej walki, którą stoczy królowa, aby rozerwać projektowane małżeństwo i obawiali się, aby wiadomość o zniknięciu miniatyry nie doszła na dwór Ferdynanda, gdzieby niemiłe musiała sprawić wrażenie. Jeden tylko z obecnych, Klemens Janicki, chociaż także stronnik związku królewicza z rakuskim dworem, przysłuchiwał się obojętnie rozmowie, a czasem tylko lekki uśmiech przeleciał po jego twarzy, zdradzający, że poeta nie dzieli obaw Latalskiego i że o tajemniczym zdarzeniu musi mieć jakąś wiadomość.

Gdyby goście księdza Maciejowskiego mogli się byli znaleźć w komnatach Diany, byłiby się przekonali, że tym razem niesłusznie posądzali królowę i że ręka mniszki Maryny niewinna była w tem zdarzeniu. Diana rzeczywiście miała miniatyrę, ustawiła ją sobie w komnacie, do której nikt prócz wiernej Luigi nie miał przystępu i godzinami się w nią wpatrywała.

— Nieprawdaż Luigo — mówiła Diana, trzymając przed sobą portret — że piękności w żaden sposób Elżbiecie przyznać nie można... Łagodność, cnota, malują się w jej twarzy, ale urodą swą męskiego nie podbije serca. Wysokie czoło, nos szeroki,

zapadłe policzki nie pozostawiają nawet nadziei, aby kiedyś wypiękniała.

— Macie słuszość Signora — odpowiedziała Luiga — tak przystojny pan, jak młody król, mógłby sobie przecież piękniejszą znaleźć małżonkę! Uważacie, jakie ma wystające ramiona? Malarzowi za model służyłoby nie mogły...

Diana z prawdziwym zadowoleniem chwytiała każde słowo Luigi i nieznacznie spoglądała w zwierciadło, porównując własną twarz z rysami królowej. Pierwszy raz oddawna rozweseliła się, a uśmiech usta jej krasił.

— Piękniejsza od niej jestem — powtarzała zcicha — wygląda przy mnie jak niewolnica wobec szlachetnej, wspaniałej Junony! Takiej rywalce można ustąpić, nikt jej nie posądzi, że swemi wdziękami odebrała mi kochanka... Owszem, gdyby się August z nią ożenił, każdy powie — że sprawy państwa tego wymagały.

Diana wstała zadowolona i dumnie przechadzała się po pokoju, spoglądając jeszcze od czasu do czasu na miniatyrę, jakby na źródło swej radości. Po chwili weszła powtórnie Luiga z zapytaniem, czy Klemens Janicki może przerwać poważne myśli signorze, gdyż czeka w sąsiedniej komnacie. Zamiast odpowiedzi wzięła Diana miniatyrę do ręki i wyszła do gościa.

— Przychodzę po portret królowy — mówił do niej poeta — ostatni czas, aby go znów powiesić w komnacie młodego króla, gdyż całe miasto zaczyna już o nim mówić, a większość, jakieśmy się tego spodziewali, posądza królową. Gdyby się Bona o tem dowiedziała, natychmiast śledziłaby za sprawcą psoty, chcąc od siebie odwrócić podejrzenie.

— Przynajmniej jeszcze dobę chciałabym się cieszyć moją rywalką.

— Nie możemy się dłużej narażać — odpowiedział Janicki — tem bardziej, że sam August zechce zapewne poszukiwać sprawcy, bo chociaż dla Elżbiety nie ma serca, nie pozwoliłby przecież, aby portret jemu powierzony, dostał się w jakie niegodne ręce. Obecnie wstrzymuje się z ogłoszeniem zdarzenia, sądząc, że to matki dzieło — gdyby się jednak przekonał, że Bona ze zniknięciem portretu nic nie ma wspólnego, zaczęłby innych szukać śladów.

— I nie trafiłby na nie — żartobliwie przerwała Diana.

— Owszem, bardzo łatwo, prócz przychylnego mi pacholęcia i wiernych sług królewskich, nikt tam nie ma przystępu; zresztą pacholę łatwoby się wydać mogło.

— Więc bierz poeto minjaturę — odpowiedziała Diana, oddając mu ją do rąk — i wierzaj mi, że teraz o wiele łatwiej przyjdzie mi dotrzymać ci danego przyrzeczenia, że szukać będę szczęścia w poświęceniu...

— Czyżby ten portret miał mieć taki wpływ czarodziejski?

— Przekonałam się, że nie mogę być zazdrosną o moją rywalkę, a więc nie potrzebuję zwyciężać najcięższej do zwalczenia namiętności.

Janicki wyszedł od Diany z minjaturą Elżbiety i podążył wprost na zamek królewski, gdzie ją potajemnie oddał młodej dziewczynie, siostrze pacholęcia Zygmunta Augusta. Na drugi dzień portret wisiał już na zwykłym miejscu, a dworzanie opowiadali sobie najrozmaitsze historie o niewytłumaczonej kradzieży, nikt jednak nie wiedział, że właściwego jej sprawcy trzeba było szukać na Florjańskiej ulicy.

Dzieckiem jeszcze zaręczono Zygmunta Augusta przez posłów z rakuską księżniczką, a wzajemne grzeczności małych narzeczonych, listy i upominki powtarzały się od dłuższego czasu. Teraz jednak Zygmunt i polscy panowie chcieli przyśpieszyć małżeństwo i coraz bardziej napierali na królewicza, aby ostateczne powziął postanowienie. Z Augustem jednak niełatwa była sprawa. Marzyciel, namiętny, uparty biernością swego charakteru, przytem ulegający jeszcze wpływowi matki, milcząco odrzucał małżeństwo i wprawdzie zrywać go nie chciał, ale też i tak prędko zawrzeć go nie myślał.

Diana zupełnie zajęła jego namiętną marzycielską duszę — dla innej tam miejsca nie było. Ona go zrozumiała i działała na jego fantazję, zajmowała jego umysł, znając się na rzeźbie i na malarstwie; w stosunkach włoskich, w pięknościach swej literatury znajdowała niewyczerpany przedmiot przyjemnej z nim rozmowy. August najswobodniejsze u niej przepędzał chwile, a przypuściwszy do poufałego kółka kilku towarzyszy młodości, czuł się tam wolnym, pozbawionym obowiązków następcy tronu, o których mu na zamku za wiele mówiono.

Diana płaciła uczucie gorącą miłością i wielkiem przywiązaniem, starszą jednak i doświadczeńszą będąc od niego, bynajmniej się nie łudziła co do przyszłości swego stosunku i wiedziała, że wcześniej czy później musi go zerwać z rozkrwawionem sercem. Zanadto była szlachetna, a może i dumna, aby zostać kochanką żonatego Augusta i stać się powodem nieszczęścia młodej jego małżonki, z drugiej zaś strony zanadto wysokie miała wyobrażenie o jego monarszem przeznaczeniu, aby chciała przeskadzać mu w zawarciu związków godnych jego wysokiego rodu i korony, która miała skroń jego ozdobić. Diana walczyła długo ze swą namiętnością; od czasu pierwszej swej z Janickim rozmowy przechodziła wiele burz wewnętrznych, ale wkońcu zdobyła się na tyle siły, aby zerwać swój stosunek z Augustem i poświęcić się dla jego dobra.

Ostateczne swe zamiary tała przed nim, a on wprawdzie spostrzegł ciężką jakąś chmurę na jej czole, nie mógł jednak się domyśleć właściwego troski powodu, tem mniej, że Diana usprawiedliwiała się słabością. Niemało też zdziwiło Augusta, gdy mu pewnego razu powiedziała, że chce wydać ucztę dla wszystkich swych bliższych przyjaciół w Krakowie i prosi, żeby i on wziął w niej udział. Dawniej prowadziła Diana dom otwarty, który był ogniskiem cudzoziemców, a polska młodzież licznie się tam zgromadzała, od czasu jednak jak ją z Augustem bliższe wiązały stosunki, niechętnie widywała u siebie liczniejsze zebra-
nia, tak, że prócz Janickiego i starego Koszyrskiego, z którymi młody król chętnie się bawił, mało kto próg jej przestępował.

Przyjacielska uczta u Diany miłą była dla Augusta niespodzianką, który nienawidził długich mów na pokojach królowej, pochlebców spoglądających, gdzieby ułować jaką kanonję lub starostwo i rad był:

... zamiast stołów od srebra się gnących,
Dworskich próżniaków wokół stojących,
Usiąść swobodnie pod bukiem cienistym,
Rwać owoc z drzewa, czerpać w zdroju czystym.

A jeżeli już nie mógł jechać na Litwę, lub zgubić się w niepołomickiej puszczy, „pod bukiem cienistym“ — to chętnie się znalazł w swobodnem towarzystwie, w którem mógł na chwilę rzucić ciężką na nim królewską powagę.

V.

Komnaty Diany świetnie były przystrojone; królewskie pacholeta w żółtym atłasie biegały ze srebrnymi dzbanami i koszami owoców; kilkunastu włoskich śpiewaków i muzykantów zajmowało podwórze, wesoło trącając kielichami, a gwar liczego towarzystwa słyhać było już na schodach. Na wygiętym stole w podkowę stały dwa bukiety z konwalij i swą skromną białością odbijały od rumianych cukrów i owoców; jaskrawe barwami pierza papugi, uwięzione w klombie najpyszniejszych kwiatów, przedrzeźniały się gościom, a jedna snąc często słyszała nazwę młodego króla, gdyż co chwila wołała: Auguście! Auguście!

Na pierwszym miejscu za stołem siedział Zygmunt August, przy nim Diana i Diamanta, również jedna z piękności zagranicznego fraucymeru Bony. I inne cudzoziemskie gwiazdy znalazły się przy stole; żadna z nich jednak nie mogła wyrównać urodą pani domu, której wdzięki podnosił jeszcze dzisiaj ów diadem z rubinów, opowiadający dzieje jej serca.

Z drugiej strony przy Dianie zajął miejsce posiwiał Koszyrski i z ciekawością wychylał się ku środkowi stołu, gdzie ze srebrnej muszli, napełnionej jakąś woniejącą wodą występowała Amphitryte, misternej florenckiej roboty.

— Co tam napisano pod posążkiem bogini? — pytał się Koszyrski Jędrzeja Kostki, młodziana słynącego dowcipem i układnością, który siedział bliżej owej muszli.

Kostka czytał głośno:

„Io son figlia del mar
Madre del fuoco,
Ma ad estinguere amore,
L'oceano e poco...“

Jestem córą morza a matką ognia; lecz i ocean nie wystarczy, by miłość zagasić...

— Wystarczy kilka łez nadobnej rywalki — odpowiedział Koszyrski patrząc się na Augusta i na Diamantę, do której mimo sześciu krzyżyków wiele czuł skłonności.

— Zapewne, jeżeli niema pożaru i tylko próchno słabem tli światłem — odciął młody król, widocznie niezadowolony z po-

sądzenia Koszyrskiego, jakoby Dianie miała zagrażać jakaś rywalka.

— Napis pod Amphitrytą nieprawdziwy — odezwała się z wyrazem smutku Diana — bo ocean często najwyższą miłość ugasi, jeżeli kochanków przegradza. Zresztą tylko bogini może śnić o wiecznym uczuciu, u nas na ziemi wszystko się skończyć musi.

Król ze zdziwieniem spojrział na Dianę, dlaczego z jej ust wychodzą słowa powątpiewania; chciał do niej przemówić, ale chór Włochów przerwał gwar powszechny. Z podwórza dolatywały słowa włoskiej pieśni:

Rózo! dziś tchnąca zapachem przyjemnym,
Jak miło na cię spojierać!
Lecz twe korzenie rosną w grobie ciemnym,
I tobie przyjdzie umierać.

— Czemuż tak smutną pieśń dzisiaj wybrali? — pytał Zygmunt August.

— Pozostaw im Królu wolność — odpowiedziała Diana — pieśń to zawsze stosowna, a może dzisiaj więcej niż kiedykolwiek; wesołość ze smutkiem powinna iść w parze, niemasz radości bez łez...

— Czemuż mam tłumaczyć Dianę dziwne twe wyrazy? — zapytał jej się zcicha August.

Zamiast odpowiedzi Włosi drugą zaśpiewali zwrotkę:

Wiosno! ozdoba w kwieciste rośliny —
Córko pogodnego nieba,
Zwiedną twe róże, opadną jaśminy,
I tobie umrzeć potrzeba...

Diana skinęła na przechodzącą Luigę, aby kazała zaprzestać śpiewu, a chcąc przerwać rozmowę z Augustem, zwróciła się do Janickiego, który siedział podparty z zwieszoną głową.

— Nasz poeta zatopiony w marzeniach — mówiła Diana — może śni o Padwie, o Wenecji, o sercu, które tam za nim tęskni?

— Myśli moje po litewskich wałęsały się borach — odpowiedział Janicki.

— Więc muszą być bardzo ciekawe — wtrącił August.

— Przedstawiałem sobie praojca Waszej Królewskiej Mości, Władysława Jagiełłę i wrażenie, jakiegoby doznał, gdyby się znalazł w naszym towarzystwie; nie poznałby ni miasta, ni ludzi.

— Wyparłby się poety, — zauważył Koszyrski — wołałby rycerzy, co zamiast na lutni, na surmie wojennej umieją wydobywać tony...

— Zapewne! Aleby ich znalazł niewielu — odpowiedział Janicki — i zaśmiałby się gorzko, gdyby nas zobaczył w krótkich cudzoziemskich sukniach, otoczonych kwiatami i papugami.

— Nie wyparłby się nas wszakże, — dodał Kostka — gdyby się przekonał, że hołd pięknym umiemy składać kobietom...

Chciał jeszcze mówić coś więcej, ale jakieś krzyki i gwałtowne uderzenia w bramę nie dały mu dokończyć.

Kobiety się przelękły, kilku z młodzieży pobiegło czem prędzej do okien wychodzących na ulicę, ale przez żelazne kraty tyle tylko mogli zobaczyć, że wielki tłum ludzi zbierał się przed bramą. Królewicz rozkazał pacholęciu zapytać, co się dzieje; zanim jednak pacholę wróciło, słysząc było skrzypnięcie zamku i podwojoną w sieni wrzawę. Podniósł się więc August, a pomimo błagalnych spojrzeń kobiet, które przeczuwając jakieś niebezpieczeństwo chciały go zatrzymać, wyszedł natychmiast na schody.

Sień była napełniona pospólstwem, które wpadło tam za jakimś uciekającym Włochem, krzyczącym w niebogłoso i broniącym się krótkim pugiuałem. Na schodach upadł biedny Włoch ze zmęczenia, a tłum zobaczywszy Augusta zamilkł, jakgdyby się wstydził swej gwałtowności.

— Co to za człowiek? — zapytał August, spokojnie spoglądając na twarze poczerwieniałe jeszcze od gniewu i namiętnego wzburzenia.

— Błuźnił Duchowi świętemu — odpowiedział jakiś zamaszysty zaściankowicz, chowając szablę do pochwy, a cały tłum zęgnął się, jakgdyby chciał szatana od siebie odpędzić.

— Jeśli zbłądził, stanie mu się sprawiedliwość — odpowiedział August, a wskazując ręką na bramę, jakby chciał krzykliwych gości wyprosić, wszedł napowrót do komnaty, polecając staremu Koszyrskiemu, żeby tłum uspokoił.

Zaledwie się oddalił, ktoś z tłumu głośno powiedział:

Włoch począł, żyd dokonał, na was się zmówili,
Aby za wasze dobra, jedli, dobrze pili...

Tymczasem przybiegły pachołki z najbliższej parafji i wzięły Włocha przed sąd duchowny, nie żałując mu jeszcze sturchańców, a Koszyrski niebardzo go osłaniał swoją opieką, bo sam nie lubił tej nacji, z której co drugi człowiek był doktorem. Zresztą sochaczewski szlachcic religję miał w poszanowaniu, bo się liczył do ludzi dawnej daty i pamiętał czasy, kiedy jeszcze nowomodnej nie było wiary.

Włosi, którzy się znajdowali w komnatach Diany, gdzie mogli się poukrywali, wiedząc że ich lud niebardzo nawidzi i dopiero gdy tłum się uciszył i bramę napowrót zamknięto, jeden za drugim wychodził z kąta pod rozmaitym pozorem.

— Za zdrowie obrońców opuszczonych kobiet! — wniósł Kostka, patrząc się na ostatniego z wychodzących Włochów, który rad nierad wychylił kielich, dobrze rozumiejąc przy-mówkę.

— Zdrowie to należy się naszej „radości i pociesze“ — odezwiała się Diamanta do wchodzącego zpowrotem Koszyrskiego. — Na cześć najmłodszego sercem dworzanina!

Koszyrsko widocznie był zadowolony z tej pochwały, spojrział w gorące oko śniadej Włoszki, poprawił czuprynę i rzekł zwracając się do Diamanty:

— Gdybym był młodzieńcem, ugiąłbym przed tobą kolano i prosił odważnie o nagrodę dla „najmłodszego sercem dworzanina“. Dzisiaj uczynić tego nie mogę, nie chcąc całego stołu pobudzić do śmiechu. Więc milczkiem się skradać muszę po twą łaskę, a zamiast jej żądać otwarcie — ukryć moje życzenia pod poważne zdrowie „kochajmy się“!

— Kochajmy się! — śmiało odpowiedziała Diamanta, a powszechny śmiech i radość towarzyszyły temu przemówieniu.

Koszyrski wyprostował się i tak odezwał do uśmiechniętej młodzieży:

Patrzcie! ażalim jeszcze nie jary?
Założ się, kto mię uprzedzi w plęsie,
Kto lepiej skoczy na brzęk cytary,
Kto lepiej kufel pełny wytrzęsie?

Nikt się nie założył — Koszysio został panem w sercu Diamanty, a towarzystwo rozweseliło się i zapomniało o smutnym nastroju, jaki zapanował z początkiem uczy. Nawet Diana pochwyliła „tamburino“ i skocznią zaczęła wybijać „tarantelę“.

— Pokaż, że nie czeze mówiłeś słowa! — zawołała do Koszyskiego — stańmy razem w rzędzie...

Koszyskiemu nie trzeba było mówić dwa razy, tańczył włoskiego jak młodzik. Wkrótce Janicki i Kostka znaleźli się także w kole, a królewicz przy Dianie zastąpił Koszyskiego.

— W tańcu umrzećbym chciała — szepnęła Diana, a królewicz był oczarowany jej spojrzeniem.

— Bodaj się nie budzić z tego upojenia — odpowiedział jej. Diana odpoczęła.

— Szczęśliwym się nazwać może, kto miał taką chwilę. Należcie mi wina! — wołała na służbę.

Kielichy się napełniły, szal wesołości ogarnął wszystkich, tańczono późno w noc. Księżyc ukazał się nad Florjańską bramą. Janicki, jedynie może spokojny w całym towarzystwie, przesunął się nieznacznie koło Diany:

— Wszystko już gotowe! — przemówił do niej.

— Spełniłam czarę rozkoszy — spełnię puhar powinności — szybko mu odpowiedziała.

Po chwili towarzystwo się rozchodziło, Diana gorączkowo zatrzymała Augusta, a rzucając mu się na szyję, łzami się zalała.

— Bywaj zdrów Auguście — mówiła do niego konwulsyjnie go prawie ściskając.

— Co ci jest Diano?

— To nadmiar rozkoszy, bywaj zdrów... do jutra...

Zygmunt August odszedł, a Diana upadła zemdlnona. Wierna Luiga przywróciła jej przytomność, Janicki przypomniał raz jeszcze obowiązek poświęcenia się.

Za kilka godzin nie było jej w Krakowie, wyjechała potajemnie na Sycylję. Nasz poeta zaś wkrótce potem pisał wiersz godowy na przyjazd rakuskiej Elżbiety, będący jego ostatnią poetyczną spuścizną. Z radością wołał on tam do młodego króla:

Siodłać lotne rumaki! jedź pogoni chyża!
Auguście! oto rzymska królowa się zbliża,
Wyjedź na jej spotkanie: ta dziewica hoża

Godna być uczestniczką królewskiego łoża,
Bowiem z takiego domu, z takiej krwi pochodzi
W jakiej Ci jeno szukać małżonki się godzi...

A do starego Zygmunta zwracał się ze słowami pociechy:

Ciesz się pobożny panie: chwila niedaleka
Kiedy święta twa starość wnuków się doczeka;
Oto od pięknej strony, gdzie Dunaj się błąka,
Jak gwiazda, Augustowi przybywa małżonka.

ROZDZIAŁ PIĄTY.

DWORSKIE ZABIEGI.

I.

Miały wakować dwa intratne urzędy: biskupstwo poznańskie po księdzu Branickim i województwo mazowieckie po bracie księdza prymasa Gamrata, któremu inną przeznaczono posadę. Zjazd kandydatów w Krakowie był wielki; do księdza arcybiskupa drzwi się nie zamykały, a do królowej kto mógł, najrozmaitszej szukał instancji. Zasłużeni jechali do księdza Maciejowskiego na Prądnik, nieuki i pochlebcy rozpierali się po złocistych krzesłach Gamrata. Do tych ostatnich należał kanclerz Paweł Wolski i biskup kamieniecki, ksiądz Zebrzydowski. Pierwszy zanadto był potulny, aby mógł być szkodliwy, drugi „człek niezdatny, łgarz i kwaśny“.

Najwięcej jednak rumoru narobił przyjazd pani Dzierzgoskiej, przyjaciółki królowej Bony. Kobiety o niczem nie mówią tylko o niej, złe języki mają zajęcia na kilka miesięcy — opowiadając anegdutki o księdzu Gamracie i o długich uszach pana kasztelana Dzierzgowskiego. Pomędzy innemi niesie wieść, że Wolski przysłał kolasę aksamitem wybitą pani kasztelanowej, a w skarbie Bony złożył pięć tysięcy czerwonych złotych, aby tylko dostać poznańskie biskupstwo. Czy to prawda? trudno wiedzieć, dość, że królowa, Gamrat i pani Dzierzgoska wspólnemi siłami napierali na starego króla, aby podług ich myśli obsadził wielkopolską stolicę biskupią.

Podczas gdy zamek pełen był tych zabiegów, przylepił ktoś w nocy na drzwiach pawilonu królowej następujący wierszyk, biorąc pochop z herbu Sforzów, w którym smok trzyma dziecię w paszczy:

Pod zamkiem dysząc, Kraków smok trapił jedynie,
Teraz gdy w zamku siedzi, cały kraj zaginie.

Pierwsza mniszka Maryna, wracając z rannego nabożeństwa, paszkwil ten spostrzegła i powiedziała o nim królowej. Za godzinę powtarzał go już cały zamek i Kraków.

Stary Koszyrski nienawidził księdza Zebrzydowskiego i rad był mu dokuczyć. Spotkawszy go też tego samego dnia, udał przed nim wielce zafrasowaną minę.

— Co Waści jest panie Koszyrski? — zapytał Zebrzydowski.

— Starość człowieka przygniata! Niema na tym świecie co robić, złych języków coraz więcej, niczyjej nie uszanują poczciwości; oto i księdza biskupa — zapewne niewinnie tak posadzili...

— Jakto? O co?

Koszyrski udał, że nie chce wyjawić tego posądzenia i wspominał o niem tylko myśląc, że księdzu biskupowi już wiadome. Na wielkie nalegania jednak powiedział:

— Niestety, księżę biskupie, doniesiono królowej, że wyście ów paszkwil napisali, który ktoś w nocy przybił na zamkowej bramie.

— Być nie może! — zawołał biskup, zbladł jak ściana i już się widział pozbawionym poznańskich dochodów.

— Tak, tak, złe języki! — odpowiedział z ubolewaniem Koszyrski. — Królowa bardzo zagniewana, trzeba by się przed nią uniewinnić, bo gotowa dać Wolskiemu biskupstwo poznańskie...

— Tak sądzisz przyjacielu? — zapytał z rozczeniem Zebrzydowski.

— Błagam was na wszystko, księżę biskupie, nie mówcie o tem nikomu prócz królowej i nie zdradźcie się, że ode mnie macie tę wiadomość.

Biskup ucałował Koszyrskiego, chodził przez kilka dni zmarzwiony i myślał tylko o tem, pod jakimby pozorem prosić królowej o posłuchanie. Na trzeci dzień jednak dostał zaproszenie do królewskiego stołu.

Na pokojach najbliżsi tylko byli dworzanie i kilku dygnitarzy, którzy właśnie przybyli starać się o posady. Starego króla przyniesiono w karle, bo cierpiał mocno na nogi; królowa zdawała się być w dobrym humorze i z każdym z przyjezdnych

miała coś do pomówienia; Stańczyk siedział cicho przy stole i skarżył się przed Gamratem, że kuchnia na zamku się popsuła— najwięcej jednak uwagi zwracała na siebie pani Dzierzowska, mówiąca to z królem, to z arcybiskupem.

Pani kasztelanowa słynęła na całą Polskę. Wprawdzie poważne matrony jej nie przyjmowały, pani Tarnowska i pani na Wiśniczcu unikały jej, aby się z nią nie spotkać, ale jej niewiele zdawało się chodzić o publiczne względy, bo królowa nazywała ją „swoją przyjaciółką“, a najpierwsi dygnitarze radzi byli jej względy pozyskać. Pani Dzierzowska była zresztą w łaskach u księdza Gamrata, a Bona nieraz do niej mówiła:

— Ach! jak szczęśliwa jesteś, żeś się takiemu prałatowi podobać umiała.

Stary król niby to jej nie lubił, ale jak Dzierzgosia zacznie opowiadać, przymilać się, ubolewać nad chorobami starca, to Zygmunt mniej się już sierdzi i zadowolony, że kasztelanowa jest w Krakowie, bo na zamku weselej. To też Dzierzgosia gospodaruje jak u siebie, podczas nabożeństwa w katedrze siada śmiało w pobliżu tronu w senatorskich ławkach, a kroku nie postąpi bez karła, który za nią, jak za królową nosi ogon od sukni.

— Co to się stało, czy kasztelanowa urosła? — pytają się wszyscy, widząc jak idzie przez kościół — bo trzeba wiedzieć, że Dzierzowska małego była wzrostu. — Ci co znają dworskie tajemnice mówią, że kasztelanowa chcąc się wydać wyższą, sprowadziła sobie sandałki z bardzo wysokimi podeszwami, jakie były używane w Wenecji i że chociaż jej niewygodnie chodzić, to zato może się wzrostem mierzyć z królową.

Kasztelanowa znana była z zamiłowania do strojów; nie było przesyłki z Włoch, nie było kurjera od Fuggerów, któryby jej nie przywiózł aksamitów haftowanych perłami, drogich materyj wełnianych florenckiej roboty, albo misternych łańcuchów — a wszystkie damy dworskie zazdrościły tych zbytków i ze złośliwym uśmiechem pytały, skąd na to wszystko biorą się pieniądze. Wyrzucano jej także, że ona jedna z Polek na włoski sposób głowę na żółto farbuje, mając ciemne włosy.

Tym razem nosiła się pani kasztelanowa bardzo wysoko, a ci co znali się na jej twarzy mówili, że coś wielkiego musi knuć z królową i że się zupełnego spodziewa triumfu. Po kilku dniach

jej pobytu w Krakowie rozeszła się pogłoska, że pani Dzierzgowska chce zostać ni mniej ni więcej, tylko wojewodziną mazowiecką, jedną z pierwszych dygniterek w państwie. Tymczasem mąż nie miał zdolności nawet na podsędka — a cóż mówić o wojewodzińskim urzędzie? Tak jednak mówiono, a królowa coraz to większemi ją obsypywała łaskami, nawet kazała sobie jej portret malować, a dla większego na zamku rozgłosu pozwoliła, aby Dzierzgowska siedziała malarzowi na pokojach królewskich, gdzieby ją niejednen mógł zobaczyć i szczęścia zazdrościć. Był wtedy na dworze malarz raczej do ścian kościelnych, aniżeli do portretów, Lucano, i on się podjął tego dzieła.

We wspaniałem krześle, którego hebanowe poręcze ustrojone były w dziwaczne smoki, rozparła się pani Dzierzgowska, włożywszy na głowę piękny diadem złoty filigranowej genueńskiej roboty i drogi łańcuch na szyję, godny miejsca w królewskim skarbcu. Królowa przypatrywała się, podziwiała jej piękność, całowała ją w czoło i co chwilę pytała się Gamrata:

— A co, czy Wenus była piękniejsza?

Gamrat uśmiechał się z zadowoleniem, a przytakując królowej nadymał policzki.

Przy obiedzie król zapytał, jak portret postępuje, ale Bona szybko na to nieznaczającą dała odpowiedź i o czem innym mówić zaczęła. Kasztelanowa zabawiała starego króla, zresztą towarzystwo było jakieś posępne, a Zebrzydowski nic prawie nie mówił, nie śmiał w oczy spojrzeć królowej i dopiero gdy później Bona z Dzierzgowską i z Gamratem szły do loggii zamkowej, przybliżył się do niej i w te odezwał się słowa:

— Najjaśniejsza Pani! Bóg mi świadkiem, że nigdy się nie trudziłem rymotwórczą sztuką... Ludzka to tylko obmowa, zazdrość, Miłościwa Pani...

Bona spojrzała na Dzierzgowską, nie wiedząc, co te słowa mają znaczyć, a Gamrat zaczął się patrzeć na swe pierścienie na rękach, co zwykł był zawsze wtedy czynić, kiedy czego nie rozumiał.

— Nie śmiałbym się targnąć na cześć Waszej Królewskiej Mości — mówił dalej.

— Czego Waść chcesz? mów wyraźniej? — zapytała zniecierpliwiona królowa.

— Ów paszkwil, Najjaśniejsza Pani, nie jest mojem dziełem — wypowiedział nareszcie.

Królowa powstała rozgniewana, że ktoś w jej obecności śmie mówić o uwłaczającym jej paszkwilu, a nic nie odpowiedziałwszy, wyszła zawoławszy za sobą Dzierzgowską.

— Ten się Waszej Królewskiej Mości nie na wiele przyda — powiedziała kasztelanowa, korzystając ze sposobności, aby potępić kandydata, którego nie popierała.

Dwaj prałaci pozostali w milczeniu, nie wiedząc co się stało.

— Mam księżę biskupie — przerwał Gamrat — stuletniego węgrzyna, może zechcecie go jutro u mnie skosztować?

Tymczasem król rozmawiał ze Stańczykiem i z kilku innymi dworzanami w przyległej komnacie, a przypomniawszy sobie, że na zapytanie o portrecie Dzierzgowskiej nie dostał odpowiedzi, zwrócił się do trefnisia:

— Cóż się z tym portretem dzieje?

— Wielkie zdarzenie, Najjaśniejszy Panie! — odpowiedział Stańczyk. — Dzisiejszej nocy jakaś niewidzialna ręka podpisała pod portretem pani kasztelanowej: „Palatinus Masoviae“ — a ponieważ dotychczas w Polsce kobiety nie były wojewodami, przeto ta ręka Baltazara wielki popłoch sprawiła pomiędzy całym męskim rodem.

— A cóżbyś na to powiedział — odrzekł król — gdyby Dzierzgowski został wojewodą?

— Radziłbym Ci, Najjaśniejszy Panie, abyś wziął go na egzamin, zanim mu oddasz urząd, a jeżeli potrafi rozróżnić muchę od komara — tobym go zrobił wojewodą.

Król się wprawdzie roześmiał, ale gdy go „Junona“ — jak Bonę nazywano — zaczęła prosić i błagać, to przecież podpisał nominację Dzierzgowskiego na wojewodę mazowieckiego, a Wolskiego na biskupa poznańskiego.

II.

Słynny Piotr Rojzysusz, profesor rzymskiego prawa w krakowskiej Akademji, wielkie miał dla księdza Gamrata obowiązki, bo nie tylko że go ksiądz prymas z Włoch sprowadził, ale był hojnym uczącej się młodzieży opiekunem, a ubogi żak nie od-

szedł nigdy z próżnymi rękami z jego pałacu. Rojzyusz był nieraz pośrednikiem hojności Gamrata, nie dziw też, że szczególnie z tego względu miał dlań szacunek.

Profesor szedł bardzo zamyślony do mieszkania jednego ze swych uczniów, a każdy kto go spotkał, mimowoli stawał i oglądał się za tą oryginalną postacią. Niski, naprzód pochylony, oczy miał nawierzch wysadzone, powieki obrosłe; dla tępego wzroku nos okularami kulbaczył i dziwnie niemiłe robił wrażenie. „Jus romanum“ umiał jednak znakomicie i biedził się nad tem, aby narodowe prawa w Polsce starożytnymi zastąpić ustawami.

— Mój Kodrusie — mówił Rojzyusz do owego ucznia, wchodząc do ubogiej jego izdebki, a nazywając go tak jak Juwenal nazwał swego ubogiego literata — mój Kodrusie, zwołaj mi dzisiaj żaków i powiedz im, że za kilka dni wspaniała uczta u księdza Gamrata, trzeba, żeby tam zaśpiewali.

— A kiedyż odbędzie się ta uczta? — zapytał się polski Kodrus.

— Na świętego Gawła na cześć nowych nominatów, pana wojewody Dzierzgowskiego i Wolskiego, biskupa poznańskiego.

— Dobrze się składa — odpowiedział Kodrus — bo w ten dzień żaki „spuszczają koguty“.

Rojzyusz był zadowolony, że przyda splendoru uczcie swego protektora, a Kodrus pobiegł zaraz do gospody pod zamkiem, gdzie się żaki z niższych szkół schodziły i tam im udzielił wesołej wiadomości. Byli to po większej części dorośli już żacy, w ubogich tandetnych strojach, ale z butnemi minami, krzykliwie a wesołe grono.

Młodzież z radością przyjęła nowinę, gdyż wiedziała, że ją u księdza Gamrata dobrze ugoszczą, a dla żaka chudziny dobry kąsek nie małą był gratką. Wybrano zaraz trzech najsilniejszych towarzyszy, którzy się mieli „postarać“ o sześć kogutów, to znaczy przemocą je wydrzeć, gdzie się da. Zresztą było to zwyczajem, że żacy nic nie płacili, a tem mniej za koguty potrzebne im do uroczystości.

— Tylko dać im ziele „Matki Bożej Włoskiej“, żeby je śmiało uczynić do boju — przykazywał Kodrus.

Żacy miewali swego króla, którego wybierali ze starszej, często już akademickiej młodzieży; tym razem Kodrus piasto-



Królowa Bona

Według portretu współczesnego w Muzeum XX. Czartoryskich w Krakowie

wał żakowskie berło, a panowanie jego kończyło się właśnie na świętego Gawła.

Gdy nadszedł ów dzień uroczysty, kilkuset żaków zebrało się w owej gospodzie w świątecznych strojach; piwa i miodu niewiele było widać, ale natomiast łacińskie mowy płynęły strumieniami. Kodrus wszedł do gospody poważny, dumny, że nie miał jak jego Juwenalowy poprzednik, prócz rzymskiego prawa w głowie i kufra greckich ksiąg w izdebce, któremi się głupie karmiły szczury. Żacy przyjęli go okrzykami, on zaś wstał na stół i tak zaczął mówić:

— Czytałem w starych księgach, że istniał naród, który najuboższego wybierał swym królem, bo najuboższy najwięcej przecierpiał, a przeto najłatwiej mógł ludzką biedę ocenić i za krzywdą się ująć. Gdyście mi przed rokiem żakowskie oddali berło, nie miałem nic za sobą prócz ubóstwa, a przeto przypomniałem sobie mój naród i starałem się iść za jego myślą. Jeżeli też któremu z was krzywda się stała, byliśmy mu pomocni jak jeden mąż, a niejedna blizna na naszych twarzach świadczy, żeśmy się nawzajem bronili, gdyśmy od dworzan lub ciurów co złego doznali. Czy prawdę stare księgi mówiły? Czy najuboższy przydał wam się i umiał za wspólną ujmować się biedą — dzisiaj ocenić możecie. Do zdania przeto, któreście sobie wyrobili, dalszy zastosujcie wybór, ja napowrót jako prosty żak w wasze wstępuję szeregi.

— Pozostań nadal naszym królem! — wołali zewsząd żacy, a na znak radości rzucali czapkami do góry i nosili go na rękach naokoło gospody.

Kodrus objął napowrót władzę, kazał się żakom uformować w szeregi, wziąć kojce z kogutami i iść za sobą do pałacu księcia Gamrata.

Mało kto mieszkał tak wspaniale, jak książdz prymas.

Pałac murowany, w nim cedrowe ściany,
Pawiment z alabastru drogiego ciosany.

We wnętrzu było obszerne podwórze na włoski sposób otoczone krużgankami; żacy wprost tam podążali, chórem śpiewając ulubioną pieśń:

Witold idzie po ulicy,
Za nim niosą dwie szablicy...

Na odgłos pieśni całe towarzystwo wyszło na krużganki powitać żaków, którzy nauczeni już przez zauszników księdza Gamrata zaczęli wołać:

— Niech żyje wojewoda mazowiecki!

— Niech żyje ksiądz biskup poznański!

Dygnitarze się skłonili, ksiądz Gamrat z zadowoleniem się do młodzieży uśmiechał, a piwnicznemu rozkazał nie żałować miodu.

Królowa z nową wojewodziną i kilkoma pannami dworskimi także przybyła, a ganki się zapęniły najświetniejszym towarzystwem stolicy. Na dany znak rozkazał Kodrus swym żakom „spuścić koguty“. Żacy więc ustawili się wkoło i naprzód z dwóch kojców dwóch wypuścili zapaśników. Ziele Matki Boskiej dobrze skutkowało, bo koguty z największą zaciekłością rzuciły się na siebie. W miarę jak od siebie odskakiwały i długo mierzyły się wzrokiem, coraz większa na gankach panowała cisza, Bona namiętnie lubiła się przyglądać tej walce.

— Biały, stronnik Maciejowskiego — czerwony, Gamrata! Założ się, który zwycięży — mówił Oleśnicki do Bonara — trzymam włoską arkabuzę.

— Złe zawsze zwycięży. Radbym, żebym ci mógł dać rząd na konia.

Koguty trzymały z kwadrans widzów w niepewności; bruk podwórza krwią się już zboczył, Gamrat oczy odwracał, bo nie-mógł znieść tego widoku, wreszcie upadł kogut czerwony.

— Z przyjemnością przyślę ci rząd do wyboru — odezwał się Bonar do swego towarzysza — daj Boże, żeby ten zakład dobrą był zapowiedzią, a stronnictwo królowej jak najprędzej uległo, podobne losem do tego koguta...

— Jeszcze nie przyjmuję — odpowiedział Oleśnicki — do trzeciego razu.

Stosownie do zwyczaju było trzy białe a trzy czerwone koguty, zakład więc trwał dalej, dziwnym jednak przypadkiem wszystkie białe koguty odniosły zwycięstwo. W całym towarzystwie wypadek ten zwrócił na siebie uwagę; zabobonny Gamrat zbliżył się do królowej, a wskazując na swą szkarłatną suknię, powiedział:

— To dla mnie przepowiednia Najjaśniejsza Pani, za rok już nie zobaczę spuszczenia kogutów...

— Co też mówicie księżu prymasie? — żywo odezwała się Bona. — Bez mego najlepszego sługi i jabym nie miała co robić na tem królestwie.

Wesołość żaków smutne przerwała myśli; na podwórze w mgnieniu oka służba księdza Gamrata liczne powynosiła stoły, zgłodniałe żaki z bohaterstwem na nie się rzuciły, a niejeden z gości będących na krużganku zazdrościł im zdrowia i patrząc się na „gałaredy“ i „bianki“ zastawione na górze, myślał o swych antenatach, którzy

Piwo a miód pijali, o wino nie dbali,
A wždy daleko zdrowsi niżli my bywali.

Pani Dzierzgowskiej nie trapiły smutne przeczucia księdza Gamrata, była też w promieniejącym humorze i zapraszała wszystkich do Warszawy na swą instalację jako wojewodziny. Ksiądz prymas i tam miał ucztę wyprawić. Ludzie przeciwnego obozu gorycz jednak w sercu nosili.

— Czy wiesz — mówił Bonar do któregoś z przyjaciół — że królowa powiesiła portret Dzierzgowskiej pomiędzy portretami pierwszych matron naszych? Radziwiłłowa musi się o nią ocierać.

— Trzeba jej było dać poważne towarzystwo, gdyż inaczej małowana Dzierzgosia sprowadziłaby jeszcze na zamek swe wesołe grono.

Gdzie indziej rozmawiano o tem, że ksiądz Gamrat chce koniecznie wymóc na królu, aby najbliższy sejm zwołał do Warszawy.

— Nikt tam nie pojedzie — odpowiedziało kilka głosów naraz — możeby jeszcze dla Dzierzgowskiej krakowski zamek chcieli przenieść do Warszawy?

I rzeczywiście tego ksiądz Gamrat nie mógł dokazać, ale tylko jeszcze jedną w Warszawie wsławił się ucztą, na której goście złote puhary w darze dostawali — a niebawem po niej zapadł ciężko na zdrowiu. Mara czerwonych kogutów trapiła go ciągle.

— Już ja z tej choroby nie wyjdę — nieraz powtarzał i kazał się przewieźć do Krakowa.

Bona z dziwnem go pielęgnowała przywiązaniem, rzeczywi-

ście ceniła w nim swego najwierniejszego sługę. Przesiadywała przy jego łożu, nasyłała mu lekarzy i najślawniejsze znachorki, znające się na ziołach. Wszelkie wysiłki nanie się wszakże nie przydały — ksiądz Gamrat umarł, a z nim runął jeden z najsilniejszych filarów stronnictwa królowej. Bona szła za trumną „zanosząc się od płaczu“ i długo się po prymasie nie mogła pocieszyć. Pani wojewodzina Dzierzgowaska smuciła się także, bo ksiądz arcybiskup nic jej nie zapisał, nikt go jednak tak nie żałował jak kredytorowie, gdyż pięćdziesiąt tysięcy złotych długów po sobie zostawił..

Na pogrzebie znaleźli się zacy już nie z samym Kodrussem, ale z Rojzyszem na czele. Z rąk do rąk podawano sobie panegiryk Hiszpana — on jeden mógł się prócz Bony zdobyć na pochwalne słowa. Cóż więc podnosił z życia prymasa? Sławił go, że żył wspaniale, że hojnie świadczył, godził obywateli, wiele łożył na ćwiczenia młodzieży za granicą po Niemczech i Włoszech, Mazurom najwięcej sprzyjał i ich na urzędy forytował, a wreszcie, że był swojego domu A i Z.

Stańczyk myślał inaczej, ale smutnego udawał, gdy szedł za pogrzebem.

— Czemuż się tak smucisz Stańczyku? — pytał go pan Bonar, wiedząc, że trefniś bynajmniej nie nosił w sercu prymasa.

— Szkoda! — odpowiedział błazen — mieliśmy na całą Polskę dwóch najślawniejszych łgarzy, teraz nam tylko jeden pozostał.

— Kto taki?

— Ksiądz Maciejowski.

Bonar ze zdziwieniem spojrział na Stańczyka, a prawie z oburzeniem go zapytał, jakby to rozumiał?

— Gamrat był wielkim łgarzem — odpowiedział trefniś — gdyż zawsze mówił, że wszystko wie, chociaż w samej rzeczy nic nie wiedział. Maciejowskiego w tym samym rządzie postawić należy, bo on choćby wszystko znał i wiedział, powiada zawsze, że nic wcale nie wie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

SPRAWA O SER PARMEZAŃSKI.

I.

Nikt może nie umiał tak dojąć królowej Bonie, jak Włoch Marsupin, sekretarz młodej królowej Elżbiety. Dziwaczną odgrywał on rolę na dworze, nie był bowiem ani stałym sekretarzem, ani posłem Ferdynanda, ale tajemnym opiekunem żony Augusta i miał donosić do Wiednia o postępowaniu świekry ze synową, a o ile możności stawać w jej obronie. Taki anioł stróż Elżbiety nie musiał się podobać Bonie, starała się tedy wszelkimi sposobami wydalić Włocha z Krakowa, co jednak niełatwą było rzeczą, nie chcąc wyraźnie zrywać z Ferdynandem.

Bona z pewnością nie była idealną świekrą, wnosić to już można z tego, że do ostatka przeciwniczką była związku swego syna z Elżbietą. Mając ją też poczęści pod swą władzą, starała się jej niechęć w dotkliwy okazać sposób. O Marsupina ciągle obijały się najrozmaitsze na starą królową skargi, a on jeżeli już zaradzić im nie mógł, to przynajmniej nie szczędził jej obmowy w relacjach, które przesyłał do Wiednia.

Marsupin nie mieszkał na zamku, ale w mieście; utrzymywał się skromnie i nie chciał przyjmować od dworzan ani legumin, ani wina, ani żadnych grzeczności, jak inni zagraniczni posłowie, obawiając się, aby nie mówiono, że dwór na kosztu naraża i aby z tego powodu nie starano się o jego odwołanie.

Właśnie co Marsupin zajęty był układaniem jakiegoś listu do swego króla, gdy lekkie poruszenie kłamki przywołało go do drzwi. Zmierzch już zapadał, więc w sieni zaledwie mógł rozpoznać jakąś kobiecą postać, okrytą grubym weneckim welonem.

— Sam jesteś signor? — zapytała się go zcicha wchodząca kobieta.

— A! panna Katarzyna! — zawołał zdziwiony Marsupin i drzwi zamknął za sobą.

Była to panna Katarzyna Hölzelin, dama dworu królowej Elżbiety i jedyna może szczerza jej w Krakowie przyjaciółka.

— Znowu coś niedobrego? — zapytał Marsupin.

— Złośliwości i obelgi starej królowej nie mają już granic — odpowiedziała panna Hölzelin — niedość, że Was nie dopuszcza do Elżbiety i że ją przed całym światem zamknęła, ale zaczyna ją dręczyć w najdrobniejszych szczegółach życia i nie szanuje jej monarszej godności.

— Jakieś ważne zdarzenie?

— Drobnostka! ale da ci miarę do ocenienia, jak nieznosnem staje się tutaj nasze położenie... Wczoraj posłałyśmy do królewskiego szafarza po kawał sera parmezańskiego; szafarz przysłał go natychmiast, ale jak to doszło do wiadomości Bony, cały zamek drżał od jej gniewu. Wykrzyczała szafarza i zakazała mu cokolwiek dawać młodej królowej bez jej wiedzy. Napiszcie o tem do Wiednia, powiedzcie, że dopóty dobrze nie będzie, dopóki król wasz nie wymoże na cesarzu, aby Bonie za karę, że się tak obchodzi z Elżbietą, odebrał księstwo baryjskie.

— Pozostawcie mi wybór środków, signorina — odpowiedział Marsupin — już ja działać potrafię.

Po krótkiej jeszcze rozmowie wysunęła się panna Katarzyna z mieszkania i połączyła się z czekającym na nią w sieni zaufanym sługą.

Marsupin zatarł ręce z uciechy, że będzie mógł Bonę okryć śmiesznością, a nazajutrz obchodził wszystkich swych znajomych i zagranicznych posłów, opowiadając z największemi szczegółami historję o parmezańskim serze. Był także u pana Seweryna Bonara, który się tak oburzył drobnostkowością starej królowej, że ze swojej spiżarni kazał natychmiast zanieść Elżbiecie krąg najlepszego parmezanu.

Po kilku dniach, gdy już całe miasto śmiało się z Bony, przyszedł do Marsupina jej dworzanin z wezwaniem, aby następnego dnia z rana był w zamku.

Co go tam miało czekać, nie wiedział, domyślał się jednak, że Bona powie mu kategorycznie, aby z Krakowa wyjeżdżał i przygotowywał się na stoczenie z nią zaciętej walki.

Stosownie do rozkazu znalazł się po mszy w komnatach, gdzie królowa przyjmowała. Nikogo jeszcze nie było, służba się tylko krzątała rozścielając dywany i przygotowując siedzenia, jakgdyby się odbyć miało jakie zgromadzenie. Ksiądz Samuel Maciejowski także nadszedł niebawem z Bonarem, następnie wśliznął się Opaliński, przytoczył się Gamrat i Zebrzydowski, biskup kamieniecki — najwięksi dostojnicy Rzeczypospolitej. Żaden z nich jednak prócz może Opalińskiego i Gamrata nie wiedział o celu tego zaproszenia. Nareszcie wyszła królowa, ale twarz jej nie zapowiadała spokojnej mowy, bo usta aż zbladły od gniewu, a oczy rzucały piorunami.

— Śmiać się będziecie moi panowie — przemówiła do zgromadzonych — że was, najprzedniejsze rady takiego króla i takiego królestwa dla tak małej i błahej rzeczy przyzwałam, jak znana wam sprawa o ser parmezański. Ależ złemu w samym zarodku zaradzić potrzeba. Chcę, abyście byli przed całym krajem świadkami mojej niewinności. Ten oto Marsupin przybył tutaj, jak powiadał, dla utrzymania pokoju, jedności i przychylności pomiędzy nami, a niezgodę tylko wznieca. Chcę koniecznie wiedzieć od niego, kto takie baśnie o mnie rozsiewa i ukarać go na przykład dla drugich, którzy innemi mowami na moją cześć nastają. Dlatego proszę was, miejcie moje dobro w pieczy, i napomnijcie tego człeka, aby powiedział, kto te wieści rozsiał, bo chcę o tem wiedzieć koniecznie.

Otyły ksiądz Gamrat, którego twarz buraczkowa w niezgodzie stała z purpurą arcybiskupiej szaty, założył okrągłe ręce, ruszał głową potakując królowej, a nadymając się jak Eol, który chce burzę na morzu wywołać, odezwał się:

— Słuszna jest mowa naszej Miłościwej Pani; z małych przyczyn wielkie się często wydarzają nieszczęścia! Gdyby Hektor nie uwiódł był Heleny, żony Parysa...

— Parys żony Menelausa — sprostował złośliwie pan Bonar.

— Parys żony Menelausa — poprawił się ksiądz Gamrat —

Troja nie byłaby zburzona, gdyby bracia nie byli sprzedali Józefa, naród żydowski nie byłby w Egipcie, tak samo i nierozważne słowa rozpuszczone o Najjaśniejszej Królowej mogłyby ważne mieć skutki...

Opaliński, lepszy mówca aniżeli ksiądz arcybiskup, przyszedł mu w pomoc i w długiej mowie okraszanej retorycznymi zwrotami dowodził, że Maruspina trzeba zmusić do wydania owego nowiniarza.

— Najjaśniejsza Królowo! — odpowiedział na to wszystko Marsupin — nie mogę wyjść ze zdziwienia, że Miłościwa Pani raczysz sprawie o kawałek sera tak wielką przypisywać wagę. Gdy obaczyłem tylu znakomitych ludzi tego państwa, sądziłem, że tutaj będzie chodziło o przymierze z Turkiem... Jeżeli jednak opowieść o serze tak wielką ma wagę, tem więcej jestem obowiązany do dochowania tajemnicy, chcąc dobrze służyć memu panu królowi Ferdynandowi, któremu jedynie winienem składać liczbę z mych czynności.

— Ty mi chcesz prawa przepisywać — krzyknęła do najwyższego stopnia rozjątrzona królowa — pleciesz mi o tem i o owem! Mów do rzeczy, bo jeżeli nie powiesz — to ja powiem żeś ty całą rzecz wymyślił!

— Najjaśniejsza Pani — odrzekł Marsupin — ja to powiem, com już powiedział i nic innego ode mnie nie usłyszysz!

— A więc ty jesteś ów, który na mnie takie rzeczy wymyślasz. Pamiętaj, abyś do mnie ani do domu mego nie przychodził więcej! Nie chcę mieć takich ludzi w mojem otoczeniu.

Nie ufając swemu porywczemu usposobieniu, któreby ją jeszcze bardziej unieść było mogło, pożegnała królowa doradców i wyszła czem prędzej, nie spoglądawszy nawet na chudego Włocha, który z szyderczą miną stał we dwoje skulony.

— Nieprawdaż księżu prymasie — odezwał się Bonar przygryzając wargi — że bogowie używali Parysa do ważniejszych sądów, aniżeli królowa swoich doradców?

— Trzeba być wyrozumiałym dla Najjaśniejszej Pani — wtrącił Opaliński — niemało ona ma do cierpienia od złośliwych języków.

— Złe języki — odpowiedział coraz bardziej rozjątrzony

Bonar — mają to do siebie, co złe psy, że nigdy się na dobrych nie rzucają ludzi...

Opaliński aż zbladł słysząc taką mowę i oglądał się, czy przypadkowo nie słyszy jej który z zauszników królowej.

— Niema tutaj co robić — mówił dalej Bonar — trzeba jechać do Balic i tam na starość Pana Boga chwalić...

— Gorąco rzeczy bierzecie, panie Sewerynie — odezwał się znów Opaliński — królowa umie oceniać zasługi.

— Ja już niczego nie wymagam i niczego się nie spodziewam; dla was młodszych jednak niech to będzie nauką, że kto służy dworowi złożonemu z młodzieniaszka, starca i kobiety, rzadko stosowną otrzyma nagrodę. Młody zapomni o dawnych zasługach, starzec niedługo pożyje, zresztą w każdym starcu skąpstwo szaleje, a prócz częściej nadziei niczego się u niego niedosłuszysz. Gdybyś wreszcie tysiąc lat był w usługach potężnej niewiasty, to nanic ci się to nie przyda, bo niespodziewany kaprys może ci zaszkodzić. — Pamiętajcie więc, panie ochmistrzu, nie zbyt mocno się kwapić do usług królowej i wierzyć słowom starego, co więcej od was pamięta.

— Pełnię tylko moje obowiązki — odpowiedział Opaliński, brzydko się skrzywiwszy — ale wy, panie żupniku, nie straszcie nas, że dwór opuścicie, bez waszej głowy rządu-by nie było...

— Znajdzie się tutaj dość takich, co będą radzić o parmezańskim serze — pojedą do Balic... Ksiądz Gamrat zastąpi wam cały senat — nieprawdaż księżę prymasie?

Gamrat wziął te słowa za dobrą monetę, a błogi uśmiech zadowolenia rozlał się po jego obszernej twarzy.

— Pan Seweryn na nas zawsze łaskaw — powiedział — nie cofamy się nigdy, gdy Rzeczpospolita nas potrzebuje...

— Dobrze robicie, co do mnie, ja już straciłem zaufanie do Rzeczypospolitej, biedaczka bowiem myli się czasem w wyborze, a zamiast mądrych, głupców potrzebuje. Gdybym więc nadal stał w jej usługach, tobym nie wiedział, czy mnie do pierwszych czy do ostatnich policzyła. Wolę się przeto usunąć...

Gamrat nie mógł dobrze tych słów zrozumieć, więc dobrodusznie się tylko uśmiechnął i zaprosił Bonara na wieczerzę...

— Dziękuję wam za zaszczyt, księżę prymasie — odpowiedział Bonar — muszę być dzisiaj na Prądniku.

Maciejowski z boleścią w twarzy przysłuchiwał się tej rozmowie, a biorąc Bonara pod rękę powiedział:

— Złe czasy nadchodzą...

II.

Bona siedziała w swoim gabinecie, a naprzeciw niej stał Gian-Lorenzo Pappacoda, powiernik jej najskrytszych myśli. Chytry Włoch, z ojca i dziada w służbie Sforzów, znający tajemnice domu, pomagał królowej w administracji ogromnych majątków i prowadził rachunki.

— Tegoroczne dochody z wołyńskich i podolskich dóbr — mówiła do niego królowa — poświęcę na budowę zamków; władza królewska musi się opierać o mury, a nie o dziurawe płoty... Siłą i pieniędzmi potrafię wkońcu przemoc szlachcie...

— Daj Boże, żeby tak było — odpowiedział Pappacoda — mojem jednak zdaniem wydatek to bezowocny; lepiej zbierać złoto i wywieźć je do Neapolu — tam bezpieczniejsze. Najjaśniejszej Pani tutaj nic się nie wiedzie...

— że mi się nie wiedzie, to pewna! Po tylu latach pracy nie doszłam ani do jednego z mych marzeń, nie wzmocniłam królewskiej potęgi, nie zawarłam z Turkiem przymierza, nie ożeniłam syna z francuską księżniczką. Da jednak Bóg i dla nas porę. Wiele jest dróg, podług przysłowia, do Rzymu; jeżeli mi jedną zamkną, drugą dojść potrafię... Przedewszystkiem muszę dbać o to, żeby syn mój mógł potężniejszą niż jego ojciec władać dłonią.

Włoch zamilkł, wiedząc, że naleganiem nigdy się nie przekonywa. Po chwili odezwał się:

— Obawiam się, żeby z powodu Marsupina nie powstały jakie zawikłania w baryjskiej sprawie. Zły to człowiek i mściwy, a ma posłuch na wiedeńskim dworze.

— żebym miała pół Baru utracić, to go stąd wydalić muszę! To gorsza jednak, że choć jego nie będzie, powód mej zgryzoty, Elżbieta, zostanie zawsze...

— I ten powód możnaby usunąć — powiedział Pappacoda zcicha, biorąc jakieś pismo do ręki, jakgdyby zaraz chciał o czem innym mówić.

Bona mu bystro popatrzyła w oczy, ale, nic nie odpowiedziała. Pappacoda wrócił do rachunków i do spodziewanych dochodów. Słowa jego jednak, że „powód ten możnaby usunąć“, padły na grunt urodzajny i łatwy znalazły przystęp do duszy królowej. Do życia ludzkiego bardzo mało przywiązywała wagi i była przyzwyczajona do myśli, że do ważnych celów dojść tylko można bezwzględnością. Elżbiety nienawidziła i pałała ku niej prawdziwie włoskim gniewem, uważała ją za główną przeschodę przyszłej potęgi Augusta, za niezdolną do pozostawienia po sobie potomstwa, gdyż cierpiała na wielką chorobę, zresztą czuła do niej wstręt nieprzewyciężony, który nie szuka rozumnych przyczyn. Nie byłaby się też ani na chwilę zawahała zgładzić ją potajemnie, bo przecież była córką Jana Galeazza, ale ile razy o tem myślała, przychodziły jej na pamięć słowa nekromanty w Puzzuoli: „Obrażaj ludzi tylko wtenczas, jeżeli się nie potrzebujesz obawiać ich zemsty...“ Ojciec Elżbiety, potężny jej stryj Karol V, mogli odebrać księstwo baryjskie... To ją wstrzymywało. Często otwierała ukrytą szafkę w murze, w której było mnóstwo różnorodnych ziół i leków, a pomiędzy innemi i flaszeczka z wymalowanym wężem.

Podobne myśli wracały coraz częściej i zajmowały jej żywą, chciwą czynu wyobraźnię. Zręczna mniszka Maryna z oczu umiała wyczytać myśli swej pani — domyśliła się o co chodzi. Pewnego też dnia przyszła do królowej z wiadomością, że za Wisłą jest baba znająca się na ziołach i czarach, że onaby może dobrą radę dać tu potrafiła.

— Każ ją do mnie przywołać — odpowiedziała królowa, ale się zastanowiła chcąc poprzednio różnych wróżb zapytać o radę.

Do jednej z komnat Bony nikt prócz mniszki Maryny i zaufanej służącej nie miał przystępu. Była to smutna izdebka, podobna raczej do składu starych rzeczy aniżeli do pokoju królowej. Duży stół czarnem przykryty suknem, porozrzucane księgi i narzędzia astrologiczne, zioła a przedewszystkiem mała kuchenka z miedzianemi tygielkami oryginalną nadawały jej cechę. Wewnątrz na drzwiach było kredą napisane:

Przestroga nigdy nie zawadzi,
Kiedy co ku dobremu radzi.

Wieczorem udała się królowa z mniszką Maryną do tej komnaty, a stanąwszy z nią w oknie, długo patrzyła w gwiazdziste niebo.

— Widzisz tę małą gwiazdę na wschodzie — mówiła królowa do Maryny — aspekt Elżbiety nieszczęśliwy: na zgubę przeznaczona, ona nikomu szczęścia przynieść nie potrafi, bo sama w najgorszej zrodzona konstelacji. Zgubić ją, znaczy domóc przeznaczeniu.

— Rzeczywiście — odpowiedziała mniszka — gwiazda drży, blednie, zachodzi za chmurę, jakby się wstydziła wzroku Opatrzności...

Bona patrzyła jeszcze chwilę w niebo, potem kazała mniszce zamknąć okiennice i rozpalić ogień na kominku z suszonych korzeni paproci.

— Nalej wody do połowy tygła — rozkazała królowa, wrzuciła do wody garść suszonej macierzanki i wstawiła naczynie do ognia.

Obydwie kobiety z wielką uwagą przypatrywały się gotującemu odwarowi.

— Listki nadół spadają — zauważyła po chwili królowa z radością — plany mi się udadzą, pamiętaj przywołać ową kobietę z za Wisły...

Królowa z pogodną twarzą udała się do swej sypialni, ufna, że zdoła przeprowadzić wszystkie swe zamysły. Po kilku dniach znów się wieczorem znalazła w tajemniczym pokoju, ale tym razem w towarzystwie starej kobiety w mieszczańskim ubraniu i bynajmniej nie wychudłej, jak pospolicie przedstawiają znachorki i czarownice.

— Rośnie na Rusi — mówiła Florjanowa, bo tak zwano ową kobietę — ziele Pięćpercyc; gałązkę tego ziele trzeba położyć młodej królowej na nowiu pod poduszkę, a królewiczowi posypać próg proszkiem z jeleniego języka, kiedy będzie miał odwiedzić żonę...

— A wtedy z pewnością do niej wstrętu nabierze? — pytała ciekawie królowa.

— Będzie od niej uciekał — odpowiedziała Florjanowa.

Mniszka Maryna wykonała ten przepis, ale skutek nie dopisał; oziębienie stosunków pomiędzy Augustem a Elżbietą nie

zadowalało Bony. Włoszka wracała do swej pierwotnej myśli, aby zupełnie usunąć synowę, a nawet przeznaczała już w myśli inną żonę dla Augusta — siostrę króla francuskiego. Nielatwą jednak było rzeczą wykonać zamach bez rzucenia na siebie podejrzenia. Bona wiedziała dobrze o tem, że pierwszy Marsupin o to się postara, aby ją obwinić, miała się przeto na ostrożności.

Pozostawała powolna trucizna... Marsupin jednak przeczuwał coś złego i największą doradzał Elżbiecie ostrożność. Młoda królowa nic prawie nie jadła ze stołu matki i pod różnemi pozorami usuwała się od wszelkiej z nią styczności. Bona postanowiła zmylić ślady podejrzenia, a obawiając się, aby Marsupin źle o niej do Wiednia nie pisał, postanowiła trochę go uspokoić. Kazała go pewnego dnia przywołać do siebie.

Chytry Włoch przeczuł, że zaczyna być silniejszym. Przyszedł z pokorną miną, ale z gniewem w sercu. Królowa siedziała sama na ganku, oddaliwszy dworzan. Marsupin zgiął kolana aż do ziemi.

— Wiecznie na usługi Waszej Królewskiej Mości — mówił Marsupin — Najjaśniejsza Pani się przekonała, że nie było powodów, aby mnie wydalać...

Ironiczny ton słów wywołał ostre Bony spojrzenie, odpowiedziała też gniewnie:

— Owszem przekonałam się, że tutaj bawisz, aby siać intrygi...

— Bynajmniej, Najjaśniejsza Pani! Jestem w Krakowie z woli mego króla, aby mieć otwarte oczy na to, co się dzieje z dostojną jego córką, aby mu zdać sprawę, dlaczego jej młody król teraz nigdy nie odwiedza, dlaczego ze swą małżonką nigdy nie jada? Dlaczego ta święta pani samych tutaj znajduje nieprzyjaciół?

— Więc jesteś nato, aby mnie i mego syna śledzić? — z wzrastającym rozdrażnieniem zapytała Bona.

— Król rzymski nie potrzebowałby takich sług, jak ja wysyłać, gdyby był przekonany, że jego córki żadna na tym dworze nie spotka zniewaga. Postępowaniem jednak takim, z jakim cesarska synowica walczyć musi ciągle, szuka się kłótni w miejsce przyjaźni. Wielkie szkody wynikną z takiej niezgody

dla samej Waszej Królewskiej Mości, z powodu podejrzeń, o jakich mówią publicznie w Niemczech, Czechach i Polsce...

— Co, śmiesz mi grozić?... Śmiesz do mnie w ten sposób przemawiać? — zawołała Bona w najwyższym oburzeniu...

— Potężna Królowa — odpowiedział z sarkazmem Marsupin — nie potrzebowałby się obawiać gróźb takiego jak ja robaka, gdyby jej sumienie mogło spokojnie się patrzeć na wszystkie jej czynności...

— Milcz nikczemniku! Oskarżę cię przed Królem, wtrącę do więzienia.

— Gdyby Najjaśniejszy Pan wiedział o tem, co do mojej doszło wiadomości, po mojej stałby pewnie stronie...

— Zły duch cię opętał! — błędąc wołała Bona.

— Gorszy kierował ową ręką, która kazała mniszce Marynie szkodliwe zioła podrzucać, przed którą dostojna synowica rzymskiego cesarza codziennie drzeć musi w trwodze...

— Milcz! — szepnęła Bona i upadła w krzesło prawie zemdlona.

— Nie moja w tem wina, że wszystko to dzisiaj wypowiedzieć muszę. Chcę Waszą Królewską Mość przekonać, że jest Opatrzność, która czuwa nad nieszczęśliwą Elżbietą i że żadne groźby i żadne rozkazy Waszej Królewskiej Mości mnie stąd wydalic nie zdołają. Na pastwę zemsty nie zostawię córki mego Pana.

Dłuższe te słowa pozwoliły Bonie cokolwiek przyjść do siebie, zebrała więc wszystkie siły, aby zapanować nad sobą, a wstawszy nie odpowiedziała już ani słowa, tylko wskazała drzwi Marsupinowi. W tym niemym rozkazie było jednak tyle monarszej dumy i majestatycznego gniewu, że dreszcz przeszedł Włocha i sam się przestraszył tego, co powiedział. Ze spuszczo-
nym wzrokiem wyszedł też natychmiast.

— Jeszcze i on mi ulegnie! — rzekła Bona i czem prędzej wróciła do swojej komnaty, aby nikt nie spostrzegł jej pomieszania.

III.

Na zamkowym podwórzcu w Krakowie stało ośm czterokonnych wozów, a mnóstwo służby królewskiej zносиło do nich paki, zbroje, myśliwskie przybory i najrozmaitsze podrózne sprzęty. Wozy były długie, niebardzo szerokie a przykryte szkarłatnem suknem, bo należały do młodego króla.

— Jak też długo pojedziecie do Wilna? — pytał się jakiś mieszczanin krakowski pacholka, siedzącego na koniu.

— Bezmała trzy tygodnie, jeśli dobrze pójdzie; bywało już jednak, żem na rozstawnych koniach w ośm dni był z Litwy w Krakowie, ale też miałem tylko listy ze sobą, a nie tyle kosztowności, co teraz na wozie.

— A cóż takiego wieziecie?

— Pytałbym się, co Kraków kosztuje, gdyby to wszystko moje było. Sama stara królowa kazała zapakować dla litewskich panów kilkadziesiąt złotych łańcuchów i srebrnych puharów, a co sukien, aksamitów, tego człowiek-by nie zliczył.

Podczas gdy taki ruch panował w podwórzcu, Zygmunt August wchodził do komnaty Elżbiety, przy której się znajdowała wierna panna Hölzelin.

— Dawnom już Was nie oglądała — przemówiła pierwsza Elżbieta do wchodzącego — z radością znów Was witam w moich progach.

— Zwiększone zajęcia z powodu mego wyjazdu na Litwę pochłaniały czas cały — odpowiedział August, unikając spojrzenia swej małżonki.

— Jakto, czyż wyjeżdżasz na Litwę? Wielka to dla mnie nowina! — zawołała Elżbieta, ukrywając wzruszenie, jakie na niej ta wiadomość wywarła.

— Sprawy litewskie mnie tam powołują. Spodziewam się wkrótce w dobrem oglądać Cię zdrowiu.

Po kilku słowach pożegnania odszedł August, pozostawiając we łzach nieszczęśliwą Elżbietę. Matka jeszcze miała na niego wpływ wielki, w jej to myśli powstała litewska podróż, aby tem bardziej osamotnić synowę. Kto wie, jakie się z tym wyjazdem łączyły plany?

Po wyjeździe Augusta i Zygmunt Stary zaniemógł, a wielki

mór powstał w Krakowie. Wkrótce też i cały dwór opuścił stolicę, uciekając do Niepołomic przed zarazą. Marsupin tylko pozostał sam jeden w Krakowie, zupełnie odosobniony od Elżbiety, od danej obecnie na wsi na łaskę i niełaskę starej królowej.

żałobny kir okrywał Kraków, po 60 osób dziennie umierało, wszyscy panowie powyjeżdżali — ubogie tylko pozostało społeczeństwo...

W tych ciężkich czasach, w dziesięć dni może po wyjeździe królestwa do Niepołomic, siedział zgryziony Marsupin w izdebce, rozpaczając nad swoim losem. Z Wiednia nie miał listów od dawna, o Elżbiecie nic nie wiedział, wszelka komunikacja bowiem między Niepołomicami a Krakowem była przerwana, a morowa zaraza coraz straszniejsze przybierała rozmiary. O zmroku wyszedł świeżego zaczerpnąć powietrza, ale duszno było i parno, a groźna cisza zalegała ulice. Po chwili usłyszał dzwonek zakonnika, który śpieszył do chorego. Marsupin przyklęknął, zmówił Ave Maria i poszedł dalej, zlorzecząc chwili, która go do Krakowa przywiodła.

Z Kanonnej ulicy dochodziły głosy psalmu:

Królu na wysokim niebie,
Niema indziej okrom Ciebie,
Człowiek nieszczęściem strapiony,
Uciezki ani obrony.

Marsupin podszedł bliżej. Liczna procesja stamtąd wychodziła, na czele szedł kantor, za nim tłumy powtarzały słowa Dawida. Bractwa w czarnych koszulach z trupiami głowami na kapturach, z rozwiniętymi żałobnymi chorągwiemi błagały Pana nad Panami, aby odwrócił klęskę od kraju i miasta. Przewodnicy urządzali procesję wieczorem, bo wtedy zaczynało się najgroźniejsze panowanie pług, a pług były bezpośrednim powodem zarazy.

Procesja obchodziła zamek, dążąc ku Wiśle, nie mogła jednak dokończyć poważnego hymnu, gdyż naprzeciwko zbliżała się garstka rozpasanego społeczeństwa, okropne podnosząc okrzyki i prowadząc jakąś kobietę.

— Utopić! — wołali jedni z tłumu.

— Spalić, bo nie utonie! Zły duch nie da jej pójść na spód wody! — odpowiadali inni.



Elżbieta Austriaczka

Według portretu w Germanisches Nationalmuseum w Norymberdze

— Kamień przywiązać do szyi!

— Nie pomoże! Spalić!

Z okrzykami temi mieszał się odgłos razów i złorzeczeń, które nieszczęśliwa kobieta znosić musiała. Wrzawa się na chwilę uciszyła, jakiś przewodca wyszedł na kamień leżący przy drodze i tak zaczął mówić:

— Wiecie, zem człowiek uczciwy, a ci co mieszkają na Skałce, znają oddawna starego Macieja — więc dacie moim słowom wiarę. Ojciec mój żył sto lat zgórą i był człek doświadczony i wiedział co w książkach napisano, a gdy umierał zwołał swe dzieci, wnuki i sąsiadów i straszne nam przepowiadał czasy. Mówił, że kometa swym ogonem ziemię zamiecie i powstanie wielki mór i wszystkie siedm plag egipskich kraj nasz nawiedzą; cieszył się, że tego czasu już nie dożyje i błogosławił nas, żebyśmy ciężkie przetrwali lata...

— A nie mówił, jak długo trwać będzie panowanie planet? — przerwał ktoś z tłumu.

— Owszem przepowiadał, że w owym czasie będzie się waleśać po świecie wiele ludzi, opętanych przez złego ducha i wiele fałszywych proroków, a Bóg Najwyższy dotąd będzie zsyłał swe kary, dopóki choć jeden taki człowiek pozostanie.

— Spalić Florjanową! Na stos! na parafję! — zaczęto znów wołać.

Na nazwisko „Florjanowej“ Marsupin się bliżej przypatrzył kobiecie, którą lud trzymał i poznał w niej rzeczywiście ową czarownicę Bony. Panna Hölzelin mu ją opisała. Uradował się też Włoch w duszy, że zła kobieta wygada może co na królowę, gdy będzie stała przed doraźnym sądem, zamieszał się jednak w tłum i nie mówił, obawiając się, aby na niego jako na cudzoziemca nie zwrócono uwagi i nie rzucono jakiego podejrzenia, któreby go tam, gdzie Florjanową zaprowadzić mogło.

Mowa Macieja ze Skałki zdawała się lud przekonywać, a chociaż wielu miało ochotę spróbować, czy „baba“ potrafi pływać po Wiśle, przecież większość przemogła i zwróciła się wraz z procesją ku bernardynom — ku parafji. Krzykliwe pospólstwo połączyło swe głosy z głosami procesji, a słowa psalmów Dawida znowu się odbijały o zamkowe mury.

W tłumie spotkał Marsupin poważnego kupca, który miał z Wiedniem stosunki. Włoch nie chciał mu przerywać pobożnych psalmów, bo widział, że oczy ma wzniesione ku niebu i że zagłębiony w modlitwie, ale nie spuszczał go już z oka i szedł przy nim, ciekaw, czy niema listów dla niego. Po chwili dowiedział się od kupca, że posłaniec przybył przed godziną z listami od króla Ferdynanda do córki i do Królestwa Ich Mości, ale kto wie, czy jeszcze żyje, bo przybył już ciężko chory. Włoch zdobył się na odwagę, poszedł tam, gdzie stanął kurjer królewski i z niemalym strachem wziął papiery do ręki, gdyż kurjer rzeczywiście już nie żył.

Mając listy i konia po królewskim posłańcu, wyjechał Włoch co świt z Krakowa, chcąc pisma oddać królestwu w Niepołomicach i uciec z zapowietrzonego miasta. Zabrał na konia cały swój dobytek i ruszył drogą ku Wieliczce. Droga ta — jedna z najbardziej wówczas uczęszczanych, teraz pustą była zupełnie. Włoch odmawiał pacierze i poobwieszał się amuletami, aby tylko odwrócić od siebie chorobę. W pobliżu Wieliczki spotkał sekretarza księdza biskupa Maciejowskiego, jadącego na Prądnik.

— Gdzie to Waśc jedziesz, panie Marsupin? — zapytał go się sekretarz.

— Do Niepołomic, z listami od króla.

— Nawróćże się nieboże, bo cię tam królowa nie przyjmie, w polu będziesz musiał przenocować, coby ci w dzisiejszych czasach na zdrowie nie wyszło.

Sekretarz zaczął mu dalej opowiadać, jak królowa na niego rozgniewana i nie radził mu nic jeść z jej polecenia, a dobrze trzymać za kord, aby go niespodziewanie co złego nie spotkało. Rada w radę postanowił Marsupin pojechać do Bochni i tam czekać pozwolenia odesłania listów królewskich, gdyż do Krakowa nie miał ochoty wracać, a z Bochni mógł przynajmniej w najgorszym razie dostać się do pana Bonara, który był dlań życzliwy i wylany dla całego wiedeńskiego dworu.

Nad wieczorem już nadciągnął Włoch do miasteczka i wjechał do zajezdnej sieni u „krzywego Piotra“, gdzie zwykle stawali dworzanie księdza Maciejowskiego. Kulawy gospodarz, od którego zajazd nosił nazwę, wyszedł z izby i zdaleka wołał już:

— Stój! stój!

Marsupin się zatrzymał, zaczął łamaną polszczyzną pytać się o przyczynę tego rozkazu, ale zamiast odpowiedzi spotkał się tylko z badawczym spojrzeniem krzywego Piotra i kilku gości, którzy powychodzili z gospody...

— Nie przyjmijcie go — odezwał się jeden z gości — jakiś heretyk, gotów przynieść powietrze...

— Licho spędza tych przywłoków — mówił drugi — patrzą, gdzieby „włoską sztuczkę“ sprawić, bo oszukanie mają za rozum...

— A czy ty wierzysz w Pana Boga? — zapytał się Marsupina trzeci, dobrze już podchmielony.

Włoch zaczął się zaklinać, że wierzy, że jest prawowiernym katolikiem, ale zła wymowa nie wzbudzała litości w wesołych towarzyszach, lecz pobudzała ich tylko do śmiechu.

— Jeśli nosi szkaplerz, to go przyjmijcie gospodarzu! — zawołał jakiś litościwy towarzysz.

Rada się wszystkim podobała, ściągnięto więc Włocha z konia, porozpinano aksamitny kaftan, a biedny Marsupin drżał ze strachu i świadczył się, że ma szkaplerz i że jest posłem króla Ferdynanda. Nie znaleziono jednak szkaplerza, tylko krzyż ze Zbawicielem. Powstała przeto długa narada, czy heretycy noszą krzyże, czy nie? Krzywy Piotr jednak widząc dostatnie ubranie przybysza i sądząc, że da się coś u niego utargować, wydał ostateczny wyrok, że tylko prawowierni chrześcijanie noszą na piersiach wizerunek Chrystusa.

Uszczęśliwiony Marsupin dostał wreszcie ławę i trochę siana na niej, aby przemocować i owsa dla konia, ale za to musiał zapłacić czarę krupniku wesołym towarzyszom. Krupnik jednak pogodził zupełnie podejrzliwego gospodarza z Włochem tak, iż Marsupin zamieszkał tam przez czas dłuższy i pisał listy to do księdza biskupa Maciejowskiego, bawiącego w Niepołomicach, to do samego króla, z prośbą, aby mógł przybyć na dwór i wręczyć wiedeńskie listy.

IV.

Na dworze królewskim także nie było wesoło; zaraza i tam szukała swych ofiar. Król kazał mnóstwo dworzan rozpuścić i najpotrzebniejszą ilość sług tylko zostawiono. Przytem sam Zygmunt ciągle był cierpiący, siedmdziesiąt sześć lat przygnębiało go całym swym ciężarem. Najczęściej kazał się wynosić pod grupę wielkich dębów w pobliżu dworu i tam siadywał godzinami z księdzem Maciejowskim, który był obecnie jego najulubieńszym doradcą.

Pewnego poranku siedział tam Zygmunt na swem zwykłym miejscu, otulony w żółte sobole, a wiecznie niespokojna Bona chodziła koło niego.

— Książd biskup płocki! — przybiegło pachole.

Dla niego królestwo zawsze mieli posłuch. Tym razem zbliżał się książd Maciejowski z jakimś listem do króla.

— Otwórzcie pismo, kanclerzu — wezwał go Zygmunt.

Biskup zaczął czytać list od Marsupina, w którym Włoch prosił, aby mógł przybyć do Niepołomic i wręczyć pisma króla Ferdynanda.

— Marsupina w żaden sposób prosić tutaj nie można — wtrąciła Bona — to zły człowiek, intrygant, na to tylko opłacany, żeby śledzić nasze czynności.

— Niech śledzi — odpowiedział Zygmunt — o niczem się tu nie dowie prócz o naszej przyjaźni dla rakuskiego dworu. Nie widzę powodu, dlaczego nie miałby przybyć do nas?

Maciejowski, który może jedyny odważył się czasem mówić prawdę królowej, skłonił się przed Boną i odezwał się w te słowa:

— Mojem zdaniem wielki to przynosi uszczerbek powadze Waszej Królewskiej Mości, że Marsupinowi zakazano jechać za dworem i przymuszono go zostać w Krakowie, jakgdyby dwór miał się powód obawiać jego wzroku.

— Jam tego zakazu nie wydawał — odezwał się król, snąc o niczem nie wiedząc.

— A jednak taki rozkaz istnieje — odpowiedział Maciejowski, podnosząc wzrok ku Bonie.

Mowa ta do najwyższego stopnia rozdrażniła królowę, która

nie mogąc odeprzeć słusznego zarzutu, płaczem nagle wybuchła:

— Boże, ja tu posag przyniosłam i skarb pieniężny; Elżbieta nic nie przyniosła, a jednak wszyscy mi jesteście wrogami!

— Milcz! — zawołał starzec oburzony¹. — Tyś mi nic nie przyniosła!...

— Pięćdziesiąt tysięcy dukatów przyniosłam i skrzynkę takiejże samej wartości.

— Coś przyniosła, to masz przy sobie! Jam nigdy ani szeląga Twojego nie widział. Ale ta jest córka moja, jest zrodzona z krwi mojej² i dam jej posag z własnej szkatuły, bo chcę, aby miała posag.

— Takim sposobem chcecie skrzywdzić rodzonego syna, a dać jej?

— Syn mój będzie miał dość, a ona jest córką moją. Jak powiedziałem, tak chcę, aby było i tak postanowiłem, że gdybym jutro umarł, przedewszystkiem ze skarbu mego 50.000 sztuk złota dla niej; a z pozostałych pieniędzy może nie dam ani szeląga synowi.

Wtedy Bona zaczęła wzdychać i płakać, a obracając się do biskupa powiedziała mu:

— Polacy są najgorsi z ludzi!

— Najjaśniejsza Królowo — odpowiedział dotknięty biskup — nie źli, ale zanadto cierpliwi!

Król kazał zakończyć rozmowę i polecił księdzu Maciejowskiemu, aby dalej list czytał.

Bona nie wyszła ale słuchała, a gdy ksiądz podkanclerzy wyczytał, że Marsupin ma do oddania jakąś szkatułkę, a w niej może posag, którą z polecenia króla rzymskiego chce do rąk własnych oddać królowej, wtedy przerwała:

— Więc pozwólcie mu przyjechać, niech odda szkatułkę, ale w ten sposób, aby oddawszy ją natychmiast potem odjechał, bo inaczej każę go wyrzucić „jak zgniłą rybę“.

Król ruszył ramionami na te słowa, a Maciejowski nie chcąc

¹ Rozmowa z oryginalnych listów Marsupina. Przeździecki. „Jagiellonki“, I, 134.

² Matką Elżbiety była Anna Jagiellonka, córka Władysława, króla czeskiego i węgierskiego, starszego brata Zygmunta I.

wznawiać gorszącej sceny, udał się czem prędzej do siebie, aby posłać umyślnego po Marsupina.

Na drugi dzień był już Włoch w Niepołomicach. Bona przyjechała go w wielkiej sali i zgromadziła jak mogła najwięcej dworzan, pewna, że Marsupin w owej szkatułce, o której pisał, wręczy królowi posag Elżbiety; mówiła już nawet z Pappacodą, w jaki sposób młody król tych pieniędzy użyć powinien. Ksiądz Maciejowski, lubiąc Włocha, powiedział mu o tem, Marsupin też wszystko tak urządził, aby się zdawało, że skrzynka pełna złota i zapisów. Wziął też dwóch ludzi ze służby księdza biskupa i kazał im iść przed sobą ze szkatułką, sam zaś wielce poważną i uroczystą przybrał minę, a zbliżywszy się do królowej w te do niej przemówił słowa:

— Najjaśniejsza Pani! Przedewszystkiem najgłębsze Waszej Królewskiej Mości muszę złożyć dzięki, żeś mię znowu raczyła przypuścić przed swój Majestat i w swej wysokiej mądrości się przekonała, że nie jestem złym człowiekiem i że oszczerstwo tylko zdołało zachwiać wysoką łaskę, jaką mnie dawniej Wasza Królewska Mość obdarzałaś.

— Do rzeczy, do rzeczy! — przerwała zniecierpliwiona królowa.

— Otóż i z tego powodu muszę złożyć dzięki Waszej Królewskiej Mości, że pozwalając mi przybyć do Niepołomic, nie naraziłaś mnie na najwyższą odpowiedzialność. W mem tułactwie mogłem bowiem utracić powierzone mi wielkiej wartości dokumenta, które bezbronnemu źli ludzie gdzieś w gospodzie łatwo odebrać mogli.

Bona aż pobladła na samą myśl, że przez jej zawziętość mniemane sumy posagowe mogły się dostać w ręce złoczyńców.

— U stóp też Waszej Królewskiej Mości składam szkatułkę, w której się mieszczą wielkiej wartości dokumenta i ufam, że listy tam zawarte, jeszcze bardziej ścieśnią węzły, które Opatrzność nawiązała pomiędzy rodziną Waszej Królewskiej Mości a wiedeńskim dworem.

Królowa skłoniła się, nic nie odpowiedziawszy, ale z największym pośpiechem chwyciła za wręczone jej kluczyki i odeknęła skrzynkę chcąc zaspokoić żądzę ciekawości. Marsupin się cofnął o kilka kroków i z szatańską radością przypatrywał

się, jak królowa zapłonęła od gniewu, spostrzegłszy, że prócz listu z dworskimi grzecznościami, nic tam innego nie było.

Bona wstała w najwyższym gniewie, spostrzegłszy się, że Marsupin z niej zażartował, a zwróciwszy się do marszałka dworu, powiedziała, wskazując na Włocha:

— Przypominam, że temu człowiekowi i godziny na naszym dworze pozostać nie wolno.

Marsupin się tego spodziewał i już przed tem posłuchaniem był u młodej królowej, w trzechgodzinnej rozmowie wysłuchał jej skarg i żalów i dodawał jej otuchy radząc, aby na Litwę pojechała, gdzieby sama była z Zygmuntem Augustem i uwolniła się w ten sposób od nieszczęsnego wpływu starej królowej.

Zmierch już zapadał, gdy Marsupin wychodził z posłuchania, głód mu dokuczał, a nie miał ani gdzie się posilić, ani głowy położyć, bo na dworze każdy uciekał od Włocha jak od zapowietrzonego, obawiając się gniewu królowej. Przyszło mu na myśl wprawdzie szukać gościny u księdza Maciejowskiego, ale nie chciał za doznaną łaskę płacić mu niewdzięcznością i narażać go na jeszcze większy gniew królowej. Głodny i znękany poszedł do stajni, w której postawiono jego konia. Była to opuszczona stodoła, leżąca opodal za murami królewskiego dworu, niepobijana oddawna, w której wczorajszy deszcz pozostawił kałuże błota.

Koń zarżał zobaczywszy swego pana, bo cały dzień stał bez wody i siana. Marsupinowi żal zrobiło się zwierzęcia, wyprowadził je też pod las nad miedzę i poseł potężnego państwa pełnił obowiązki pastucha. Znękany i snem zmożony, zdrzemnął się już siedząc na spróchniałym pniu, trzymając konia na uździe, gdy go przebudziło mocno szarpnięcie i ból w twarzy. Koń się czegoś przeląkł, zerwał się i wtrącił biednego posła do błota. Złorzeczając Bonie i losowi, podniósł się stamtąd z wielką biedą i spostrzegł wychodzącą z lasu jakąś białą postać.

— Wszelki duch chwali Pana Boga! — powiedział zcicha, przeżegnał się, a drżący od zimna i strachu chwycił za sztylet nie wiedząc, co pierwiej robić, bronić się przed marą, czy pobiec za koniem?

— To ja, „signor“ Marsupin! — odezwało się widmo.

— Panna Hölzelin! — zawołał Włoch z radością.

Za panną Katarzyną szedł jej wierny służący z koszem pożywienia, a nasz poseł tak był głodny, że zapomniał o koniu i dworskich grzecznościach, a chwycił się kawałka chleba i sera parmezańskiego.

— Gdyby nie ten ser parmezański — powiedział z gorzkim uśmiechem — nie byłbym dzisiaj w tak nędznym położeniu.

Panna Hölzelin zamilkła, przypominając sobie, że ona początki była winną całej tej sprawie, donosząc mu o sknerstwie królowej. Chcąc poniekąd naprawić swą winę, doradzała mu teraz, aby jak najdalej uciekał od miejsca pobytu Bony, bo tak ją rozdrażnił, że w pobliżu niej nie może być pewnym życia. Po kilku jeszcze słowach wróciła panna Katarzyna, obawiając się, aby jej nie spostrzeżono. Włoch zaś blisko godzinę chodził po polach, przywołując swego rumaka, aż wreszcie schwywszy go, wrócił zmarznięty do stajni i tam siedząc na mokrej ziemi, doczekał do rana. Ze wschodem słońca puścił się do Krakowa.

Wskutek tego noclegu dostał febry, a chociaż później Bonar i Tarnowski, dowiedziawszy się o jego niefortunnej do Niepołomic wyprawie, ofiarowali mu gościnę, nie mógł z niej korzystać, gdyż go choroba przykuła do krakowskich murów.

Dwór wiedeński przekonał się wreszcie, że pobyt Marsupina w Krakowie nanic się nie przyda i że może tylko pogorszyć stosunek Elżbiety do Bony, więc go odwołał z Polski, a znękany Włoch błogosławił chwilę, kiedy nie czuł już nad sobą ręki starej królowej.

Po jego wyjeździe wypuściła potrochu Bona synowę ze swej macoszej opieki, gdyż listowne wdanie się wiedeńskiego dworu i obawa utraty księstwa baryjskiego nie miały jej nienawiści były hamulcem. Zresztą stało się wkrótce zadość skrytym Bony życzeniom. Elżbieta umarła w Wilnie, a jeżeli za życia nie chciała jej królowa dać kawałka sera parmezańskiego, to zato po śmierci August rozwinął królewski przepych na jej pogrzebie, a poeta powiada, że:

Wieje pustka grobowa z rozwartych podwoi,
Wojsko w czarnych kaftanach snuje się przed niemi,
Czarna barwa u książąt, czarna u posługi.
Rumaki w czarnych kapach z herby srebrzystemi
Stoją przy karawanie żałobnemi cugi.

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

DZIEŃ ZMARTWYCHWSTANIA R. 1548.

I.

Smutno było w starego króla komnacie. Po oczach Bony łatwo było poznać, że łaża z nich nie schodzi; ksiądz Maciejowski stał pod oknem pogrążony w myślach, zadumany Stańczyk głośko ulubionego psa królewskiego, ale co chwilę spoglądał na oblicze starca.

Król Zygmunt zmienił się bardzo, siedział na łóżku otulony poduszkami, a wzrok miał przygasły od wieku i cierpienia.

— Pierwszy raz w życiu na pierzu spoczywam... — odezwał się król z łagodnym uśmiechem.

— Dość późno, Najjaśniejszy Panie — odpowiedział Stańczyk.

Istotnie, urządzenie królewskiej komnaty świadczyło, że w niej surowych obyczajów mieszkał monarcha, który za młodu sypiał tylko na niedźwiedziej skórze. Na bielonych ścianach wisiały poważne przodków królewskich portrety, we framugach żelazne stały zbroje; dębowe, czarnym włosieniem pokryte ławy skromne stanowiły urządzenie, a jedynym zbytkowym sprzętem był wielki stół rzeźbiony, spoczywający na trzech przepysznych orłach.

Zygmuntowi nie uszedł smutek na twarzach obecnych; nie lubił on tego, chętnie słyszał wokoło siebie wesołe rozmowy, sam też przerwał milczenie.

— Księżę biskupie — powiedział, zwracając się do Maciejowskiego — możebyście zagrali we „flusa“?

Pachole poskoczyło po karty, postawiło mały stolik przed królewskim łóżem, a chory aż się rozweselił, że miał jakieś za-

jęcie. Stańczyk grę rozpoczął, szczęście mu służyło, miał już kilka figur.

— Mam trzy króle! — powiedział Zygmunt, pokazując karty, a trzy króle znaczyło wygraną.

W rozłożonych kartach było wszakże tylko dwie figury, Stańczyk więc zapytał:

— A trzeci król gdzie?

— A tom ja trzeci! — odrzekł Zygmunt i wziął grę.

Królowne się roześmiały, dobrze sobie wróżąc z wesołości ojca i było gwarniej w komnacie, dopóki nie przyszedł ksiądz kanonik Górski, sekretarz królowej Bony, zwiastując z Litwy posłańca. Owego księdza Górskiego nie należy brać za jednego z Górskim z Miłosławia, dawniejszym sekretarzem króla, o ile bowiem ten ostatni do niczego nie był przydatny i tylko dużo wina wypijał, a czyhał na tłuste prebendy, o tyle pierwszy wielkiej był biegłości w piórze i stopy ważnych pism po sobie zostawił.

— Są listy od Hieronima Chodkiewicza? — zapytał król.

— Są Najjaśniejszy Panie — odpowiedział Górski i na królewskie skinienie odczytał list, w którym kasztelan trocki donosi, że młody król miał ślub wziąć z panią Gasztołdową.

— To rzecz niesłuszna i być nie może, — odrzekł król z wielką boleścią, ale stanowczym głosem — gdy nam się z tem zwierzał w Piotrkowie, nie chcieliśmy na to zezwolić i teraz zezwolić nie możemy.

Bona widocznie była bardzo niezadowolona, że ta wiadomość przysłała w chwili, kiedy król czuł się gorzej i że niekorzystnie mogła wpłynąć na wątłe już zdrowie. Więc przerwała królowi, mówiąc:

— Może się to jeszcze odmieni, może nie wszystko prawdziwe w pogłoskach, zostawcie czasowi, jeżeli co postanowicie macie.

— Znam ja Augusta — odrzekł król — rzecz nie cierpi zwłoki. — I zwracając się do księdza Górskiego, mówił dalej: — Napiszcie zaraz do pana Chodkiewicza, że na takie małżeństwo, na taką lekkość Koronie Naszej wyrządzoną, aniśmy przyzwolali, ani przyzwolić możemy. Aby przeto na to wesele nie jechał, choćby był zawezwan.

Ksiądz Maciejowski niechętny był temu pisaniu, bo wiedział, że woli Augusta nic pod tym względem przełamać nie zdoła i że wszelkie przeciw małżeństwu z Gasztoldową działanie może tylko jątrzyć wzajemne niechęci różnych stronnictw, a nanie się nie przyda. Mimo tego przekonania nie zrobił jednak żadnej uwagi staremu królowi, obawiał się bowiem, aby przeciwnie zdanie nie drażniło chorego.

W tej samej chwili, kiedy królewska rodzina siedziała przy łożu Zygmunta, w drugim skrzydle zamkowym zupełnie odmienna odbywała się scena.

Na dole w zamku była wielka izba dla służby, podobna do klasztorного refektarza. Dowodził tam Wątopek, zagonowy szlachcic, rodzaj marszałka dworu przy trzecim stole, facecjonat, człek pobożny, należący do różnych bractw i wierny sługa. Różnił się on polskim strojem od innej pokojowej i stajennej służby, która po większej części we włoskich była ubraniach. Wątopek bardzo był czegoś wzburzony i rozkładał rękami wobec stajennego Gomółki.

— Powiadam Waści — mówił — że jakiś djabeł od kilku nocy wychodzi z pokojów królowej i znika przez małą furtę za murami. Wczoraj o północy chciałem mu zabiec drogę, kord wyciągnąłem, ale naraz ciemno mi się w oczach zrobiło, poczułem siarkę, a gdym przejrzał, nikogo już nie widziałem. Nie darmo to mówią, że stara królowa ma ze złemi duchami do czynienia.

— A może to złodziej? — wtrącił niedowierzający Gomółka — może korzysta z choroby króla, żeby w skarbach królowej gospodarzyć! Zróbmy we dwóch na niego zasadzkę.

Po długich rozmowach Wątopek przyjął wniosek Gomółki i obydwaj służdy, dobrze się uzbroiwszy, czekali około północy po obydwu stronach wskazanej furty. Strach ich wprawdzie przejmował, ale jeden drugiemu dodawał otuchy i powtarzał, że „licha“ niema się czego obawiać, mając na sobie szkaplerz poświęcany, a w rękę wyostrzoną szablę.

Wątopek miał słuszność. Około północy czarna postać wysunęła się z pawilonu królowej, niosąc na barkach jakiś większy ciężar. Wątopek się przeżegnał i cofnął o kilka kroków, Gomółka zbliżył się do furty, aby się rozprawić z nocnym gościem. Ale

czarny człowiek poszedł w bok, a zbliżając się szybko do jednej ze strzelnic, wymówił półgłosem jakieś włoskie nazwisko. Ktoś drugi za murem odpowiedział, a mniemany zły duch spuścił mu po sznurze ów ciężar, który niósł na plecach.

Gomółka przypadł, a będąc pewnym, że to złodziej, chciał go za barki pochwycić. Nieznajomy zaczął się bronić i cofać ku pawilonowi królowej, ale Wątopek przypadł z boku i tak go ciął po ręce, że mu kord wytrącił.

— Na miłość Boską! Pappacoda! — zawołał Gomółka, przypatrując się bliżej ranionemu, a Wątopek tak się przestraszył tego nazwiska, że uciekł, co mu tchu starczyło.

Pappacoda wszedł lekko zadraśnięty do pawilonu królowej, na drugi dzień jednak w całym zamku mówiono, że królowa przez swego zaufanego Włocha skarby z zamku wynosi i że je cichaczem przez kupców odsyła do Wenecji.

Tak też było rzeczywiście. Bona szła za radą Pappacody, który jej ciągle powtarzał, aby sobie zapewniła przyszłość, gdyż po śmierci starego króla Polacy wszystko jej odbiorą, a syn im bronić nie będzie, zadowolony, że mu w połączeniu z Barbarą nikt nie stawia przeszkód. Przyznać jednak trzeba Bonie, że nader starannie pielęgnowała króla, czując, że z jego śmiercią wszystka się z jej ręki wyśliźnie władza i że postrada znaczenie, które dotąd miała.

We dwa dni po owym wypadku, który wiele narobił hałasu, a panom polskim krwi napsuł, wezwano królowę zrana, zmorzoną snem z powodu kilkonocnego czuwania, gdyż król czuł się bardzo osłabionym i przyjął św. Sakramenta. Bona zawołała czem prędzej mniszkę Marynę, aby przyszła do królewskiej komnaty palić tajemnicze zioła, aby złym duchom nie dać przystępu, które około umierającego najradziej się gromadzą. Król jednak dał znak ręką, aby odeszła wstrętna mu zawsze mniszka, a kazał sobie podać zapaloną gromnicę.

Królowa wraz z córkami uklękła przed łożem, a dworzanie pozbiegali się także i patrzyli w oblicze starca, na którym dziwny spokój zapanował, spokój człowieka sprawiedliwego.

Zygmunt błogosławił jeszcze każde dziecko z osobna.

Poranne dzwony się odezwały, zwiastujące święto Zmartwychwstania, poważny głos „Zygmunta“ na zamkowej wieży

przewodził wspaniałej harmonji. Król zdawał się z radością przysłuchiwać temu spżowemu chórowi.

— Chwała niech będzie Panu, — cichym głosem przemówił król — że mnie bierze z tego świata w dzień Zmartwychwstania. Nie tak mi smutno z wami się rozłączać, bo w Boskiej was zostawiam opiece.

Inne dzwony zamilkły, sam „Zygmunt“ tylko słał jeszcze pod obłoki swą poważną modlitwę. Król znowu po chwili przemówił:

— Powiedzcie memu synowi, aby mu ten głos przypominał obowiązki, które po mnie dziedziczy.

Po tych słowach król zasnął w Bogu spokojnie, a Polska Jagiellonów nie miała dnia smutniejszego, jak ów dzień Wielkiejnocy, bo pożegnała z nim króla, którego największym otaczała szacunkiem i miłością.

Żałoba okryła królewski zamek, a w serce Bony także dziwna wstąpiła boleść. Jedyny król dawał jej pewną moralną podstawę, godził ją ze światem, dla którego miała w duszy wiele goryczy, a jeszcze więcej pogardy; król był owym filarem z granitu, który jej zawsze wskazywał potęgę cnoty i drogę powinności. Spazzone zasady, odziedziczone po strasznym rodzie Sforzów, niespokojny umysł, nieprzyzwyczajona żądza władzy i podszepty włoskich zauszników, sprowadzały ją nieraz z drogi obowiązku wobec dostojnego małżonka i zatrute strzały do rąk jej wkładały — zawsze jednak stał ktoś, kto nad nią czuwał dzielnością swej cnoty, w którego moralną wielkość wierzyła. Obecnie runęła potężna kolumna, Bona ujrzała się osamotnioną, bo nie umiała w życiu kochać, a przeto i przywiązać do siebie nikogo nie potrafiła. Syn stał na uboczu, zrażony do matki, Barbara zerwała ostatnią nić, jaka go jeszcze z nią łączyła; dawniej wierzył w rozum matki i czuł się związany despotyczną jej wolą, dzisiaj widział tylko królową, któraby dla swej władzy wszystko poświęciła.

Została jej ostatnia krucha kotwica — niezmierne skarby, które nagromadzić umiała: zdawało się jej, że w nich znajdzie podstawę dalszego działania.

— Boleść i żal z powodu zaślubin młodego króla z Barbarą — pisała Bona do Rad litewskich — wtrąciły Jego Kró-

lewską Mość w niemoc, w której żywota Swego dokonał i Panu Bogu duszę oddał. My nie wiemy, co dalej czynić mamy w te-
rażniejszym sieroctwie naszym i dziątek naszych; więcej po-
ciechy, niżeli czego inszego, potrzebujemy; głowa nam cięży
od kłopotów, nie wiemy co dalej radzić, jak zapobiec...

Lepiej jeszcze malują stan jej duszy słowa pisane do córki
Izabelli:

— Nas ciężkie czekają przygody, bo cóż nam pozostało?
płacz, smutek, osierocenie. My straciliśmy pana i najlepszego
małżonka, Wasza Królewska Mość i rodzeństwo Jej straciło ojca
i dobroczyńcę swego; straciła Polska króla dobrego, łaskawego,
przystępnego dla wszystkich; Rzeczpospolita chrześcijańska
obrońcę wiary, utwierdziela pokoju. Jęczyśmy nad sieroctwem
naszym i dzieci naszych. Napotkało ono nas w czasach zawich-
rzenia, w czasach, cięższymi jeszcze grożących ciosami. Pomna-
żają bardziej strapienia nasze te nieszczęsne i niegodne śluby
syna naszego na Litwie, w których on przeciw wszelkim zdro-
wym radom trwa uporczywie, przez które nietylko zjedna sobie
u wszystkich monarchów imię ohydne, ale nawet u własnych
poddanych swoich pójdzie w pogardę.

Żal Bony był prawdziwy.

II.

Jesteśmy w królewskim zamku w Wilnie. Przed chwilą
przybył kurjer z Krakowa z wiadomością o śmierci Zygmunta.
August chodził zamyślony po komnacie, boleść za ojcem zdawała
się w nim walczyć z uczuciem pewności, że tajemne śluby z Bar-
barą będzie mógł teraz ogłosić światu. Pomimo, że już było po
północy, kazał natychmiast przywołać do siebie mistrza krakow-
skiej Akademji Proboszczewicza, wielce zaufanego astrologa,
którego w każdym ważniejszym radził się zdarzeniu.

Rumiany, jowjalny Proboszczewicz, chętniej zastanawiał
się nad biegiem gwiazd z wieczora, aniżeli nad ranem, kiedy go
najtwardszy sen zmorzył; przybiegł jednak czem prędzej, do-
myślając się, że coś ważnego zająć musiało. Zygmunt udzielił
mu wiadomości i polecił, aby zapytał gwiazd, czy małżeństwo
z Barbarą należy natychmiast ogłosić, czy też uczynić to dopiero

po pogrzebie starego króla. Proboszczewicz rozłożył wielką księgę Henryka Agrippy o czarnoksięstwie, kodeks wszystkich nekromantów i astrologów i szukał w niej rady jak postąpić, aby się prawdy właśnie w owym dniu dowiedzieć. Czy pytać się tylko gwiazd, czy też dojść do niej innemi sposobami, z pomocą tyromancji, alphetomancji, czy wróżyć z mąki jęczmiennej, kości, ognia, ruchu, powietrza i t. p.

Księga rozstrzygnęła za gwiazdami i koskinomancją, starożytnym jeszcze sposobem wróżenia czarnoksięską laseczką.

Gwiazdy przemawiały za bezzwłocznem ogłoszeniem małżeństwa. Pozostawała jeszcze druga wróżba. Nad okrągłą metalową płytą, podzieloną na regularne trójkąty, w których różnorodne były wymalowane kabalistyczne postacie, powiesił Proboszczewicz małą hebanową laseczkę na nitce, przywiązanej do sklepienia i nadał jej ruch wirujący. Laseczka opisywała koło nad metalową płytą. Król z wielką uwagą przypatrywał się jej ruchom.

— Staneła na wodniku! — zawołał, jakgdyby mu ciężar spadł z serca, gdyż czarnoksięska laseczka oświadczyła się za ogłoszeniem małżeństwa.

Natychmiast napisał August własnoręcznie list do podcaższego Radziwiłła, do Dubinek, pod którego opieką była Barbara, polecając mu, aby koniecznie przysłał ją jutro do Wilna, gdyż tak chcą gwiazdy — „sic astra volunt“.

Tej samej nocy czuwał i pan Grzegorz Wierszyło, kasztelan wileński, obok Chodkiewicza, kasztelana trockiego, najwybitniejsza głowa litewskiej opozycji przeciw małżeństwu Zygmunta Augusta z panią Gasztołdową. Był to człowiek burzliwy, namiętny i znany z dziwactw wszelkiego rodzaju. Pomiędzy drobną szlachtą miał wielki mir, gdyż chętnie z nią przestawał i wiele jej świadczył dobrego. Radziwiłłów zaś nienawidził i całe życie nad tem tylko myślał, jakby im wchodzić w drogę.

Wierszyło nie lubił nowomodnych zbytków i żył jakby za czasów Witolda. Łuki, kołczany, niedźwiedzie skóry, jelenie rogi były główną jego domu ozdobą, a nie widziano tam nigdy wina, ale tylko dzbany miodu.

Kilku szlachty siedziało u niego wokoło staroświeckiego kaganka. Słabe, migające się światło, odpowiadało grubym zary-

som sprzętów i pozwalało zaledwie dostrzec w cieniu jakiejś surowej postaci w kaftanie ze skór wydry, o sumiastych wąsach i bujnych brwiach.

— Uderzyć na Dubinki, wykraść Gasztołdową! — odezwał się Wierszyłło. — Jak ona zginie z oczu, to król o niej zapomni, wszak i po śmierci Elżbiety prędko się pocieszył.

— Ba! ale co z nią zrobić? — zapytał jeden ze szlachty.

— Oddać do jakiego dalekiego klasztoru tak, żeby nawet sokoły Radziwiłłów zwietrzyć jej nie mogły.

Projekt podobał się zgromadzonej szlachcie, bo zmierzał do awanturniczej wyprawy.

— Dubinki wodą otoczone, podczaszy zechce się bronić! — wtrącił któryś ze szlachty.

— Zostawcie mi wykonanie wyprawy — odpowiedział Wierszyłło — już ja wiem, jakim sposobem się do zamku dostanę. Nie damy Radziwiłłom nad sobą panować!

Zamiar postanowiono bezzwłocznie wykonać i najbliższej nocy napaść na Dubinki.

Następny dzień pomieszał jednak szyki Wierszyłła, bo w południe już rozeszła się wieść, że Barbara przybyła do Wilna i że stanęła w domu Radziwiłłów. Kasztelan się gniewał, sierdził, przysięgał, że w inny sposób zamiaru swego dokona, udo-bruchał się jednak w części, gdy wraz z innymi panami został zaproszony do zamku, gdzie król miał panom radom litewskim ogłosić małżeństwo.

— Zaprotestuję! — wołał Wierszyłło i przygotował orację, z którą miał wystąpić podczas uroczystości.

Pobyty w Dubinkach znękał Barbarę. Osamotniona, niespokojna, obrażona w swej dumie koniecznością ukrywania małżeństwa, zaczęła chorować i wpadać w apatię, która opanowywała coraz bardziej jej mało odporny charakter. Nagła wiadomość o śmierci Zygmunta Starego i myśl, że teraz wobec całego świata zostanie królową, pobudziła ją do nowego życia, podziałała na nią jak promień słońca na roślinę, zamarłą pod powiewem zimnego wiatru.

Obecnie, w wigilję swego zwycięstwa, chciała być przede-wszystkiem piękna i przedstawić się tak, aby żadna z zawistnych jej litewskich kobiet nie mogła jej dorównać wdziękami. August



Zygmunt Stary, jako król Salomon
Kaplica Zygmuntowska na Wawelu

mógł się z nią zaledwie widzieć na chwilę, tyle było zajęć i przy sposobie w gotowalni, tyle narad z matką, czy wystąpić w ubiorze z pereł, czy brylantami podnieść blask czarnego oka.

Nadszedł nareszcie pamiętny dzień, uderzono w dzwony kościołów litewskiej stolicy, wspaniały orszak powozów i konnego rycerstwa ruszył z królewskiego zamku do pobliskiego pałacu Radziwiłłów, aby przywieźć Augustowi dostojną małżonkę. W złocistej, oszklonej kolasie, zaprzężonej ośmioma białymi końmi, siedział pan Stanisław Kiszka, wojewoda witebski, wysłany od króla, aby odprowadził Barbarę. Złocista korona unosiła się nad kolasą, w dumę wzbijając Radziwiłłów, a zadość budząc w nieprzyjaznym im otoczeniu. Orszak zatrzymał się przed pałacem, nad którego bramą, znane całej Litwie trzy trąby, zdawały się głosić chwałę dnia dzisiejszego. Otworzono wielkiej sali podwoje, Barbara zasiadła na podwyższonym miejscu w białej szacie, zasianej perlami i w znanym czepcu perłowym, obok niej matka i pani Hornostajowa, przyjaciółka domu, podskarbina litewska. Podwyższenie szkarłatnym podbite aksamitem, krzesło Barbary odszczególniające się od innych, zrobione w kształcie tronu, nie podobało się szlachcie.

— Zawczasie! zawczasie! — powtarzano sobie, a tak pierwsze wrażenie nie zyskało sympatji wdowie po Gasztołdzie. Pan Kiszka, w towarzystwie wileńskiego biskupa zbliżył się do Barbary i tak do niej przemówił.

— Niby drugą Esterę, przychodzimy Cię, Złocista Pani, na tron powoływać i blasku dodać Twemu Domowi. Perłą byłaś w Swym Dostojnym Rodzie, który Litwie przysporzył tylu znakomitych mężów, bądźże klejnotem w Królewskiej Koronie. Pójdź z nami na zamek królewski, gdzie cię z upragnieniem czeka Dostojny Małżonek, gdzie cię cała Litwa przyjmie za swoją księżną, dumna, że Monarcha w jej borach towarzyszkę sobie upatrzył i nie sięgał po rękę obcej księżniczki.

Barbara się skłoniła, a w jej imieniu przemówił kilkoma dziękczynnymi słowami podczaszy Radziwiłł, poczem ją odprowadzono do królewskiej kolasy.

Na zamku siedział król w licznych otoczeniu litewskich i polskich panów. Błady, spokojny jak zawsze, niczem nie zdradzał wzruszenia, pomimo, że troszczył się bardzo, aby jaki nieprzy-

stojny pomysł niechętnych, jaki paszkwil złośliwy nie zakłócił ważnej dlań uroczystości. A miał dość powodów obawiać się tego, gdyż w ostatnich dniach pachołki niemało mieli do czynienia, aby zedrzeć wszystkie „paskwilusy“, które przylepiano na ulicach, na kościołach, ba, nawet na bramach królewskiego zamku.

Wchodząca Barbara olśniła wszystkich pięknnością; młodość, szlachetne, nadzwyczaj regularne rysy, łagodny wyraz twarzy ujął nawet niechętnych. Podczas, gdy królowę prowadzono środkiem sali, spadł kawałek gzymsu z wielkim łoskotem, z niewiadomego powodu.

— Tak się wkrótce skończy nieprawne, naród hańbiące małżeństwo! — półgłosem powiedział do otaczających Wierszyłło, wskazując na potłuczone kawałki muru. Król zdawał się tej obelżywej mowy nie słyszeć, a biskup wileński czem prędzej zbliżył się do wicherzyciela, aby go uspokoić.

— Bielmo wam zakryło oczy — odezwał się prawie głośno Wierszyłło — pomiędzy wami nie znajdę stronników, pójdę jednak do Polski, a przecie tego dokażę, że Radziwiłłówna nie będzie królową!

— Idź do Polski wicherzyć panie Wierszyłło! — odpowiedział ktoś z tłumu.

Kasztelan wyszedł ze sali.

Król tymczasem zbliżył się do Barbary, a wprowadziwszy ją na podwyższenie, na którym stały dwa trony, przemówił krótko, stanowczo a poważnie, że to jest jego małżonka, którą pojął, idąc za popędem serca i że naród szanując siebie, powinien szanować także królowę, wyszłą z jego łona.

— Nie za popędem serca, ale z woli czarów pojął król Gasztołdową — mówiła pani Chodkiewiczowa do pani kasztelanej wileńskiej, odjeżdżając z tej uroczystości.

— Wszystkim to wiadomo, że pani Radziwiłłowa biegła jest w sztuce zamawiania — odpowiedziała ostatnia — i że króla w nieczyste umiała zawikłać sidła. Mój ogród graniczy z jej ogrodami, a służba nieraz widziała jak matka Gasztołdowej posypywała jakimś zielem ścieżkę, którą się król do jej córki wkładał.

August niedługo mógł się cieszyć żoną i pierwszym odnie-

sionem zwycięstwem, podążył bowiem na pogrzeb ojca do Krakowa, a Barbarę zostawił pod opieką brata podczaszego Radziwiła i wiernego Stanisława Dowojny, ochmistrza dworu, który nietylko miał ją strzec od nieprzyjaciół, ale i czuwać nad jej zdrowiem, znając się dobrze na sztuce lekarskiej.

Smutnym splendorem zajaśniał Kraków na chwilę, aby na długo opustoszeć. Panowie z całej Polski, zagraniczni książęta, posłowie obcych monarchów połączyli swe głosy w poważnym chórze „Dies irae, dies illa“, a ksiądz Maciejowski rzucał ostatnie wawrzyny na grób sławnego króla, uwite ze słów hołdu i żalu. Duchowieństwo szemrało, że mówił po polsku, że czyny wielkiego monarchy w powszechnie znanym, łacińskim należało sławić języku. Orzechowscy, Kochanowscy, Rejowie przyklaskiwali zacnemu kapłanowi.

Z osierociałego zamku jak ptak złowrogi zerwała się Bona i odleciała na Mazowsze, do Warszawy, pilnować ziemi, na której miała zabezpieczone sumy posagowe.

ROZDZIAŁ ÓSMY.

OSTATNIA KARTA.

I.

Bona ostatnią w Polsce rzuciła kartę. Postanowiła rozerwać małżeństwo syna z Barbarą Radziwiłówną. Tyle razy zawiedziona w swych planach, tyle razy przegrawszy walkę, wystąpiła teraz z całą energją, poruszyła wszystkie sprężyny, byle nie dopuścić, aby syn jej połączył się z poddanką.

— Zwycięstwo bogów biesiadą! — powiedziała sobie, a chcąc być bliżej pola walki, przeniosła się na czas sejmu, na którym miała się traktować sprawa królewskiego małżeństwa, do Gomalina, wsi pobliskiej Piotrkowa.

Z początkiem sejmu już ją tam zastajemy w niewielkim dworze, z trzema córkami, wśród starych lip knującą spiski z Pappacodą, zawiązującą węzeł najróżnorodniejszych intryg, które miały jej zapewnić spodziewany triumf. Królowne Zofja, Anna i Katarzyna, wszystkie już w trzecim lat dziesiątku, czytają, modlą się, podsłuchują, jak matka chce im z Włoch i z Niemiec sprowadzać narzeczonych, skarżą się na brata, że się mało ich losem zajmuje, nudzą się i wzdychają jak wiejskie szlachcianki w dalekiej od świata okolicy. Czasem występują z matką na przyjęciach, ale niewiele stamtąd wnoszą radości, bo muszą milczeć i za bardzo młode uchodzić; nawet drobnych zachcianek fantazji nie mogą zaspokoić, bo oszczędność panuje w domu wielka. Pappacoda rachuje a rachuje, a królowa z wiekiem coraz bardziej się przywiązuje do majątków i chętniej złoto zamyka w warszawskich piwnicach, aniżeli wydaje na dostatki.

Za duszę starego króla tylko Bona mszy nie żałuje, łzę nawet często za nim uroni i lubi mówić o swem nieszczęśliwym

wdowieństwie, lepsze wspominając dni, kiedy więcej władzy w jej rękę spoczywało. Królowne także przypominają sobie z żalnością dawniejsze czasy, bo chociaż stary król w ostatnich latach był zawsze prawie chory i nieco zgryźliwy, to przecież sam pobyt w zamku krakowskim i większy ruch na dworze życiu więcej dodawały różności.

Wejdźmy jednak do Gomolina w najważniejszą dla Bony chwilę. Z wielkiej murowanej bramy, nad którą smok Sforzów pilnie strzeże wejścia, wyjeżdża Lupa Podlodowski, poseł, krzykacz sejmikowy, gorączka, skory do korda, chciwy majątku i znaczenia, idący w świecie nie pracą i zasługą, ale zbytnią lekkością sumienia. Lupa podkręca węża, uśmiecha się i brzęka trzosem — widocznie zadowolony z siebie, że wziętość u szlachty dobrze mu się opłaciła.

Za odjeżdżającym spoglądają szyderczo królowa i Kmita, stojąc na długiej werandzie. Kmita się już bardzo zestarzał; burzliwe, namiętne życie grubemi linjami twarz porysowało, na królowę patrzył już nie jako przyjaciel i wierny doradca, ale jako chwilowo jednym z nią związany interesem. Bona żywiła nawet niechęć do niego, gdyż niejednokrotnie miała z nim zatargi i ulec mu nawet musiała, ale obecnie z uprzejmym, wymuszonym mówiła z nim uśmiechem, bo go potrzebowała. Łączyła ich tradycja wspólnych dążeń i żądza rozerwania królewskiego małżeństwa. Kmita nienawidził Radziwiłłów, zazdrościł im potęgi, więc dość było tego powodu, aby się znaleźć w Gomolinie.

— Złoto ostatecznie zwycięży, — przemówiła Bona — patrząc się jeszcze w stronę, w którą odjechał Podlodowski.

— Dziwi mnie, że to słyszę z ust Waszej Królewskiej Mości, — odpowiedział Kmita — która tyle razy miałaś sposobność przekonać się, że pieniądzem niezawsze dochodzi się do celu. Tym razem mam złe przecucie; Król się uparł, a jego złamać niełatwo.

— Jeśli się do czegoś dąży, nigdy nie trzeba wątpić w dobry skutek — żywo odrzekła królowa.

— Owszem, lepiej wątpić, aby tem oględniej przystępować do dzieła — rzekł Kmita. — Co do mnie, zrobiłem wszystko, co było można uczynić. Gdzie był jaki nieprzyjaciel związku królewskiego z Radziwiłówną sprowadzam go do Piotrkowa. Ma-

ciejowski i Tarnowski ciężką będą mieli pracę, jeżeli zechcą do ostatka stawać w obronie wdowy po Gasztoldzie.

— A pamiętaliście wojewodo o Orzechowskim? Ten krzykacz ma mir pomiędzy szlachtą i wiele może siłą swej wymowy, trzeba mu ułatwić małżeństwo, jeżeli się chce żenić. Ujmiemy go sobie tym sposobem, a kościół i duchowieństwo niewiele na nim stracą. Podobno chce się żenić z którąś z panien na waszym dworze?

— Z Zofją Straszówną. Zapowiedziałem ojcu, że musi ją wydać za Orzechowskiego. Panna płacze i prosi się, nie chcąc iść za księdza — ale się na to zważać nie będzie. Orzechowski teraz w naszym ręku.

Strzelania z bicia przerwały rozmowę; jakiś dziwaczny pojazd toczył się ku bramie. Naprzód konno kilku jechało hajduków w ponsowych kapotach, z wielkimi pióropuszcami na kapeluszach, za nimi poszóstna kolasa na żółto malowana, a na ostatku w nieładzie służba i furgony.

— Pani starościna Kobrzyńska — zauważył Kmita.

— Dobrze masz oczy wojewodo — wtrąciła Bona.

— Nietrudno ją poznać po żółtej kolasie i po czerwonych hajdukach.

Rzeczywiście była to pani Falczewska, starościna kobrzyńska, różowa, śmiejąca się, z okrągłymi biegającymi oczyma, w hiszpańskim kapeluszu, w niemieckiej sukni, we włoskim płaszczu, przyjaciółka Bony, wygadana, intrygantka, znająca wszystkich, wiedząca co pan marszałek Radziwiłł pisał wczoraj do siostry, a co powiernik Barbary, Dowojna, mówił do króla, wечно potrzebująca pieniędzy i wечно ułatwiająca małżeństwa.

W Gomolinie nie było ani miejsca ani urzędnika na dworskie ceremonie, więc pani Falczewska, wysiadłszy przed bramą, wprost zdążyła ku królowej. Bona dała jej rękę do pocałowania. Kmita wcale ją zimno przywitał, po trzecim jednak słowie chwaliła się już pani starościna, że przywiozła królowej wóz zamówiony w Warszawie. Był to wóz na złe wiejskie drogi, zrobiony na wzór niemieckiego wozu pana Kieżgałły, którego królowa z wielkim oczekiwaniem upragnieniem. Bona kazała zaraz z owym wozem zajechać; pani Falczewska unosiła się nad jego

zaletami, mówiła, że w drodze kilka razy przesiadała się do niego ze swej kolasy, aby spróbować czy nie trzęsie. Kmita ruszał ramionami i sądził, że prócz pięknej farby i aksamitnego wewnątrz obicia nic szczególnego nie widzi, królowa jednak była zadowolona, a cały Piotrków o niczem nie mówił, tylko o nowomodnym pojeździe.

— Przywiozłam jeszcze coś innego, ważniejszego — powiedziała starościna do królowej tak, żeby Kmita nie słyszał i wskazała na jakąś starą kobietę, wysiadającą właśnie woddali z jednego ze służebnych wozów.

— Ożóg? — zapytała zcicha królowa.

— Ożóg — odpowiedziała znacząco Falczewska.

Pod tą nazwą na całą Litwę znana była „czarownica“, a i na Mazowszu znano ją także i utrzymywano, że przyczyniła się za swych młodych czasów do pogrzebu księcia Janusza Mazowieckiego. Dochodzenia wprawdzie, które jeszcze nieboszczyk król zarządził, nie wykazały, aby księcia otruto, ale głos publiczny nie dał się przekonać, aby ksiązę miał zginąć naturalną śmiercią i uporczywie powtarzał, że „Ożóg“ podawał mu jakieś zioła.

Bona natychmiast obróciła się do stojącej wpobliżu mniszki Maryny i oddała „Ozoga“ pod jej opiekę. Pani starościna przywiozła mnóstwo nowin, opowiadała, jak Barbara co kilka dni królowi nowy przysyła z Litwy pierścionek, a król jej podobnemi odpowiada upominkami, jak w jednym pierścionku misternie był osadzony mały zegarek, a w liście życzenie, aby król „wedle słońca raczył się sprawować, a na Wschód, na Litwę jak najprędzej śpieszyć“.

Nareszcie wzięła pani starościna puzderko z jakąś drogą pieczęcią i oddała je królowej. Bona pieczęć wyjęła i pokazała Kmicie. Był to duży pierścień z kamieniem, na którym najpiękniejszą włoską robotą wyrźnięty był uśmiechnięty Satyr, otoczony z góry napisem „Semper ridere“ — zawsze się śmiać — a u dołu słowem „Babin“.

— Jakież ma przeznaczenie ten pierścień? — zapytał Kmita.

— O niczem nie zapominamy — z zadowoleniem odpowiedziała Bona — kanclerz Rzeczypospolitej Babińskiej, Kaszowski, stoi po naszej stronie, tym upominkiem jeszcze go bardziej zobowiązemy. Umyślnie z tą pieczęcią poszlę do Babina.

— Wielcy wodzowie i o obozowym nie zapominają pachołku — z uśmiechem pełnym grymasów dodała starościna.

Kmita niewiele mówił, gniewny był i ponury, gardził już w duszy królową, sąsiedzkie miewał z nią zatargi, poznał się na jej chciwości, to też co świt wyjechał z Gomolina, aby w Piotrkowie z pomocą Lupy Podlodowskiego i Piotra Boratyńskiego zacięta przeciw królowi rozpocząć walkę.

Wieczorem tego samego dnia królowa długo pracowała; długo nie szła na spoczynek, a najprzód kazała przywołać swego spowiednika księdza Lizmanina. Chytry to był cudzoziemiec, niespokojny duch we franciszkańskim habicie, żądny rozgłosu, a niepewnej religji. Królowa darowała mu niedawno kazania Ochina, szkodliwego reformatora, podszywającego się zrazu pod suknię kościoła. Kazania te doreszty zachwiały jego zasadami i szukał tylko sposobnej chwili, aby zerwać z zakonem i sprzymierzyć się z nowowiercami. Bona poznała w nim zmianę a nie mogąc go z obawy zgorszenia trzymać dłużej na swoim dworze, postanowiła w inny go użyć sposób; wejść z jego pomocą w układy z heretykami i przeciągnąć ich na swoją stronę. Chodziło jej o Oleśnickich, Stadnickich, Lasockich, Trzecieckich, wszystkich zarażonych herezją.

Lizmanin wszedł poważnie, z udanym spokojem, wzrokiem jednak bystro śledził powodu, dla którego go królowa powołała.

— Pojedziesz ojciec do Pińczowa — przemówiła doń Bona, nie dając mu długo czekać na rozwiązanie zagadki — nie trzeba szczerzyć złota i upominków, aby nam i z tamtej strony zyskać przyjaciół. Stankar potrzebuje teraz wsparcia, po swej ucieczce z Lipowca, a ma wpływ na Oleśnickich.

Lizmanin nie miał nic przeciw tej misji, tem bardziej, że nosił się już z myślą wyjechania do Szwajcarji i połączenia się tam z Ochinem, a pieniędzy na drogę potrzebował. Przy pińczowskiej sprawie mógł sobie sporo grosza zaoszczędzić.

Najważniejszą jednak na koniec dnia zachowała sobie Bona rozmowę. Jak widmo wsunęła się już około północy owa baba „Ozogiem“ zwana, do komnaty. Prócz mniszki Maryny innych nie było świadków, nawet Pappacoda nie wiedział, jakie tej nocy pod tym dachem miały powstać zamiary.

— Znasz dobrze drogę do Nowego Korczyna? — pytała się

Bona Ożoga po wstępnej rozmowie — wiesz, gdzie mieszka wdowa po Gasztoldzie?

— Łasica tak dobrze nie zna swojej nory, jak ja całą Polskę i Litwę, zamek w Korczynie wodą otoczony, trudny tam dostęp dla obcego człeka.

— Barbara chora, może będzie potrzebowała lekarstwa? — zapytała Bona.

— Jest przy niej pan Dowojna; on się lekami trudni, Barbary zewsząd strzegą panowie Radziwiłłowie, ale niema wąskiej szpary dla śliskej gadziny...

— Doświadczeńsza ode mnie! — pomyślała Bona, a dreszcz ją przeszedł, gdy się popatrzyła w jaszczurcze oczy kobiety.

— A znasz dobre leki? — zapytała znów po chwili królowa.

— Znam lepsze, aniżeli żmija, co się wiję pomiędzy płotami... Gad jednak wszędzie się wśliźnie, człowiek potrzebuje złotem obsypać drogę, aby grudy na niej nie było.

— Tysiąc czerwonych złotych dostaniesz, jeżeli dobrze się sprawisz.

— Droga na zamek w Korczynie trudna — trzeba ją opłacać.

Bona zamiast odpowiedzi wyjęła przygotowaną garść złota i dała Ożogowi.

— Ostrożnie koło Piotrkowa, — dodała Bona — żeby się nie dowiedziano, w którą stronę idziesz.

Na te słowa odwróciła się baba, wyjęła z torby chustkę i korale, ubrała głowę inaczej, zapuściła do oczu jakiegoś płynu i twarz czemś wybieliła tak, że w kilka minut prawie inną, młodszą się stała kobietą.

Bona się zdziwiła i pomyślała: Ta się ode mnie niczego nie nauczy.

II.

Jakby po stolicy, snuło się po błotnistym Pińczowie mnóstwo szlachty, ludzi zbrojnych podejrzanego pochodzenia; mniichów nie mających prócz stroju nic duchownego w swem zachowaniu się, cudzoziemców rozmawiających po niemiecku, włosku i hiszpańsku. Istne zbiegowisko najróżnorodniejszych postaci,

podobne do obozu Wallensteina, tylko że tam ponura panowała cisza, a w Pińczowie tak wszyscy krzyczeli i krzatali się, że całe miasteczko wielkim zdawało się być ulem. Przed najmniejszą chatą i żydowskim domkiem stało po kilku i kilkunastu zbrojnych, największy tłum jednak zebrał się przed klasztorem. Mnichów wygnano przed chwilą, a w miejscu został tylko gwardjan, podejrzwany oddawna o sprzyjanie heretykom, częsty gość pod dachem pana Mikołaja Oleśnickiego, który nie zachowując tradycji swych przodków, wiernych i żarliwych obrońców kościoła, otworzył prawie gospodę u siebie dla wszystkich ludzi podejrzanej wiary. „Hydra pomiędzy heretykami, młyn djabełski, Belzebub wcielony“ — oto nazwy, które powszechnie wskazywano wysokiego, chudego mężczyznę, stojącego przed klasztorem i zatopionego w żywej rozmowie z panem Oleśnickim. Był to Franciszek Stankar, niebezpieczny heretyk, zniemawidzony nawet przez odstępców, igła w oku Orzechowskiego. Niedawno ksiądz Maciejowski, chcąc tamę położyć jego bluźnierstwom, zamknął go w Lipowcu, znaleźli się jednak gorliwi jego stronnicy Stanisław Lasocki i Jędrzej Trzeciecki, którzy go spuścili z więziennej wieży na linie i znów łańcuch zdjęli „psu wściekłemu, aby się rzucał na pobożnych“.

Pomiędzy tłum zbrojnych, stojących na podwórzu, rozdawano wino z klasztornej piwnicy, więc głowy były zagrzane, skore do wszelkiego przedsięwzięcia. Stankar miał już zabudowania klasztorne, chciał jeszcze kościół opanować, ale ludzie Oleśnickiego nie spostrzegli się, jak gromada zaściankowej szlachty, rozprószona po domach, a przychylna katolickiej wierze pod wodzą pana Szadka opanowała kościół, zamknęła bramę i obsadziła mur cmentarny, będąc gotową do oporu.

Oleśnicki chciał wyczekać, sądził, że obrońcy kościoła nie mając co jeść, po dwóch dniach z cmentarza ustąpić muszą, nie chciał zresztą krwi przelewać rozpoczynając walkę, ale Stankar gorąco nań napierał, aby szturm przypuścić do murów i jak można najwięcej wytepić tych „bałwochwalców“, jak się wyrażał, którzy są tylko przeszkodą, aby jak z drugiego Betleem, z Pińczowa, światło się rozeszło.

Stanisław Lasocki, gorączka i fanatyk, także radził wyjąć miecz z pochwy, porównywując tych do św. Piotra, którzy obec-

nie opuszczają Chrystusa. Podpity jakiś sługa Oleśnickiego rozstrzygnął sprawę, uderzył bowiem któregoś z przeciwnej strony, co dało powód do pierwszego strzału. Wtedy Oleśnicki zawołał:

— W imię dwóch natur Chrystusa! Za mną! — a tłum powtarzał okrzyk, pomimo że nie wiedział dobrze, o co chodzi i co mają znaczyć owe „dwie natury“ Zbawiciela.

Rzucono się na mury, ale walka była nierówna dla obleżonych, bo Oleśnicki miał dobrze uzbrojone liczne tłumy, podczas gdy obrońcy kościoła nieprzygotowani byli na stoczenie walki. Wkrótce też rozpierzchła się zaściankowa szlachta, wyłamano drzwi do kościoła, a Stankar pierwszy wszedł do świątyni Pańskiej, nie zdejmując kapelusza i wprost dążył do wielkiego ołtarza. Szlachta szła zrazu nieśmiało, ten i ów mimowoli sięgał ręką ku czapce i chciał przyklękać i żegnać się święconą wodą, ale przewodnicy, butnie idący wpośród nich, przytem i wino, dodawały odwagi.

Stankar wstąpił na ołtarz, a wyciągnąwszy miecz, silnym zamachem przeciął na dwoje płótno przedstawiające świętego Antoniego.

— Precz z bałwanami! — zawołał i sądził, że stwarza nowy okres w cywilizacji.

Niektórzy ze szlachty stanęli jak wryci, zdawało im się, że niebo cudem zabije świętokradcę, gdy jednak gromów nie widzieli, nadeszła znowu do złego otucha, a Stankar niebawem miał pomocników w swem dziele zniszczenia. Rozpasana tłuszcza w mgnieniu oka rzuciła się na ołtarze, niszcząc obrazy, wyrzucając przed kościół feretrony. Stankar wyszedł na ambonę, a zdarłszy przyczepionego nad sobą gołębia, symbol Ducha świętego, rzucił go pod nogi i zaczął prawić:

— Precz oznako bałwochwalstwa! Nieba się będą radować, widząc przynajmniej jedną świątynię wolną od śladów obłędu, od kacerstw i grzechu. Najpiękniejszy to dzień w mojem życiu; wycierpiałem więcej jak Chrystus na Górze Oliwnej, zanim tutaj doszedłem. Byłem ofiarą wrogów prawdziwej wiary, cała zgraja odszczepieńców, apollinarystów, timotejanów, acephalów, gajanitów, makrjanów napadła na mnie. Rozsiewali paszkwile pełne kłamstw, obwinień, oczernienia, potwarzy!

— Łotry! — odezwał się jakiś głos pełen szczerości.

— Zwali mnie błaznem — mówił Stankar dalej w zapale — zwierzęcą potworą, bezbożnikiem, zbrodniarzem, głupcem, przekłētnikiem, szalonym, wichrzycielem kościołów, bluźniercą, bałamutem, obludnikiem, mężobójcą, zagorzalcem, który dzikiemi mniemaniami Polskę zaburzył; chcieli mnie pogryźć i poszarpać zajadlej, niż niegdyś rozjuszony psy Akteona, teraz my zwyciężymy, a oni niech się między sobą rozszarpują i nawzajem się sobie sprzeciwiają, co pospolicie bywa skutkiem i ofiarą grzechu.

— A jakiego Waś właściwie jest wyznania wiary? — przerwał jakiś ochrypy towarzysz, stojący na środku kościelnej nawy, którego dosadne wyrażenia Stankara obudziły dopiero z miłych marzeń po plebańskim winie.

Reformatora bynajmniej nie zdziwiło takie zapytanie, ale odpowiedział natychmiast, rozwodząc się długo nad skutkiem grzechu pierwородnego, nad bezżeństwem księży, które zwał kacerstwem, nad zewnętrzną i wewnętrzną ewangeliczną pokutą i nad innemi zasadami swej wiary, wpadając często to na genewczyków, to na arjanów, to na Melanchtona.

Podczas tej mowy wszedł niepostrzeżenie do kościoła Lizmanin, który przed chwilą przybył do Pińczowa. Miał on już ustalone reformatorskie wyobrażenia i nie zgadzał się z wielu zasadami Stankara. Widocznie też niecierpliwił się, słuchając jego wywodów, szeptał do otaczających go sąsiadów, a nawet odzywał się półgłosem: „Herezja! bluźnierstwo! niedorzeczność!“. Stankar, nie znając Lizmanina, zauważył jego zachowanie się, a bojąc się skrytej opozycji zawołał z ambony, wskazując nań palcem:

— Co za mędek w mnisim kapturze milczkiem chce mnie tam kasać? Zapewne nie ma kości w języku, może więc głośno mówić i otwarcie zdania moje zbijać! — Padalec tylko pełza wśród ciemności — mężowi w jasny dzień chodzić przystoi!

— Dobrze mówi, niech się mnich tłumaczy! — Podsadzi go! — zaczęto wołać z tłumu, a Lizmanin nie spostrzegł się nawet, jak go postawiono na bocznym ołtarzu naprzeciw ambony.

— Odetnij się ojciec, tylko ostro, tylko żwawo! — szepnął mu jakiś szlachcic, któremu śnać milsza była jeszcze zakonna suknia, aniżeli kusy strój reformatora, stojącego na ambonie.

Nie trzeba było zresztą powtarzać tego Lizmaninowi, gdyż go napaść Stankara i tak doprowadziła do gniewu.

— Nie mam ja kości w języku, — odpowiedział Lizmanin, podnosząc głos namiętnie — ale też nie mam i takiego młynka w ustach, jak Waśc Panie Mistrzu, co pytluje prędeż od wiatraka, a plewę możnaby worami zbierać naokoło. Dużom tutaj słów słyszał, ale czystego ziarna niewiele, strupieszwały Arjusz z Waści mówi, tylko że sobie próchnisty gmach wybrał na siedlisko.

— Gracko się mnich spisuje! — wtórowała szlachta.

— Niepospolity to człowiek — mówił zcicha Oleśnicki do siedzącego przy nim Lasockiego.

Lizmanin zauważył, że dobre robi wrażenie, więc w tym samym tonie, w którym zaczął, zbijał niektóre zasady Stankara. Reformator na ambonie kręcił się jak w ukropie, chciał odpowiadać, ale słuchacze mowę mu przerwali, bo byli zanadto zmęczeni, a Oleśnicki, kazawszy obsadzić kościół i klasztor zaprosił Lizmanina do siebie, aby nazajutrz dalszą mu ze Stankarem ułatwić dysputę.

Wysłannik Bony, znalazłszy się pomiędzy reformatorami, niewiele miał ochoty wydawać dane mu pieniądze na zjednanie jej stronników, tem bardziej, że przekupstwo nie na wieleby się było przydało, gdyż zreformowana szlachta trzymała z Radziwiłłami, a przedewszystkiem z księciem wojewodą, który się już wówczas nie krył ze swemi sympatjami dla nowowierców i chętnie ich widział koło siebie. Lizmanin więc tak urządzał interesa w Pińczowie, aby jak najmniej złota odwieźć królowej, a jak najwięcej zostawić w kieszeni. Powodzenie, jakie miała jego dysputa ze Stankarem w pierwszy dzień przyjazdu, zachęciła go do zostania dłużej na dworze Oleśnickiego, sądził bowiem, że potrafi swemu nowemu przeciwnikowi wydrzeć zwycięstwo i zapewnić sobie pomiędzy żądną nowości szlachtą liczną klientelę. Stankar jednak zanadto wprawnym był w walce, aby się tak łatwo ubiec potrafił.

— Idź ojciec jeszcze na naukę do potulnego Melanchtona, — mówił raz do niego publicznie — który może lepiej potrafi kształcić zbiegłych mnichów, aniżeli ludzkości nowe wskazywać tory. Prawie tam dla ciebie towarzystwo! Zbij bowiem stu

Lutrów, dwóchset Melanchtonów i trzechset Bullingerów w moździerzu, to nie wydobędziesz z nich ani jednego łuta zdrowego teologicznego sensu.

Lizmanina zmęczyły wkrótce napaści, bo jeszcze nie był przyzwyczajony do tej mowy i do sposobu wojowania, w którym Stankar lub Orzechowski byli już mistrzami, a szlachta do tego się bardziej skłaniała, kto ostrą wymową górował i panem placu zostawał. Po kilkunastu więc dniach pobytu w Pińczowie powrócił Lizmanin do Gomolina, wyniósłszy stamtąd śmiertelną nienawiść do Stankara i stanowczy zamiar zerwania z kościołem i szukania szczęścia pomiędzy genewskimi reformatorami.

Królowa nie była zadowolona z rachunków, które jej złożył wysłannik, złota bowiem niewiele wróciło do skrzyni, a rzeczywiste korzyści poselstwa także nie były widoczne. Trzeba było jednak stratę przeboleć i innego szukać spowiednika. Lizmanin pożegnawszy się z Boną pojechał do króla do Piotrkowa uwiadomić go o swym wyjeździe zagranicę. Zygmunt, zajęty umyślowym ruchem, polecił mu znaczne poczynić zakupna książek i dał mu na to pieniądze.

Był temu Stańczyk przytomny i ruszał ramionami, patrząc z szyderczym na króla uśmiechem, a gdy po wyjeździe Lizmanina zapytał raz August:

— Ileś też Stańczyku głupców równych sobie znalazł? — odpowiedział śmiało trefniś:

— Co dzień ich zapisuję i już Augusta zapisałem.

— A to za co? — zawołał dotknięty tą śmiałością król.

— Za to, żeś Lizmaninowi dał tyle pieniędzy i wyprawił z niemi zagranicę.

— A! a! poczekajże — jeszcze Lizmanin powróci.

— Jak powróci, to Waszą Królewską Mość zmażę, a jego napiszę.

Lizmanin nie pokazał się więcej i osiadł w Szwajcarji.

III.

Była w Piotrkowie gospoda „pod panną“, w której się zgromadzali członkowie poselskiej izby, a nieraz nawet i karmazyn się do niej zabłąkał. Właściwie powinno się ją było zwać

„pod smokiem“, albowiem wielki smok misternie wykuty z żelaza wisiał na dwóch łańcuchach przed bramą, ponieważ jednak ze smoczej paszczy wyglądała niewieścia postać, więc głos publiczny wolał wziąć godło panny, aniżeli smoka. Za życia jeszcze starego Zygmunta złośliwe języki powtarzały, wskazując na smoka, że to gospoda „pod Boną“, tem bardziej, że w herbie Sforzów smok trzyma dziecię w paszczy, ale obecnie stara królowa mniej już miała wpływu, więc i nazwa „pod Boną“ poszła w zapomnienie.

W gospodzie była długa sala, jak bernardyński refektarz, świeżo wybielona na przyjęcie posłów i tylko belki modrzewiowe na powale poważną odbijały starością. U środkowej belki wisiał zardzewiały kord złamany, a kto po raz pierwszy wstępował do sali, temu opowiadano, że za ś. p. ojca teraźniejszego króla, jeden ze Skorutów miał tak twardą głowę, że gdy go drugi ciał w sprzeczce po czuprynie, pękł kord na dwoje, a głowie się nie stało.

Gospodarz był dawniej obozowym ciurą u księcia Wasyla Ostrońskiego, później został piwniczym na innym dworze, gdyż sławną umiał przyprawiać piołunówkę, a wkońcu dorobił się grosza i wziął po swym krewnym gospodę „pod panną“ a posłowie zwali go „smokiem“ od godła, które nad bramą wisiało.

Na dębowych ławach, przy podłużnych stołach siedziało w sali około stu szlachty. Od gwaru muryby pękły, gdyby nie były stawiane z takiej cegły, jak kościół u fary. Kamienne dzbany z winem, wazy z krupnikiem, misy zrazów z kaszą, przyjemnym były dla oka wypoczynkiem i świadczyły o pokojowych zamiarach zgromadzenia. Większość gości, z wydatnemi czuprynami, w polskich była strojach, gdzie niegdzie tylko odróżniał się czarny włoski atłas, a i Stańczyk w swej żółtej sukni znalazł się w tem towarzystwie.

Wchodzącego uderzała grupa posłów, zgromadzona przy środkowym stole, butna a burzliwa, której głową zdawał się być wysoki przystojny mężczyzna w sile wieku, a który żwawą ze swymi towarzyszami prowadził rozmowę. Był to Lupa Podlódowski.

— Dobrze ksiądz prymas powiedział — mówił Podlódowski do otaczającej go szlachty — że gdyby było grzechem rozwo-

dzić się królowi, każdy z Polaków część tego grzechu weźmie na siebie. Jeżeli kiedy godzi się gwałcić prawo, tedy jedynie dla panowania.

— Nie tak skoro nakładaj Waśc na siebie cudze grzechy — odpowiedział mu Derszniak, szlachcic z nad Wisły, dowcipniś i facecjonał — bo własne trudno ci udźwignąć. W jednym tatarskiem plemienu są tacy braciszkwowie, którzy chodzą od namiotu do namiotu i za kawałek koniny najcięższe przewinienia na siebie przyjmują, ale do tego urzędu kwapią się najwięksi łotrzykwowie, bo ten tylko łatwo swe sumienie obciąża, kto nie ma do stracenia i czy tak czy owak dostanie się pod rządy Lucypera.

— Niewiele ten wart, mości Derszniaku, kto z obawy przed Lucyperem nie chce nic poświęcić dla publicznego dobra, — odciał Podlodowski — a znam ja także takich braciszzków, którzy nie tylko ze strachu przed piekłem, ale z obawy przed tym, co na ziemi rozdaje starostwa i kasztelanie, boją się prawdy powiedzieć. Pochlebstwem można się dosłużyć jakiej królewskiej, na otwartej drodze nie tak łatwo ją znaleźć.

— Nie igraj Waśc z ogniem, Mości Podlodowski, — odrzekł rozdrażniony Derszniak — bo ci się samemu głowa zapali. Kto zupełnie czysty, może rzucać podejrzenia, ale gdyby Waszmości kiesę zabrząknąć, toby się tam odezwały czerwone złote, co po włosku gadać umieją.

— Milcz Waśc! — krzyknął Podlodowski i w mgnieniu oka rzucił się z kordem na przeciwnika.

Derszniak wszakże spodziewał się tego, bo stał już w pogotowiu, a nim inni powyciągali szable, aby ich rozbroić, ciął Lupe przez rękę, tak że mu żelazo wytrącił.

— Jeszcze ja się wygoję i Waści uszy obetnę — krzyczał Lupa, podczas gdy go przyjaciele trzymali, a „smok“ przybiegł z pajęczyną i z ręcznikiem obwiązywać ranę swemu gościowi. Rana jednak nie była niebezpieczna; o małym skaleczeniu za ledwie wspominać warto.

Około powaśnionych zgromadziła się szlachta z całej gospody i Stańczyk się tam znalazł, a podchodząc do „smoka“ powiedział:

— Jak w Knyszynie stado koni, tak u was gospodarzu musi



Barbara Radziwiłłówna
Według portretu u ks. St. Radziwiłła w Mańkiewiczach

się chować stado pajaków, żeby mieć na zawołanie pajęczynę. Podczas sejmku pójdą ceruliki o żebraczym chlebie, gdyż codzien- nie się ktoś znajdzie, kto ma ochotę krew drugim puszczać.

— Co tam mówi błazen starego króla? — zapytał ktoś z tłumu.

— Dałby Bóg, żebym był starego króla błaznem! — ze smutkiem odpowiedział Stańczyk, bo pamięć Zygmunta nadzwyczaj szanował, a po jego śmierci posmutniał i zmienił się bardzo, stroniąc od dworu młodego króla i wdając się więcej ze szlachtą, aniżeli z dworzanami.

Tymczasem Derszniak siadł znowu do stołu, zapijając miod- dek, jakgdyby nic nie zaszło i nie słuchał pogroźek stronników Lupy, a przedewszystkiem Boratyńskiego, który jak Jowisz cho- dził po sali, przygotowując w Izbie stanowczą walkę przeciw królewskim zamysłom. Podlodowskiego jednak gniewało, że nie mógł szablą mów swoich popierać, więc po chwili wyszedł z sali, a za nim powynosili się inni przewodnicy, a została drob- niejsza szlachta, która, prawdę mówiąc, wszystka krzywo pa- trzyła na małżeństwo z wdową po Gasztoldzie, bo częścią miotała nią zazdrość, że król z bliższego jej dworu nie wybrał małżonki, częścią obawiała się przemożnego wpływu Radziwiłłów.

Był tam także Piotr Kaszowski z Lubelskiego, ulubieniec szlachty i kanclerz Rzeczypospolitej Babińskiej; koło niego się też większa zebrała gromadka, a gospodarz raźnie wina jej do- nosił. Na stole leżały kości; któryś z towarzyszy wezwał do gry Kaszowskiego.

— A cóż to Waśc myślisz — odpowiedział pan Piotr — że w Babinie już bijemy czerwone złote, że na mój trzos polu- jesz? — Chcesz grać o fasole lub pacierze, to Waści służę, ale chciwości mnie nie nauczysz.

— Zgoda panie Piotrze! — odparł towarzysz — jeśli prze- gram, to dalibóg będę trzy dni pościł i przykładnie licznemi pacierzami Pana Boga chwalił, ale jeśli wy przegracie, to mu- sicie nam powiedzieć kazanie sejmowe.

— Tak! tak! — zakrzyczeli obecni — musi powiedzieć ka- zanie sejmowe!

Pan Piotr przystał na taką stawkę, a szlachta stół obległa, patrząc komu fortuna posłuży.

— Pięć, sześć, jedenaście! — wołali — przegraliście Piotrze! Czekamy kazania!

— Na stół! — mówili inni, a szlachta z całej sali zbiegała się, ciekawa swej ulubionej zabawy.

— Skoro każecie, staję na wasze usługi — pokornie odpowiedział Kaszowski — powiedzcie mi jednak tekst pisma świętego, do którego mam mówić kazanie.

— Tekst pozostawia się do woli kaznodziei! — odpowiedziało kilka głosów naraz.

Kaszowski trochę pomyślał, wyszedł na stół i zaczął mówić:

— Napisano w księgach Mojżesza, że na głos trąb niebieskich powaliły się mury jerychońskie i żydowie zostali zwycięzcami. Od tego czasu, mości panowie, wielu już nie chciało walczyć ani pięścią jak Goljat, ani mieczem jak Cyrus, ani procą jak król Dawid, ale rzuciło się do trąb jako najskuteczniejszej broni, walącej miasta tak, że z nich kamień na kamieniu nie miał już pozostać. Nasi przodkowie, jak wiecie, niebiegli jeszcze w piśmie, nie znali tego sposobu wojowania, więc się mozolili nad naciąganiem łuku, lub nad rzucaniem oszczepu; aliści znalazł się przemądry ród na Litwie, który się dowiedział o wielkiej trąb skuteczności i sprawił sobie wielkie trzy trąby, aby niemi Polskę i świat zawojować.

— Niech żyje Kaszowski! Wiwat Rzeczpospolita Babińska! — zaczęto wołać, słysząc ową przymówkę do herbu Radziwiłłów.

— Zrazu nie szło zwycięstwo — mówił dalej — bo były wprawdzie trąby, ale nie znalazło się w rodzie dość mocnych piersi, aby wielkie z nich wydobyć głosy. Próbował trąbić jeden i drugi: i dawny hetman Wielkiego Księstwa Litewskiego, i książę Jerzy na Birzach, ale żaden z nich nie sprostał zadaniu, albowiem jeden nie mógł dosięgnąć wysoko postawionej trąby, drugi dał za słabo, albo też, chociaż który z nich trąbił, to dwie pozostałe trąby stały bez użytku. Aż dopiero niedawno szczęśliwe dla tego rodu powstały czasy, albowiem znalazł się pan przeźmy, który chce trzech członków familji tak podwyższyć, że każdy z nich mógłby dostać do otworu trąby i dać, ileby mu tchu starczyło. Miejcie się więc na baczności i nie pozwólcie na to, by ów pan wyniósł tak bardzo członków niebezpiecznego

rodu, bo jak wszyscy zaczną dąć w trąby, to mury szlacheckiej wolności się powalą, a kilku przemożnych panów podzieli się łupami zdobytego miasta. Amen.

Wrzawa i radość powstały na te słowa nie do opisania; mowcy nie dano zejść ze stołu, ale dwóch olbrzymich posłów porwało go na ręce i trzy razy obnosiło po sali wśród okrzyków, wiwatów i toastów na cześć Rzeczypospolitej Babińskiej. Gdy się zaś po chwili wrzawa cokolwiek uspokoiła, wylazł Stańczyk na ławę, a jego oko pałające ogniem wyższej myśli, dziwnie stało w sprzeczności z błazeńską, dzwoniącą czapką.

— Panowie szlachta, przezacni posłowie! — zawołał — jedna strona z dowcipnemi wystąpiła wywodami, mówił „advocatus angeli“, pozwólcie zatem, że i „advocatus diaboli“ swe trzy grosze wtrąci.

— Mów Stańczyku, mów trefnisiu! — odpowiedziano ze wsząd, bo szlachta lubiła „błazna starego króla“.

— Za moich czasów — mówił Stańczyk — za starego króla było mniej błaznów, aniżeli dzisiaj; mnie wszyscy palcem wytykali, szepcząc — oto błazen! Zczasem jednak tak się dzięki Najwyższemu i wam najmilszi panowie pomnożył ród błaznów, żeście sobie osobną w Babinie musieli ufundować Rzeczpospolitą, a ja ze smutkiem zaczynam poznawać, że niknę już w tej wielkiej błaznów gromadzie. A wiecie, czemu się tak bardzo mnoży ród nasz znamienity? Bo każdy szlachcic radby rządzić i każdemu się zdaje, że do wszystkiego jest zdolny, a przeto w głowie wieczny młyn mu miele i mimowoli do błazeństwa dąży.

— Ho! hola! — zaczęto wołać.

— żadnemu słuchać się nie chce, a trąby Radziwiłłów nie dlatego wam grozić się zdają, jakobyście się bali pana Marszałka, pana Podczaszego, albo pana Krajczego, ale iż nie chcecie, aby król oparłszy się na nich — władzę swą prawowitą ugruntował. I w Babinie nie byłoby porządku, gdyby pan Pszonka silnie nie dzierżył berła, temci mniej będzie ładu w Rzeczypospolitej, jeżeli młodemu królowi nie dacie wzmocnić swej potęgi. Tyle Wam stary błazen miał do powiedzenia.

— Biedny Stańczyk! — zaczęli wołać jedni. — Ma rację — powtarzali inni.

— Przyszlemy ci dyplom na jednego z siedmiu mędrców

babińskich! — złośliwie odezwał się do Stańczyka Kaszowski.

— Wolę ja być dawnym błaznem, aniżeli dzisiejszym mędrcom — odpowiedział Stańczyk, a schodząc ze stołu zniknął pomiędzy szlachtą.

IV.

W Babinie, koło Lublina, mieszkał pan Stanisław Pszonka, herbu Janina, sędzia lubelski. Przodków jego znano z tatarskich wypraw, ale on dopiero zasłynął i z korda i z dowcipu na całą Polskę. Gdzie uczta, gdzie wesele, gdzie huczna zabawa, tam Pszonka rej wodził i wlot składał rymy pełne humoru, kazania szlacheckie sypał jak z rogu obfitości — ale go też nie brak było, gdzie publiczna sprawa tego wymagała, albo gdzie sąsiadowi w pomoc przyjąć było potrzeba.

Zła droga tylko była do Babina, a gdy się Pszonki pytano, czemu jej nie każe naprawić, odpowiadał, że strzeże błota koło dworu jak oka w głowie, bo ono mu gości sprowadza. I rzeczywiście kto raz przyjechał do Babina i złej drogi spróbował, ten niechętnie stamtąd wyjeżdżał, bojąc się zpowrotem niebezpiecznej przeprawy. Sąsiad Kaszowski mawiał, że Pszonka umyślnie na to cztery woły trzyma, aby wyciągały tych, co ugrzęźli w babińskiej drodze i wołają ratunku.

Kaszowski pół życia u niego przesiedział, gdyż często innego był zdania, aniżeli Pszonka i nigdy nie miał dość czasu, aby go przekonać. Dwaj sąsiedzi założyli wesołe towarzystwo, Rzeczypospolitą Babińską, w której Pszonka był prefektem i burgrabią, Kaszowski kanclerzem, a innych urzędników mieli niemało.

Zdarzyło się, że podczas sejmu piotrkowskiego długie były deszcze, a przeto w Babinie na błocie i na gościach nie zbywało; wszyscy koryfeusze Rzeczypospolitej zjechali się, aby nowych przyjmować obywateli i rozdawać dostojęstwa. Gwarno też było w modrzewiowym dworze, otoczonym lipami i niskim bukszpanem, a napis nad głównymi drzwiami „śmiech i dobre sumienie zawsze w parze idą“ dobrze usposabiał dla mieszkańców domu.

W wielkiej izbie kilkunastu się zgromadziło szlachty. Izba tchnęła prostotą; na głównej ścianie wisiał duży obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, przed nim gorejąca lampa, po kątach widać było poprzybijane wiązki święconego ziela, a nie napozór nie zdradzało, aby tutaj miała być lekkiego humoru siedziba. Trzeba było dopiero wejść pomiędzy towarzyszy.

— Pan Rej z Nagłowic ma głos! — rzekł Pszonka, siedzący na czele stołu i dzierżący w rękę rodzaj buławy z wizerunkiem błazna wyrzeźbionego ze słoniowej kości.

— Nasza Rzeczpospolita — odezwał się pan Mikołaj — coraz się większem cieszy powodzeniem. Jak pszczoły do ula garnie się do nas szlachta, a wkrótce więcej będziemy liczyć poddanych, aniżeli Król nasz Najjaśniejszy. Nie dziwić się zresztą temu, bo chociażśmy niedawno stolicę założyli w Babinie, to przecież nasze państwo jest dawniejsze, aniżeli państwo greckie, perskie i wszystkie inne, bo jeszcze Dawid powiedział, że każdy człowiek kłamcą jest, a kłamstwo jest zasadą i istotą naszej Rzeczypospolitej, w której i Darjusz i Aleksander i cały świat jest objęty.

— Wnoszę, żeby nazwisko Dawida króla wpisać do naszych ksiąg jako pierwszego Babińczyka! — przerwał pan Derszniak.

— Nad rzeczą tą później obradować będziemy — odezwał się Pszonka — nasz totumfac pan z Nagłowic ma jeszcze więcej do mówienia.

Rej znowu rozpoczął:

— Otóż dowodem tego, jak się rozwija nasza Rzeczpospolita, jest mnóstwo listów, które dostajemy od szlachty proszącej, aby ją wpisać w poczet współtowarzyszów Babińskich. Odpowiedzi na te listy wygotuje kanclerz; senat Babiński zechce wszakże naprzód postanowić, kogo przyjąć w nasze grono, a kto po wieczne czasy ma być wykluczonym.

— Przeczytajcie kandydatów — rzekł Pszonka.

Rej zaś na to:

— Lupa Podlodowski podnosi swe zasługi w Poselskiej Izbie, prosząc, aby go przyjąć za „sejmowego milczka“ Rzeczypospolitej Babińskiej, albowiem dużo na sejmikach mówi.

— Raczej go zrobić cyrulikiem starej królowej, bo jej krwi złotej niemało upuszcza — zgryźliwie przyciął pan Derszniak.

— Nie szlachecka rzecz z cudzem złotem mieć do czynienia — odrzekł pan Pszonka — podwoje do naszego senatu dla takich zamknięte. Trzeba odpisać panu Podlodowskiemu, aby się podał na wielkiego podskarbiego księstwa baryjskiego.

Zaczęto o innym mówić kandydacie, o senatorze, który trzy miał żony.

— Dla niego odpis i tytuł już wygotowałem — powiedział pan Rej i zaczął czytać:

Jeden tak chętne senator miał nieba,
Że mógł mieć żonę, gdy mu było trzeba.
Tak przyjaznego miał też i Plutona,
Że mu umiera kiedy zechce żona.
Sztuki dokazał już tej po trzy razy,
A pierwszej cztery. Proszę bez urazy
Jeśli i tamtej dokaże raz czwarty,
Będzie mu senat w Babinie otwarty.
A teraz przecie niżli dojdzie Mistrza,
Niechaj ma tytuł zbytych dam ochmistrza.

— Dobrze, bardzo dobrze! — ozwali się wszyscy — tak mu trzeba odpisać.

— Są jeszcze i tacy, — mówił dalej pan Rej — którzy wprawdzie nie proszą o zaszczyt należenia do naszego towarzystwa, ale tak dobrze zasłużyli się około rzeczy naszych, że ich przyjąć należy do rzędu obywateli Babińskich. I tak radbym, aby ze stanu senatorskiego zaprosić księdza prymasa Mikołaja Dzierzgowskiego na generalnego spowiednika Rzeczypospolitej Babińskiej, albowiem głosi, że grzech jakiby powstał, gdyby król odepchnął od siebie prawowitą małżonkę — bierze na siebie. Takich spowiedników nam trzeba, którzyby grzechy nasze przejmowali.

Wśród śmiechu zgodzono się na wniosek pana Reja. Następnie wniósł pan Derszniak, aby i pana Jana Tęczyńskiego zrobić urzędnikiem, gdyż utrzymuje, że chętniej wolałby Solimana Turczyna w Krakowie oglądać, aniżeli królowę Barbarę w Polsce.

— Niech będzie naszym hetmanem, — odpowiedział Pszonka — skoro tak łatwo otwiera nieprzyjaciółom granice. Niższy urząd trzebaby jeszcze nadać panu Tarle, który powiedział, że

w Rzymie jeden kościół niedobudowany więcej kosztuje jak pięćdziesiątkroć sto tysięcy miljonów, a jeszcze go nie dobudują do sądneho dnia. Powiedział także, że we Włoszech nie biją cieląt, aż dopiero w czterech latach.

— Można go mianować referendarzem cudzoziemskich spraw i podskarbin koronnym — wtrącił Rej.

Dalszy tok obrad przerwały jakieś krzyki i wołania w podwórzu. Gospodarz zrozumiał je natychmiast, a wychyliwszy się przez okno, zawołał:

— Posłać woły na przyprzążkę!

Jakiś gość ugrzązł w błocie, więc wszyscy Babińczycy powychodzili na ganek ciekawi, kto z deszczem przybywa. Po chwili zobaczono w bramie duży wóz czterema zaprzężony końmi i czterema babińskimi wołami.

— Sam Nabuchodonozor nie jeździł tak wspaniałym zaprzęgiem — odezwał się któryś z gości.

Przybył kanclerz Babiński pan Kaszowski i przywiózł ze sobą Piotra Boratyńskiego, podstarościego krakowskiego. Zaprowadzono ich do wielkiej izby i kazano na wstępie Boratyńskiemu wpisać swe nazwisko w księgę Babińskich towarzyszy jako zobowiązanie, że odtąd będzie strzegł interesów i honoru Rzeczypospolitej. Na czele księgi było napisano:

Niech prawica pióro, lewa puchar trzyma,
Pisząc a pijąc — troski o los niema.

Rozgościwszy się opowiedział Boratyński, że go do Babina przysłała stara królowa, która wiele słysząc o wielkim dowcipie a czi Babińczyków, kazała mu wręczyć pieczęć godną takiego kanclerza, jakim się szczyści zacne towarzystwo.

— Podziękujcie od nas — odpowiedział Pszonka — za ten dar Najjaśniejszej Pani i powiedzcie jej, że gdyby Rzeczpospolita miała jeszcze królewską godność do rozdania, gdyby panujący nam miłościwie Zygmunt August nie był już jej królem, toby wzamian za pieczęć przysłała swą koronę królowej Bonie. Obecnie jednak Babińscy towarzysze inaczej się wywdzięczyc nie mogą, jak mianując Najjaśniejszą Panią opiekunką dostojnej małżonki naszego króla, która zewsząd uciskana starannej potrzebuje ręki.

Kaszowski i Boratyński zerwali się, jakby ich kto zimną wodą oblał, a pierwszy z nich zaraz odpowiedział:

— Zapominacie, burgrabio, że Najjaśniejsza Pani, jak i wielu z nas, jesteśmy przeciwnikami nieprawego królewskiego związku z wdową po Gasztoldzie.

— Tytuł taki byłby ubliżeniem dla starej królowej — dodał Boratyński.

— Prócz was kanclerzu — spokojnie odpowiedział Pszonka — i nowego naszego towarzysza, którego nam miło gościć w naszym domu, niemasz w Babińskim senacie przeciwnika królewskiego związku. Wszak tak, panie Mikołaju? — dodał zwracając się do Reja.

— Za czem serce przemawia, za tem my idziemy — odpowiedział poeta — źleby było, gdybyśmy nie stali po stronie królewskiej miłości.

— Widzę więc, że w Babinie — z wrastającą gwałtownością odezwał się Boratyński — rozum nie panuje.

— Odkąd do towarzystwa przystępują członkowie, którzy niewiele go mają — odciął Rej.

Boratyński już o szablę uderzył, ale Pszonka wstrzymał go, mówiąc żartobliwie, że w Babinie tylko piórem a puharem wolno walczyć.

— To mnie wykreście z tej księgi — wołał Boratyński, wskazując na kartę, na której się przed chwilą zapisał.

Rej skwapliwie zmazał Boratyńskiego nazwisko, mówiąc:

— Za duszę zmarłego Babińczyka przez tydzień po kielichu węgryna wypić potrzeba.

Boratyński mimowoli się roześmiał, a podając rękę Rejowi zapytał:

— A za duszę Babińczyka, który z martwych powstał?

— Ten, co z martwych powstał, co się nawrócił na naszą wiarę, dwa musi wychylić puhary.

— Dajcie więc wina, panie gospodarzu — odrzekł Boratyński — wypełnię tę karę, a przyjmijcie mnie napowrót do waszego koła.

Pszonka uściskał Boratyńskiego i wesołość była wielka w Babinie, a Kaszowski mówił, że od czasu jak jeździ do Pszonki, jeszcze z nim nigdy nie był jednego zdania, a mimo to niero-

zerwana łączy ich przyjaźń. Tak samo też i teraz; on jest przeciw królewskiemu małżeństwu, a Pszonka broni Gasztołdowej — a przecież na chwilę waśni nie zaznali.

— Łączy nas dobra wiara, cnota i pocziwa stałość — rzekł Pszonka, a Rej odpowiedział:

Wielki to klejnot; kto to w sobie czuje,
Stałością pisze, cnotą pieczętuje.

V.

Pani Kmitowa, wojewodzina krakowska, bawiła także w Piotrkowie z licznym dworem. Pokrewna Radziwiłłom znalazła się przecież w obozie przeciwnym Barbarze, a nawet dom jej stał się ogniskiem opozycji.

Naprzędce urządzone pokoje w wynajętej kamienicy nie mogły lśnić takim przepychem, jak komnaty na zamku w Wiśniczu, ale też była tutaj sposobność pokazania bogatych materij, amsterdamskich dywanów, złotem tkanych tapet, któremi obito ściany i podłogi ubogiego domu. Srebra, przenośne sprzęty z hebanu dokonały reszty, a sam król mógł był snadnie zamieszkać w tych murach.

Po kilkanaście i kilkadziesiąt osób siadało codziennie do stołu, a ksiądz Dzierzgowski, arcybiskup gnieźnieński i Dziaduski, biskup przemyski, najczęstszymi byli gośćmi.

Pewnego dnia, gdy całe było zebrane towarzystwo, przybiegł jeden z dworzan Kmity i oddał mu kilkuarkuszową broszurę. Wojewodzie twarz się rozjaśniła, przebiegł oczyma pierwszą kartkę i zbliżył się do pana Rafała Leszczyńskiego, pokazując mu pismo.

— Cóż tam tak ciekawego, panie wojewodo? — zapytał ksiądz Dziaduski, biskup przemyski, który dotąd rozmawiał z panią domu.

— Klient wasz, księże biskupie — odpowiedział Kmita — przeszedł moje oczekiwanie. Radziwiłłowie i pani Barbara umrą z gniewu. Wybornie napisane; słowa palą jak ogień.

— Mówicie o Orzechowskim? — odrzekł biskup — nie mój to, ale wasz klient, bo wy go szczególną osłaniacie opieką — z przekazem dodał ksiądz Dziaduski. — Wyszedł więc ów sławny

paszkwil? Pewnie nie będzie złośliwszy od tych, które na mnie miały ten odstępca.

— Jaki tytuł paszkwilu? — zapytał prymas.

— „De obscuro regis matrimonio“ — o niecnem króla małżeństwie.

— Przeczytajcie, cóż tam pisze?

— Nie wszystko da się czytać przy kobietach, — odrzekł Kmita — wyrzuca Barbarze, że miłośnych trunków używała, ba nawet posądza jej stryjecznego, pana Mikołaja, o nieuczciwe i nieprzyzwoite z nią związki.

— Psa szczekanie dobrej sprawie nie pomoże — powiedział z oburzeniem Dziaduski — kapłan, który złamał śluby i chce pojąć żonę, szatańskie słowa tylko z ust wyrzucać potrafi, ale te słowa szkodzić nam tylko mogą, żadną jednak nie są pomocą.

— Nie unosić się księżu biskupie — odpowiedział Kmita, czytając dalej i zawodząc się od śmiechu — z Orzechowskiego może zły ksiądz, ale dzielny człowiek, będziecie widzieli, jaki rozruch sprawi ten paszkwil pomiędzy szlachtą, ilu Radziwiłłom przysporzy nieprzyjaciół. Dalibóg, dam mu teraz jeszcze chętniej Straszównę...

— Nie obrażalibyście swego domu temi słowami, panie wojewodo — rzekł z oburzeniem Dziaduski — niech pierwszy kapłan odstępca szuka sobie gdzie indziej współniczki swej zbrodni, a nie na waszym dworze. Nasi ojcowie przywróciliby się w grobach swoich, gdyby widzieli, że można pan wojewoda krakowski, kość z kości prawy Polak i katolik, oddaje zacną szlachciankę, powierzoną jego opiece, potępieńcowi gorszemu od tych, których Pan Bóg zatracił w Sodomie i Gomorze!

— Zapominacie, księżu biskupie — spokojnie odpowiedział Kmita — jakie usługi Orzechowski oddaje naszemu stronnictwu. Takiemu człowiekowi trzeba darować kościelne irregularitates, trzeba go do siebie przyciągać, gdyż inaczej pójdzie do przeciwnego obozu, a wiecie, że jego pióra obawiać się można.

— Dość on mi się błotem w oczy nabryzgał, — rzekł biskup — a przecież jestem czyściejszy od niego; chętnie odstąpię Radziwiłłom tego przyjaciela.

Ksiądz Dziaduski odszedł zgorszony od czytających broszurę, a zbliżył się do pani domu, u której był w wielkiem za-

chowaniu. Wojewodzina ulegała tylko woli męża, zgadzając się na oddanie Zofji Straszównej Orzechowskiemu. Ze wszystkich swych dworskich panien najbardziej ją lubiła, przeto stateczny jej chciała los zapewnić. Dziewczyna zaś nie mała się wzbraniała iść za człowieka, który niedawno jeszcze chodził w sutannie i każde odwiedziny wstrętne narzeczonego rzewnemi oblała łzami. Rozkaz jednak pana wojewody był święty, a nikt jego żelaznej woli w domu nie mógł się sprzeciwić.

Słowa księdza Dziaduskiego, wypowiedziane z prawdziwego przekonania, nie zachwiały wprawdzie odrazu tej woli, ale tyle zdziałały, że Kmita przejrawszy broszurę, zwrócił swą myśl ku owemu małżeństwu i zaczął się zastanawiać, czy rzecz ta nie przyniesie uszczerbku sławie jego domu, a mianowicie czy go nie poróżni z biskupami, którzy przeciw temu małżeństwu kilkakrotnie już ostro występowali.

Czytaniu broszury był także przytomny pan Marcin Zborowski, wojewoda kaliski, który oddawna zazdrościł wielkich wpływów Kmicie i chętnie wraz z panem Jędrzejem z Górki na szkodę jego nastawał; nie miał też co lepszego zrobić, jak tylko pójść do Orzechowskiego i ostrzec go, że ksiądz Dziaduski zdaje się za śmiało występować wobec Kmity przeciw jego małżeństwu.

Orzechowski mieszkał u jakiejś wdowy w małej nędznej izdebce. Krępy, średniego wzrostu, z brodą i z długimi włosami, brunet, miał oko dziwnie ożywione i niespokojne. Zarzucony papierami i księgami, pisał szybko, grubemi literami, a co dziesiąte słowo podkreślał tak, że aż pióro pryskało.

— Co! — wykrzyknął Orzechowski, gdy mu Zborowski opowiedział o owej rozmowie. — Co! ten rzymski poddańczuk chce mnie jeszcze tutaj prześladować, niedość, że w Przemysłu na mnie synody składał, nikczemne plebaniki na mnie pobudzał!

— Wojewoda krakowski wprawdzie jeszcze się z nim spiera co do waszego małżeństwa — odpowiedział Zborowski — ale z oczu mu patrzy, że wam Straszównę obiecuje, póki się od waszego pióra spodziewa, a kiedy was nie będzie potrzebował, wtedy nadarmo o pannę prosić będziecie.

— Niech mnie nie drażnią! — gwałtownie zawołał Orze-

chowski — bo jak wezmę na kiel a wędzidło zrzucę, to ich obydwóch „skłóć na jedne drożdże“!

— Nie czekajcie, aż was odrzucą jak niepotrzebną suknię — odrzekł Zborowski, udając przyjacielski uśmiech — jak chcecie obydwaj z panem Górką was wyswatamy i damy wam urodziwszą dziewicę, jak Straszówna i z lepszego gniazda.

Rozmowa się przerwała, gdyż kilku posłów weszło do Orzechowskiego; Zborowski też wkrótce się oddalił, ale się zaraz postarał, aby i Kmita i Dziaduski o tem wiedzieli, że Orzechowski zamyśla ich „skłócić na jedne drożdże“.

— Jakto? ten zbieg od wiary tak mi się wywdzięcza — mówił Kmita — chce mnie straszyć? sądzi, że swym złym językiem przymusi mnie, abym mu dał Straszównę?

Do kilku dni cała sprawa była zerwana; Kmita kazał powiedzieć Orzechowskiemu, że go przez pachółków wyrzuci, jeżeli się poważy przestąpić próg jego domu, a biedna Straszówna do nóg upadła swej pani z radości, że już nie będzie miała męża heretyka.

Orzechowski jak dziki zwierz po klatce chodził całą noc po swoim pokoju i dyszał zemstą. Rozgłosił już był swe małżeństwo, a przeto nie chciał, aby kłam jego słowom zadawano. Nie tyle mu na tem zależało, aby sobie zdobyć domowe szczęście i założyć rodzinę, ile o to, aby naprzekór wszystkim biskupom uczynić i pokazać, że ma odwagę sam stanąć przeciw potędze całego kościoła.

Nazajutrz biegał Orzechowski po wszystkich znajomych, opowiadając o niewdzięczności stronnictwa Kmity, wykazując, że lepiej służyć królowi i Radziwiłłom, ofiarował swe usługi panu Janowi Tarnowskiemu, księdzu Jędrzejowi Zebrzydowskiemu, Drohojowskiemu — wszystkim stronnikom królewskim, a nie mając spokoju, pobiegł jeszcze do gospody „pod panną“, aby tam szlachtę burzyć przeciw wojewodzie krakowskiemu.

— Waść panie Orzechowski — mówił ktoś ze szlachty do niego — jak kogut na studni, w którą stronę wiatr zawieje, w tę się obracacie — raz do Wiśnicza, a raz do Zborowa.

— Jak na świętego Pawła — odpowiedział Orzechowski — tak na mnie dopiero dziś zeszło światło niebieskie; przejrzałem i zobaczyłem, dokąd mnie wiedzie pan wojewoda krakowski.

Dziad mój i ojciec trzymali się jego dworu, więc i ja przez wdzięczność ku niemu garnąłem się, wierząc w jego prawość i dobre zamiary około dobra Rzeczypospolitej, ale byłem osieł od stóp do głów, jeszcze głębszy od osła, żem mu wierzył, a teraz zrzuciłem czarta z grzbietu i lżej będzie mej herbowej Okszy... Czyńcie tak, jak ja, pójdźcie teraz w pomoc królowi, posłuchajcie głosu trąb Radziwiłłowskich :

Trąbą ludzi hetmani budzą do dzielności,
Trąbą w każdą potrzebę dodawa chciwości,
I Jozue Jerycha kiedy dobywać miał .
Z rozkazania pańskiego głośno trąbić kazał
Tak, że się same mury przed strachem padały,
A zawdy w wielkiej sławie te trąby bywały...

Ten i ów ruszył ramionami, widząc tę niestałość Orzechowskiego; wielu szlachty jednak dało się pociągnąć do stronnictwa Radziwiłłów, a pan Zborowski z Górką, chociaż także w przeciwnym królowi stali obozie, to przecież się cieszyli ze „sztuczki“, jaką Orzechowski spletał Kmicie, a Zborowski sam poszedł do Jana Chełmskiego szlachcica sanockiego, o którego córce Orzechowski już dawno myślał, aby go skłonić do wydania jej za odstępę.

Chełmski miał mało pieniędzy a dużo córek, a nadto chętnie chciał się stać głośnym i przy każdej sposobności się nadstawiał, aby jaka łaska pańska spadła na niego, przeto i teraz swadźba Zborowskiego i Górki nie mała mu pochlebiła i chętnie przystał na takiego zięcia, chociaż ksiądz biskup przemyski sądy miał nań zwoływać.

Małżeństwo też tak zajęło Orzechowskiego, że wkrótce i o Kmicie i o Radziwiłłach zapomniał, a biegł czem prędzej w Sanockie „komżę biskupowi odesłał, a żonę pojął“.

Powstał wielki hałas po sanockiej i przemyskiej ziemi; ksiądz Dziaduski wezwał go przed swój sąd, ale Orzechowski zadowolony z pierwszego powodzenia dał głośniej, jak trąby Radziwiłłowskie, poruszał wkoło znajomą szlachtę i jakby jaki manifest przybił kartelusze na wielkich drzwiach kościoła w Przeworsku, w którym mówił do publiczności:

— Ja Stanisław Orzechowski, Rusin, daję znać wiernym chrześcijanom, żem przez osobliwszą łaskę Boską wyszedł z So-

domy zatraconej i potępionej Gomory, z której mnie wywiodła święta i uczciwego domu panna, małżonka teraz moja Magdalena z Chelma. Za to mnie instygatorowie pozwalają, aby mnie nazad do Sodomy wrócić, czego ja za Boską pomocą nie uczynię; ażebym się jako Lotowa żona w sól, nazad wracając, nie obrócił.

Tymczasem w Piotrkowie wrzała zacięta walka i dobiegała kresu; deputacja do króla, intrygi, zabiegi nic nie pomagały, rozstrzygający bój miał się wreszcie odbyć w Senacie. Bona codziennie słała posłańców do miasta.

VI.

Orszak zbrojnych ludzi w niedźwiedzich skórkach pozarzucanych przez plecy, z łukami i kołczanami, wjeżdżał do Piotrkowa. Widowisko było ciekawe, gdyż wówczas wszystkich już prawie panów orszaki w nowszych występowały strojach.

Wojewoda Wierszyło przybywał butnie a dwornie, aby zerwać „nieprawne związki“ pomiędzy królem a wdową po Gastołdzie.

— Gdzie tutaj mieszka Stańczyk, błazen starego króla? — to było pierwsze pytanie pana wojewody.

Przywiedziono mu Stańczyka. Wierszyło mu się ciekawie przypatrzył, poruszył głową i zapytał:

— To Waś tak gładkie siejesz koncepta i u nieodżałowanego naszego króla miałeś takie wzięcie?

— Mnie błaznem zowią, panie wojewodo, — odpowiedział skłoniwszy się Stańczyk — a nietrudno nim zostać; wystarczy mówić jakiś czas ludziom prawdę, a miny stroić, jakoby się żart miało na ustach.

— Ja całe życie mówię prawdę, — odrzekł Wierszyło — a przecież nikt mnie błaznem nie nazywa.

— Gdyż tylko ludzi pospolitych zowią błaznami, wojewodom zaś przypadają nazwiska dziwaków...

— Więc sądzisz, że jestem dziwakiem, a dziwaka od błazna tylko suknia różni?

— Zawsze mi o was mówiono, panie wojewodo, jako o największym na Litwie dziwaku, a o ile mogę poznać po tem pierwszym spotkaniu, to głos publiczny się nie myli... Jeżeli się chce-

cie przekonać o różnicy pomiędzy błaznem a dziwakiem, to urządzić tylko naprzykład wyprawę, aby wykraść królowę Barbarę. Jeśli panie wojewodo plan ten poweźmiecie, aby ją porwać i w dalekim osadzić klasztorze, powiedzą o was, że jesteście dziwakiem. Jeżeliby jednak który z waszych dworzan zwierzył się komuś z taką myślą — toby mu powiedziano: Błazen z ciebie przyjacielu!

Wierszyło oburzył się trochę, brwi zmarszczył jak Jowisz, ale grom nie padł z tej chmury, lecz czoło się rozjaśniło.

— Rozumiem, żeś się podobał staremu królowi — rzekł, dłoń Stańczykowi podając.

— Świeć Panie jego zacnej duszy — odpowiedział Stańczyk.

— Jeżeli zawsze prawdę mówisz — począł znowu Wierszyło — to powiedz mi przecie, za kim ci iść każe sumienie, za starą królową, czy za Radziwiłłami?

— Ani za Włoszką, ani za księciem wojewodą, ale za słusnością i za potomkiem naszych Jagiellonów...

— Król się poddał Radziwiłłom, oni nim rządzą, jak się im podoba.

— Kto ma nieprzerwanie jednego doradcę, ten ma własną wolę; gdyby król radził się dzisiaj Kmity jutro Radziwiłła, a czaszem znów Zborowskiego pytał się o zdanie, toby się można obawiać, aby się czasem nie stał igraszką jednego stronnictwa. Jeżeli król jednak przez czas długi zawsze tylko Radziwiłła ma przy swoim boku — to snąć słucha tylko jego rady, a swoją wolą się rządzi...

Wierszyło się zastanowił, błazen mu się podobał, kazał mu przyjść nazajutrz.

Następnego dnia Senat wraz z Izbą Poselską miał połączonymi siłami nastawać na króla, aby zerwał swój związek z Barbarą.

W długiej sklepionej sali Senat miewał swe posiedzenia. Były to poważne, poczerwiałe mury i tylko szkarłatne pokrycia tronu i senatorskich krzeseł, tudzież barwiste herby województw, malowane na sklepieniu, dodawały im nieco weselszego wejrzenia.

Tym razem sala była przedzielona na dwie części krzesłami ministrów, gdyż Senat wraz z posłami miał obradować. W głębi

więc stał tron na podwyższeniu, a po bokach krzesła senatorskie, bliżej głównego wejścia zaś pozostawiono wielkie puste miejsce dla posłów.

Sala wcześniej się ożywiła, gdyż panów i posłów niemało roznamiętniała walka o małżeństwo królewskie, a każda strona rada była jak najprędzej doczekać się swego zwycięstwa. Książd prymas zajął swe miejsce, a do niego przychodzili inni przeciwnicy królewscy. Gwar i hałas panował, od czasu do czasu słyhać było nawet urywane pogrożki, oznaki niezadowolenia, a Kmita najbardziej rękami rozkładał i brwi marszczył, żywe jego usposobienie wywoływało bowiem na twarz odbicie każdej prawie myśli.

Nareszcie dwóch paziów otworzyło drzwi w głębi — wszedł król blady, widocznie znękany, a poważnie się senatorom skłoniwszy, usiadł na tronie. W poselskiej części sali, w której pełno było szlachty jak w kościele, gwar się uciszył; szczęśliwi, którzy stali przy ścianie, bo mieli oparcie, inni chyba na sąsiadów mogli złożyć część swego ciężaru. Pomiędzy zgromadzonymi zaledwie połowa była posłów, zresztą siedł prawie każdy szlachcic, który był podówczas w Piotrkowie, a marszałek nie przestrzegał pod tym względem porządku. Przy drzwiach, we framudze, stał Wierszyło ze Stańczykiem.

— Pan kasztelan poznański ma głos — odezwał się marszałek.

Na to wstał Jędrzej Górka, a obróciwszy się do króla i wzniosłszy oczy ku niebu, tak począł:

— Wiekuisty Panie, Boże przedwieczny, naprzód cię proszę, abyś mi udzielił wymowy Złotoustego i słów, któreby trafiały do serca, aby królewskie zdania i myśli do żądz i myśli poddanych się nakłoniły.

Biskupi i senatorowie poskładali ręce, jakby do modlitwy, a Górka po krótkim wytchnieniu mówił dalej, zaklinając króla na obowiązki dla narodu, aby odstąpił od małżeństwa z Barbarą, przywołując mu na pamięć, że przodkowie tych samych senatorów i posłów przymusili jego dziada Kazimierza do pojęcia żony...

Mowa trwała długo, król siedział nieporuszony, patrząc w rozłożony przed nim statut, a gdy Górka skończył, porwał się Kmita z gwałtownemi słowy:



Mikołaj Rej z Nagłowic
Drzeworyt ze „Zwierzyńca” z r. 1574

— Błądzący królowie są podobni do ćmiącego się słońca, jako bowiem słońce zaćmieniem sprowadza zamęt w przyrodzie, tak król swym błędem pomieszać może Rzeczpospolitą.

— Wojewodo krakowski — przerwał mu król — już o mojem ożenieniu dosyć było mowy. Ja już inaczej nie uczynię, więc o tem nie mówcie.

Na te słowa powstał w sali gwar nie do opisania, w poselskiej części gotowało się jak w kotle.

— Król obrady przerywa, wolność zdania tamuje! — wykrzykiwał Wierszyłło.

— Posadźcie tam słomianego czleka, — szepnął Stańczyk Wierszylle — a cierpliwości mu zbraknie.

Wstał Rafał Leszczyński, wojewoda brzeski, który dotąd nie odznaczył się żadnem publicznem wystąpieniem.

— Najjaśniejszy Królu! — zawołał — w wolnej Rzeczypospolitej senatorom mowę tamujesz; zacnemu panu i najpierwszemu senatorowi przerywać mowę, rzecz to wcale nowa i nieznośna...

I w tej myśli dalej robił królowi wyrzuty.

August znów tych słów wysłuchiwał spokojnie, a wreszcie stanowczym głosem powiedział:

— Nie dlatego przerwałem mowę panu Kmicie, jakoby nie chciał cierpieć wolnego zdania, ale dlatego, że tylekroć się oświadczyłem, iż innej żony nie wezmę, a wszelkie w tej mierze słowa są daremne i żadnego na mnie nie wywrą skutku.

Stanowczy głos króla dziwne na zgromadzeniu wywarł wrażenie — ci sami co przed chwilą burzliwe miotali słowa, zamilkli czując silną wolę króla.

— A co, panie wojewodo — zapytał Stańczyk Wierszyłły — czy wierzycie teraz, aby Radziwiłłowie królem rządzić mogli?

— Kładę miecz do pochwy — odrzekł Wierszyłło — odjeżdżam na Litwę; ten król nie da żadnemu chwastowi zanadto wybujać.

„Niemiała była w tej operacji barwa — niemało było namiętności w tej sprawie“ — pisał król do marszałka Radziwiłła, ciesząc się, że się skończyły ubliżające mu i nieznośne obrady i przykazywał bacznie na otoczenie Barbary mieć oko, aby się co złego nie stało. „Nie pozwalajcie jej w kubkach podawać ale

w szklankach, bo przez szkło łatwiejby się coś zobaczyło!“ Król się obawiał trucizny i miał słuszność, we dwa dni bowiem po ostatecznej w senacie rozprawie dano znać, że w Nowym Korczynie schwytano podejrzaną kobietę, która do królowej szukała przystępu. Król kazał ją w wieży osadzić i w wielkiej tajemnicy Dowojnie śledztwo z nią przeprowadzić.

Dowojna poszedł do niej z księdzem i kilku pachołkami, gdyż mu się po brzydkiej twarzy kobiety zdawało, że jest opeętana, trzeba było najprzód z niej złego ducha wypędzić.

Ożóg, bo nią była schwytana, drżała jak liść i wzrok spuściła ku ziemi. Ksiądz zaczął odmawiać długą nad nią modlitwę, potem ją pokropił święconą wodą i rzekł, że można ją teraz przesłuchać.

Wzięto ją na tortury, po pierwszym jednak naciągnięciu stawów baba wśród jęków oświadczyła, że wszystko wypowie. — I rzeczywiście wyznała całą swą z Boną rozmowę i zamiar otrucia Barbary.

— Własnej matki muszę się obawiać! — powiedział król do Radziwiłła. Straszne przypuszczenia stały się pewnością, a odtąd nie było już pomostu, któryby mógł połączyć wielką przepaść pomiędzy starą królową a synem.

Wiadomość, że król nie ustąpił pod naciskiem szlachty, przysłała prawie równocześnie do Garwolina z nowiną o schwytaniu Ożoga. Królowa widziała się u kresu swych niepowodzeń.

Gniew, uczucie bezsilności i opuszczenia, boleść, panowały naprzemian w jej sercu, a fizyczne cierpienia — mocny ból oka jeszcze bardziej powiększał moralny rozstrój. Pappacoda stawał się jej jedynym doradcą, znękana i opuszczona potrzebowała kogoś, na kimby się oprzeć mogła. Posłała po Kmitę, lecz wojewoda krakowski nie przyjechał. Widząc niezłomną wolę króla, zachwiał się w swej opozycji przeciw Radziwiłłom i zaczął szukać sposobu zbliżenia się do tronu. Najdawniejszy i najpotężniejszy stronnik ją opuścił. Pappacoda powtarzał ciągle:

— Zabierzmy skarby, jedźmy do Włoch.

Upokorzona duma królowej najłatwiejsze w tej radzie widziała wyjście z nieznośnego położenia, a przytem odezwały się młodzieńcze wspomnienia ku rodzinnej ziemi, umysł szukał szczęścia gdzie indziej, nie mogąc go znaleźć wkoło siebie.

— Pojadę do Włoch — powiedziała wreszcie i zaprosiła

syna, aby się z nią przyjechał porozumieć w ważnych sprawach.

Ciężkie to było dla Augusta zadanie — widzieć się z matką, dla której nie mógł mieć ani miłości, ani szacunku; obowiązek jednak synowski kazał mu jechać do Garwolina.

Król w niewielkiem się wybrał otoczeniu. Bona czekała na niego w towarzystwie ulubionej karlicy. Wchodząc nie zapomniał August włożyć rękawiczek, obawiając się zatrutego pierścienia na ręce matki. Rozmowa była chłodna, niedowierzająca, obracała się ściśle w kole interesów.

— Wasza Królewska Mość dozwoli mi — mówiła Bona — wyjechać do Włoch, potrzebuję tego dla wyleczenia oka, które mi ciągle puchnie... Wszystkie moje majątki i kosztowności tutaj pozostawię, mając zamiar powrócić.

— Sam o tem postanowić nie mogę — odpowiedział August — ale wniosę to na Sejmie, gdyż i mnie i całemu Królestwu musi na tem zależeć, aby ten wyjazd nie stał się z ujmą powagi państwa.

Bona jeszcze nalegała, aby jej August stanowcze dał pozwolenie; nie mogąc jednak uzyskać nic prócz obietnic wniesienia tej sprawy na sejm, zaczęła mówić o czem innem. Po godzinie rozmowy król powrócił do Piotrkowa — pod dachem matki bał się jakiegokolwiek przyjąć pożywienie.

Bona przegrała ostatnią kartę.

VII.

Dla Wiśnicza nadszedł ostatni dzień świetności; stary Kmita, pogodziwszy się z królem, przez trzy dni gościł go w zamku, a sprosiwszy wielkie zgromadzenie pracował nad tem, aby na skroni Barbary zajaśniała królewska korona.

W rycerskiej sali jeszcze ten sam Phoebus co przed kilkunastu laty toczył po suficie swój lśniący rydwan; szkarłatne tylko ścian obicie trochę spelzło, a broń nieco poczerniała, inne tam już wszakże przesuwały się postacie: świadkowie chwały starego Zygmunta młodszym pozostawiali miejsca, albo jak Tarnowski i Tęczyński, w niezgodzie będąc z Kmitą, stronili od Wiśnicza. I Maciejowskiego zabrakło, gdyż niespełna przed rokiem kraj opłakał wielkiego kanclerza, który uchroniwszy Polskę

od domowej wojny, poszedł gdzie indziej zbierać nagrodę za swe cnoty i zasługi. Natomiast ludzie, którzy się mieli stać najpiękniejszymi perłami w koronie Zygmunta Augusta, jak Rej, Modrzewski i młodociany Kochanowski, przeredzono zastąpili szeregi.

Kmita wszelkich używał starań, aby okazał się przyjął królestwo i w serdecznej gościnności utopił dawne urazy. Za młodych czasów bywał wiele na zagranicznych dworach i tam się przypatrzył niejednej towarzyskiej zabawie, pomiędzy innymi został mu w pamięci francuski karuzel z cesarskich turniejów. Porozumiał się więc na kilka tygodni przed przybyciem królestwa z niektórymi ze swych gości i postanowił Barbarę uczcić niespodzianką.

Drugiego dnia zapowiedziano gonitwy, król bowiem był wielkim lubownikiem koni i chętnie dobrym się przypatrywał jeźdźcom. W podwórzu zamkowym, otoczonym krużgankami, świetne zasiadło towarzystwo — dębowa liściem i choińską umajone słupy, ściany ganków przyozdobiono herbami króla, Radziwiłłów i innych możniejszych rodzin. Po raz pierwszy od lat kilkudziesięciu nie widziano smoka Sforzów — Kmita nie chciał nim w królowej niechętnych wywoływać wspomnień. Zygmunt siedział z rozjaśnioną twarzą; był to może jeden z najszczęśliwszych dni jego życia, miał bowiem przy sobie Barbarę i odnosił triumf stałości nad największym przeciwnikiem. Na twarzy królowej nie widać było równego zadowolenia; piękna, ale blada i dziwnie apatyczna, zdawała się już w sobie nosić zaród choroby, która ją wkrótce wydrzeć miała mężowi.

Zgromadzenie z upragnieniem oczekiwało jeźdźców, gotowych do gonitw — jakież było jednak wszystkich zdziwienie, gdy na dany znak wyjechał liczny zastęp rycerzy i amazońskich, przepyszenie ubranych w zagraniczne stroje, i uszykował się naprzeciwko balkonu królestwa. Szkarłatny młodzieniec z hiszpańska ubrany spiał konia, wysunął się z grupy i stanął przed królestwem nisko się kłaniając.

— Pan Jan Kochanowski — powtarzano na galerji.

Młodzieniec począł mówić:

— Za słynnej pamięci króla Gallów Karola VII, który wielkie bitwy staczał z nieprzyjaznym mu angielskim narodem, żyło

wielu znakomitych mężów, dzielnych do czynu i do zabawy. Oni to wymyślili przesławny turniej, istny obraz rycerskiego rzemiosła, zwany pikietą, od drzewca, który tam znaczy la pique. W nim są przedstawieni najślawniejsi rycerze i królowie. Rozkaż Najjaśniejszy Panie, a gra się przed Tobą rozwinie!

Większość towarzystwa nie wiedziała, o co chodzi, nie słyszała słów pana Kochanowskiego, powstało więc wielkie zaniepokojenie, mnóstwo zapytań się krzyżowało, ciekawość jednak wkrótce miała być zaspokojoną, gdyż król skinął przyzwalająco, a pan Kochanowski wlot cofnął się do grupy jeźdźców i zaczął grę szykować. Kmita tymczasem podał francuskie karty ze słoniowej kości królowi i zaprosił go, aby sobie wybrał partnera.

— Staliście panie wojewodo tyle razy w życiu naprzeciwko mnie — rzekł August z uśmiechem — to bądźcie jeszcze raz w kartach moim przeciwnikiem.

— Służę, jeśli Wasza wola, Najjaśniejszy Panie, ale tylko w kartach — odpowiedział Kmita.

Królowa zebrała, a król rozdał karty, poczem zniesiono karty królewskie panu Kochanowskiemu, a karty wojewody Rejowi, aby odpowiednie im osoby uszykowali i dalej żywemi kartami grę prowadzili.

Na królewską stronę przeszedł najprzód sam pan Kochanowski jako walet coeur, a trzymając w ręce królewskie karty, wywoływał innych, którzy za nim pójść mieli.

— Argina! — zawołał najprzód Kochanowski, a na te słowa na pysznym białym rumaku wysunęła się panna Zborowska.

Fantastycznie ubrana, w hiszpańskim kapeluszu, z wielkim białym piórem, w złocistej koszulce naśladowującej pancierz, zdawała się być królową zaczarowanej jakiejś krainy. Przedstawiała zresztą królowę w grze, a nazwa jej Argina była tylko przełożeniem słowem Regina. Na lewym ramieniu przypiętą miała tarczę z Jastrzębcem, podkową i krzyżem, jako swym herbem.

Rej chociaż na przeciwnej był stronie, poskoczył ku balkonowi i powinszował królowi takich kart, dodając:

Podkowa z krzyżem, kto to ma na pieczy,

Nieźle są iście te obiedwie rzeczy:

Jedna z żelaza, a druga ze złota,

A obie przedsię bronią od kłopotu.

— De la Hire! — wołał znów Kochanowski.

Wyjechał walet winny, pan Piotr Boratyński.

— Z przyjemnością widzę go po mojej stronie — zauważył król do Kmity.

Mniej rzeczy świadomi pytali się o znaczenie nazwy „de la Hire“, a zaraz znaleźli się tacy, co bywali we Francji i we Włoszech tłumacząc, że to przydomek jednego z wodzów Karola VII — Stefana de Vignoles.

— As żołądny!

Na tę nazwę wyjechał Oleśnicki z Pińczowa, w biały płaszcz ubrany, z wielką żołądzą na piersiach. Towarzystwo niechętnie się na niego patrzyło, gdyż zaciekłym był reformatorem, a dworzanie mówili, że król go niebawem pociągnie przed sądy za to, że zakonników przemocą z Pińczowa wyrzucił. To też Zygmunt szepnął na jego widok:

— Ten mi już mniej potrzebny...

— Czy rzymski As, czy polski grosz, Najjaśniejszy Panie — odpowiedział Kmity — zawsze się przyda do wojny, a gdyby był w skarbie, nie trzebaby go żądać od sejmów.

— Dawid! — znów wołał Kochanowski.

Był nim Frycz Modrzewski, ubrany w płaszcz purpurowy, na karym koniu i trzymał w ręku harfę jako godło biblijnego króla.

— Z takimi sprzymierzeńcami pobiję was panie wojewodo — mówił znów król do Kmity — miejmy podobnych nowatorów, a nie potrzebujemy się obawiać zachwiania wiary ani sekciarzy, jak Stankar lub Ochinus.

W ten sposób uszykowali się królewscy, a później przeciwnicy. Pan Kochanowski prowadził grę z jednej, a Rej z drugiej strony; oni wywoływali, które karty mają odejść, a które przybrać należy. Towarzystwo było poprzednio w grze wyćwiczone, konie łagodne i spokojne, ruchy więc odbywały się szybko, a cały turniej nadzwyczaj piękne sprawiał wrażenie. Po półgodzinnej grze król miał cały sequens, stronnictwo królewskie zorganizowało się z samych najzaciekniejszych nazwisk, Oleśnicki wyszedł z szeregu.

Ksiądz prymas Dzierzgowski, niedawno jeszcze jeden z najzawziętszych nieprzyjaciół króla i jego związku z Barbarą, zbli-

żył się obecnie i wieszował Zygmunta świetnego gry wyniku, który się stanie dobrą wróżbą na przyszłość.

— Więcej niż piękny turniej — odpowiedział król — cieszy mnie, że widzę dzisiaj przy moim boku tych, których w Piotrkowie do niechętnych mym zamiarom policzyć musiałem.

— Nie do niechętnych, Najjaśniejszy Panie — rzekł Dzierzgowski — ale do doradców przeciwnych królewskiemu zdaniu.

— Dawniejsza wasza niechęć a nawet nieprzyjaźń, księże prymasie, bynajmniej mnie nie smuciła, albowiem tylko ci potrafią być dobrymi przyjaciółmi, którzy nienawidzić umieją. Tem szczerzej wierzę w waszą przychylność, bom się przekonał, że twardym potraficie być przeciwnikiem.

Prymas nie był zadowolony z tej królewskiej mowy, ale też tem łatwiej nakłonił się do koronacji Barbary, aby dowieść, że obecnie nie żywi już żadnych uprzedzeń przeciw królewskiemu związkowi.

Pobyt w Wiśniczu zapewnił Barbarze koronację, jedyne może już teraz życzenie, którego spełnienia z najwyższem oczekiwała upragnieniem. I jej też rozjaśniło się oblicze, gdy przy uczcie wniósł Kmita uroczyste zdrowie królowej; dotąd bowiem starannie tej nazwy omijano, mówiąc o niej jako o „królewskiej małżonce“, a nawet pogardliwie jako o wdowie po Gasztołdzie. Wesołość na twarzy Barbary była owym ostatnim tonem, którego jeszcze brakowało do powszechnej radości — ucztowano więc jak nigdy w Wiśniczu. Od króla do kasztelana szedł kielich kolejno, szumiąc węgryzmem i życzeniami, a gdy tej kolei nie było końca, powstał pan Kochanowski i w wesołym wierszu dał wyraz ochocie:

 Za zdrowie gospodarz pije!
 Wstawaj gościu: a za czyje?
 Za królewskie: powstawajmy
 I także je wypijajmy.
 Za królowej: wstać się godzi,
 I wypić, to zatem chodzi.
 Za biskupie: powstawajmy
 Albo raczej nie siadajmy.
 A za zdrowie marszałkowe,
 Owo gościu wstań na nowe.
 Znów za hrabi: wstańmy tedy;

Odpochniemy nogom kiedy?
Gospodarz ma w ręku czasę,
My wiemy powinność naszą.
Chłopie, wymknij ławkę moje,
Już ja tak objad przestoję.

Długo mówiono o sławnej uczcie w Wiśniczu, a niejednen z przytomnych w późne jeszcze lata wspominał o gościnności starego Kmity.



Zygmunt August

Według portretu z pracowni L. Cranacha mł. w Muzeum XX. Czartoryskich
w Krakowie

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

DZIEŁO PAPPACODY.

I.

— Zawieźcie mnie do Warszawy — mówił Stańczyk do przyjaciół, czując się już bardzo osłabionym. Chciał tam umierać, gdzie królewska przebywała rodzina, a że do Zygmunta Augusta, do Wilna, było za daleko, przeto jeszcze przynajmniej królową rad był oglądać po raz ostatni.

W Warszawie dziwnie było smutno. Za kilka dni miał się rozbić dom Jagiellonów. Bona gotowała się wyjechać do Włoch, księżniczka Zofja szła zamąż za księcia brunszwickiego. Izabella, najstarsza z córek Bony, pozbawiona węgierskiego tronu, miała spokojnie osiąść na starostwie samborskiem. Dwie najmłodsze siostry Anna i Katarzyna, zostawały w Warszawie bez opieki, bez ręki, któraby je miłością i staraniem otoczyła.

Stańczyk bardzo był przywiązany do królowej Zofji — Zygmunt najbardziej ją też lubił z córek — kazał więc prosić panią Szmigielską, ochmistrzynię królowej, aby wyrządziła mu ostatnią łaskę i przyszła go z nią odwiedzić. Biedny trefniś nie wstawał już z łoża, cierpiał bardzo, ale cierpienia znosił z rezygnacją. W tajemnicy przed Boną przyszła królowa Zofja do umierającego, który i na śmiertelnem łożu nie rozłączył się ze swą błazeńską czapką, ale nie mogąc potrząsać dzwonekami na głowie, zawiesił ją nad łóżkiem wraz z laską z „lisiemi ogonkami“.

Królowa ze łzami doń przystąpiła; przygasłe oko Stańczyka po raz ostatni ożywiło się miłością i wdzięcznością dla krwi Jagiellonów.

— Bóg Waszą Królewską Mość nagrodzi, — mówił starzec — żeś nie zapomniała o umierającym błaznie; będziesz szczęśliwa

za zagranicznym księciem. Pamiętaj o młodszych siostrach, bo matka o nich zapomni...

Królowna się rozplakała, Stańczyk z rozrzewnieniem mówił dalej:

— Całe życie miałem śmiech na ustach, a gorycz w piersiach, ale tyle boleści co dzisiaj, nigdy nie zaznałem... Memu wielkiemu Panu dobrych z tego świata nie przyniosę wieści... Jeżeli którą z Waszych Królewskich Mości Bóg synem obdarzy, powiedzcie mu radę starego błazna: niech naśladowuje cnoty Zygmunta Starego, córkom zaś przekładajcie, aby się strzegły wad królowej matki.

Gdy królowna wyszła, mówił jeszcze Stańczyk do otaczających, bolejąc nad losem rodu, do którego tak był przywiązany:

— Włoska gadzina sama się swem żądłem zabije — powtarzał — złoto ją zgubi.

Bawił podówczas w Warszawie ksiądz Jan Drohojowski, biskup krakowski, gdyż miał odprowadzać królownę Zofję do Brunszwiku. Był to człowiek wielkiej powagi u wszystkich stronictw; niektórzy posądzali go, że sprzyja religijnej reformie, ale ksiądz Drohojowski chciał tylko rozumnymi ustępstwami przyciągnąć zachwianych w wierze, a nie odstręczać ich od kościoła. Wyrzucano mu także, że trzyma na swoim dworze Frycza Modrzewskiego, umysł w Niemczech kształcony, pełen nowatorskich myśli. Ksiądz Drohojowski nie uważał wszakże na te mowy, ale brał właśnie Modrzewskiego ze sobą w drogę, gdyż ten, mówiąc wybornie po niemiecku, mógł mu być wielce pożyteczny.

Zebrało się kilka osób u księdza biskupa, mówiono właśnie o ogromnej szkodzie, jaką wywiezienie skarbów starej królowej dla kraju pociągnąć musi. Modrzewski wypowiedział otwarcie swe zdanie, aby wóz ze złotem i klejnotami z kraju nie opuścić.

— Najjaśniejszy Pan nie może sam tego zrobić — dodał — gdyż ma względy dla matki, ale z pewnością nie pociągnie do odpowiedzialności tych, którzy spełnią zacy obowiązek i przeskodzą tak wielkiemu nieszczęściu.

Ksiądz Drohojowski zdawał się być tego samego zdania, ale więcej miną jak słowami je popierał, niebardzo bowiem ucho-

dziło, aby wniosek odbicia skarbów królowej wychodził od biskupa krakowskiego — był jednak bardzo zadowolony, że Modrzewski tę sprawę poruszył.

Pomiędzy innymi znajdowali się w towarzystwie także pan Wilga, starosta ostrołęcki i Florjan Dębiński, szlachcic z nad granicy śląskiej, dzielny do korda, ale duch niespokojny, awanturniczny, a w miłostkach niestały. Pod strażą to pana Wilgi miała Bona naprzód wysłać 24 wozów ze srebrem, złotem i klejnotami, a za tym taborem dopiero sama wyjechać.

— Ja chętnie tej myśli przyklasnę — odezwał się Wilga do Modrzewskiego — i z pewnością korda w obronie skarbów nie wyciągnę; ułóżcie tak, żeby mi wozy odbito, a ja dam się nawet związać i uwięzić, jeżeliby tego było potrzeba, chętnie ulegnę przemocy.

— Ba! ale kto zechce napad wykonać? — mówił Modrzewski.

— A czyż to takie wielkie przedsięwzięcie, — wtrącił Dębiński — gdybym miał trochę złota do zachęcenia towarzyszy, tobym w sto lub więcej koni stanął na Śląsku w lasach, które mi są znane i nawróciłbym wozy do pierwszego lepszego grodu.

Ksiądz biskup, nic nie mówiąc, mrugnął na Modrzewskiego, wyszedł z nim do przyległej komnaty i wyciągnął sporo złota ze szkatuły, aby niem Dębiński plany swe mógł przeprowadzić. Rzec powierzono Wildze i Dębińskiemu, gdyż tak ksiądz biskup, jak i Modrzewski mieli za kilka dni wyjechać do Brunszwiku.

Wspaniały był orszak królowej. Ruszyła ona w 266 koni z Warszawy, a odprowadzało ją wielu znakomitych panów i pań. Pierwszym przewodził ksiądz biskup krakowski, drugim ochmistrzyni Katarzyna z Górków Kościelecka. W Warszawie płacz i smutek, pozostałe młodsze królowne prawdziwie rozrzewniający przedstawiały widok. Zofja była najstarszą w domu od dawna i prawie im zastępowała matkę, a chociaż teraz same już dorosły, to przecież z wielkim żalem rozstawały się ze swą opiekunką. Natomiast stara królowa zdawała się cieszyć, że przecież jednej córki z domu się pozbywa i że tem łatwiej może wykonać swój zamiar. Myśl wyjazdu tak namiętnie ją opanowała, że o niczem innem myśleć już nie mogła i z gorączkową pilnością brała się do wywożenia swych rzeczy.

W kilka dni po wyjeździe królowej Zofji kazała Bona

wszystko pakować i zamek tak obdzierać, że tapety nawet ze ścian zwleczono, a królowom odebrano srebrne miednice, których używały do mycia. Dała im matka na pamiątkę za ledwie po pierścieniu, a kasztelan warszawski Jeżowski musiał sierotom własnych pożyczyć sreber, gdyż inaczej na cynie jadaćby były musiały, dopóki by im król, bawiący na Litwie, nie dał stosownego opatrzenia.

Prócz chciwości i skąpstwa żadnego uczucia nie można było dostrzec w odjeżdżającej Bonie; te dwie namiętności tak ją oparowały, że obok nich nie było nawet łzy dla córek.

Pierwszego lutego 1556 roku zrana, po mszy, weszła Bona z najstarszą córką Izabellą do młodszych królowien, zalewających się łzami. Na Bony obliczu nie widać było smutku, ale jakiś niepokój, jakieś rozdrażnienie; chciała jak najprędzej wyrwać się z otaczających ją stosunków, zdawało się jej, że we Włoszech raz jeszcze szczęście w jej duszę zawita.

— Bywajcie zdrowe — mówiła do córek, przelotny pocałunek składając na ich czole — jeszcze ja do was powrócę.

I szybko wybiegła do kolasy.

— Przepadnij tam włoska gadzino, niech twego syku polska ziemia nie słyży! — powiedział umierający Stańczyk, a słowa te jakby przekleństwo powtarzał kraj cały, dziwnie zniechęcony i wściekły.

Nic tak człowieka w oczach drugich zozydzić nie potrafi, jak chciwość. Jest to jedna z tych namiętności, które najbrzydsze po sobie pozostawiają piętno.

W orszaku, odprowadzającym Bonę, znajdował się znany nam Piotr Boratyński, starosta samborski. Za czasów Barbary szedł na chwilę ręką w rękę z królową — teraz niemało tego żałował.

W drodze przywołała go Bona do swojej kolebki, aby mu jeszcze kilka postawić pytań:

— Co też mówią o zapieczętowanych sklepach z listami i skarbami, którem pokazywała przed wyjazdem z Warszawy?

— Nie chwałę tego, iż Wasza Królewska Mość klucze od sklepów ze sobą bierze, — odpowiedział Boratyński — nie wierząc ani królowi ani koronie, a nikt nie wie, co się pod kluczem znajduje...

Królowa nic nie odpowiedziała, bo w tych sklepach podobno niewiele zostawiła.

— Nie najlepsze więc o mnie chodzą wieści. Mówią także, jak słyszałam, jakoby zabrała córkom to, com im kiedykolwiek dała w podarunku?

— Niestety, tak mówią, Najjaśniejsza Pani.

— Okazywałam przecież wczoraj księdzu Wargawskiemu, co im zostawiję: kubki, po szacie perłowej i niektóre klejnoty, królowi zaś srebrną kolebkę, którą miałam z Węgier.

— O tem nie wiem, Najjaśniejsza Pani — odrzekł Boratyński — tyle mi jednak wiadomo, że na potrzeby królewien dawano corocznie po 10.000 czerwonych złotych, a na płótno po 1.700; mówiono też w całej Rzeczypospolitej, że Wasza Królewska Mość obiecywała dać każdej córce po pięćdziesiąt tysięcy posagu, nie obciążając tem skarbu koronnego.

— Daleko więcej niż król na stroje ich wydawałam, — odpowiedziała rozgniewana Bona — a do ich posagu rzeczywiście miałam zamiar przydawać tysiące, gdyby mi się nie naprzykrzali król i senat polski. Od czasu, jak jestem w Warszawie, wydałam przeszło 500.000, a ludzie powiadają jeszcze, że mam wielkie skarby. Skądże to mogą wiedzieć?

— Dawłaś Wasza Królewska Mość — śmiało odpowiedział Boratyński — godnemu i niegodnemu urzędy, dawałaś srebro i złoto bić w mennicy koronnej, a nadto ze skarbu wypłacano Waszej Królewskiej Mości do 20.000 w złocie, oprócz dochodów z wielkich dzierżaw, było więc z czego gromadzić skarby...

Hamując się w gniewie odrzekła królowa, że i więcej niż 20.000 od króla otrzymywała, gdyż małżonek jej „był królem i wolno mu było czynić podług woli“. — W dalszej rozmowie składała się jeszcze królowa, że nie wywozi ze sobą więcej nad 60.000 złotych.

Z przykrością świadkiem i tłumaczem tej rozmowy była królowa Izabella, która tak ciężko przez los prześladowana, jeszcze jednej musiała ulec próbie. Patrzyć się na to, jak poniżający dla matki był ów wyjazd z Polski. Z pierwszego noclegu powróciła Izabella, a odtąd Bona żadnego ze swych dzieci już oglądać nie miała.

II.

Niesforna rzesza konnych i pieszych zbierała się w lasach za Oświęcimiem, kędy królowa Bona ze swemi skarbami przejeżdżać miała. Szlacheckie szaraczki, wytarte barwy księdza biskupa krakowskiego lub pana Tęczyńskiego, tureckie konie i wychudłe podjezdki o wybitych oczach, arkabuzy i halabardy krakowskich stróżów nocnych — wszystko tam znalazłeś, snąc rzesza ta zbiegła się tylko na brzęk czerwonych złotych w kieszeni pana Dębińskiego.

Nie było namiotów, więc każdy jak mógł szukał schronienia koło ogniska, bo zimno nie mało jeszcze dojmowało. Czekano dzień i drugi, na krańcach lasu rozstawiono czaty, o królowej Bonie nie było jednak słyhać; zgraja szemrała, że zginie z głodu i z zimna, a Dębiński obawiał się, że się porozbiega przed czasem.

Trzeciego dnia zatrzymano wóz, na którym siedziały dwie kobiety, jedna umiała tylko po włosku, druga w zakonnem ubraniu trochę po polsku mówiła. Dębiński poznał w ostatniej mniszkę Marynę, a zadowolony, że dostał języka, rozpoczął się rozpytywać, kiedy nadjadą królowa Bona i pan Wilga z wozami królowej? Mniszka zaczęła się składać, że nie wie, że może dzisiaj ukaże się za lasem królewski orszak, gdy jej jednak powiedziano, że dalej nie pojedzie, jeżeli prawdy nie wyzna, udała mniszka wielce przelękniętą, zaczęła się wypraszać, a wreszcie oświadczyła, że królowa umyślnie ją tędy wysłała, aby zmylić ślad, sama jednak obróciła się za Krakowem ku węgierskim góróm.

Mniszka tak wyglądała przerażoną, że ani Dębiński ani nikt z obecnych nie wątpił w prawdziwość jej słów. Puszczono ją więc i pozwolono dalej odjechać, w obozie zaś wielka powstała rada, co robić, czy pędzić ku węgierskiej granicy, czy się do domów rozjechać? Dębiński był pierwszego zdania, większa część jednak rzeszy, nie mając dobrego okrycia wręcz oświadczyła, że za kilka złotych nie myśli ginąć z zimna i z głodu, a wielu nie pytając nawet o postanowienie wsiadło na koń i porozbiegało się w cztery strony świata. Sam Dębiński z kilkoma zaufanymi ludźmi przedarł się ku Węgrom sądząc, że z pomocą pana Wilgi przeciw swego zadania dokonać potrafi.

Czekał tam jednak daremnie, bo królowa po kilku dniach przejechała drogą koło Oświęcima, a mniszka umyślnie tamtędy była posłana, aby w razie potrzeby w błąd wprowadzić napastników. Napróżno pan Wilga oglądał się, przejeżdżając przez lasy, napróżno martwił się i ręce załamywał, że takie skarby wywozi. Nikt się nie znalazł, ktoby mu chciał zastąpić drogę i wraz z wozami wrócić go do Polski.

Królowa bezpiecznie przybyła do Wiednia, a następnie przez Alpy do Padwy, gdzie ją nader świetne czekało przyjęcie. Kolonja polskich studentów była tam dość liczna, a nawet pomiędzy profesorami Polak Piotr z Goniądza zaszczytne zajmował miejsce, słysząc ze swych wykładów sofistyki. Studenci każdej narodowości mieli swego zastępcę, zasiadającego w głównej studenckiej radzie, która kierowała uniwersyteckimi sprawami i powoływał profesorów na katedrę. Konsyljarzem polskiej „nacji“, jak wówczas mówiono był Cyprjan Rozrażewski, jeden z najznakomitszych uczniów Goniądza, równie jak profesor skłonny do nowatorstwa w wierze.

Na wiadomość o przejeździe Bony zebrano się około dwudziestu polskich studentów u Rozrażewskiego w celu naradzenia się, jak mają uczcić królową, czy wziąć tylko udział w powszechnym przyjęciu, jakie miasto przygotowywało, czy też wystąpić osobno.

— Królowa niezgodę do kraju wprowadziła — wołał Struś Poznańczyk, uczeń medycyny — panowała trucizną i intrygą, dla niej nie powinniśmy mieć żadnego uczucia wdzięczności. Niech ją Włosi przyjmują, bo to ich córa. Dla nas jest obca, gdyż obcymi się tylko otaczała dworakami.

Rozrażewski był zdania, żeby Polacy osobno przywitali królową, po długiej jednak rozprawie stanęło na tem, aby o tyle tylko przyczynić się do uświetnienia uroczystości, o ile to było w zwyczaju przy powitaniach królów lub innych wielkich dostojników.

Poruszono jednak inną sprawę. Ponieważ od niejakiego czasu na padewskim uniwersytecie zanadto się zaczęła szerzyć reforma religijna pod różnemi kształtami, przeto senat Rzeczypospolitej weneckiej postanowił silną dłońią wykorzenić powstające ze szkodą nauki religijne walki i ująć młodzież w karby

posłuszeństwa. Przedewszystkiem chodziło o złamanie prawa studentów do powoływania profesorów na katedry, które im senat chciał odebrać, pragnąc obsadzać posady profesorów według swojej woli. O to oddawna pomiędzy studentami a Wenecją toczyła się walka, a senat ustanowił osobnego dygnitarza zwanego „reformatorem“, który miał za zadanie porządek zaprowadzić w padewskiej akademji. Reformatorem był podówczas Mocenigo, jeden z najznakomitszych patrycjuszów weneckich; przeciw niemu to mieli wszyscy studenci wystąpić i w tej mierze u Rozrażewskiego żwawa powstała dysputa.

Najżarliwiej występował Jan Vicinus, Polak, przezwany po łacinie, który już od dwudziestu pięciu lat uczęszczał na uniwersytet padewski. Akademja stała mu się przeto drugą ojczyzną i do śmierci nie myślał się z nią rozłączyć. Z długimi włosami, o poważnej siwej brodzie, w zaniedbanem włoskiem ubraniu, był jedną z najznacniejszych postaci, występujących na wszystkich uroczystościach i miał sobie za święty obowiązek walczyć o prawa studentów. Zapomniawszy po polsku wystąpił z łacińską mową, w której wzywał „polską nację“ studentów, aby się połączyła z innymi narodowościami i nie wpuściła reformatora do gmachu akademickiego, skoro przybędzie z powodu przyjęcia Bony, gdyż akademja jest tak dobrze rzeczpospolitą, jak Rzeczpospolita wenecka — tylko o wiele znakomitszą, bo składającą się z samych uczonych obywateli.

— Jesteśmy tutaj obcymi pod skrzydłami prześwietnej Rzeczypospolitej weneckiej — odpowiedział Rozrażewski — więc nam nie przystoi w domowe włoskie mieszać się sprawy.

Wszyscy prawie zgromadzeni zdanie to podzielili, o co Vicinus bardzo się pogniewał i wyszedł wezwawszy Rozrażewskiego na publiczną dysputę o tezę: czy akademja jest rzeczpospolitą przez wszystkie fundowaną narody i do nich należąca, czy ma tylko nędzne stanowisko szkoły weneckiej?

Dnia 27 marca około południa miała Bona wjechać w mury miasta. Przygotowania na jej przyjęcie były wspaniałe. Tuż przed murami miasta stała brama triumfalna i ogromny łuk z drzewa i sztukateryj, przedstawiający w pięknym ugrupowaniu bratanie się alegorycznych postaci, z których jedne oznaczały umiejętność, filozofję, astrologję, medycynę, prawo i t. p.,



Królowa Bona

Według medalu Jana Michała Pastorina
z r. 1556

inne różnorodne narodowości, mające od wieków swoje korporacje na padewskim uniwersytecie: włoską, niemiecką, polską, czeską, węgierską, prowancą i tak dalej.

Przed bramą triumfalną, przed którą królowa miała się zatrzymać, stali biskupi, reformator wenecki, wysłańcy senatu, mnóstwo panów i pań włoskich, przychylnych rodzinie Sforzów. Przepyszne stroje, atłasy, aksamity, hafty z pereł i ze złota podnosiły wspaniały obraz. Za dygnitarzami ustawiła się nieprzejrzana, kilkutysięczna rzesza studentów. Każda nacja osobną stanowiła grupę. Polacy znaleźli się tuż za Niemcami; czerwone pióra na biretach odróżniały ich od sąsiadów, z których jedni niebieską, drudzy żółtą przyjęli barwę. Największą jednak uwagę zwracał na czele studentów stojący rektor, ubrany w karmazynową włoską suknię ze złotym kapturkiem na ramieniu, jako oznaką swej władzy, konsyljarze również w karmazynowych sukniach, ale bez kapturków. Pomiedzy nimi był i Rozrazewski.

W godzinę po południu dano znać, że się zbliża orszak królowej, a orszak ten nie ustępował bynajmniej świetnemu gronu, które ją witało. Odprowadzający królowę Polacy dopiero z Wenecji wrócić się mieli. Nastąpiły łacińskie i włoskie mowy, odpowiedzi, nużące ceremonje, poczem Bona udała się do klasztoru św. Stefana odbywać wielkanocne rekolekcje. Trzy dni takiej pokuty miało przynajmniej w oczach ludzi zmazać błędy całego życia.

Królowa ubrała się w grubą zakonną szatę i dostała małą celę na mieszkanie. Co rano po odprawionych w chórze modlitwach, zgromadzały się u niej zakonnice; najmłodsza z nich obnażała plecy dostojnej pokutnicy i uderzała ją trzy razy dyscypliną.

Tymczasem chytry Pappacoda, czując się już na włoskiej ziemi, zakładał podwaliny do budowy śmiałych swych planów. Bawił on od miesiąca w Wenecji, gdyż naprzód tam przybył ze znaczną częścią skarbów królowej i myślał nad tem, aby się jak najprędzej stać panem złota, które tak skwapliwie zbierał w imieniu Bony.

Przed zbrodnią się nie wahał, ale wiedział, że bez silnych sprzymierzeńców nie będzie mógł w spokoju używać jej owoców. Lepiej się było podzielić skarbami z potężnym jakim pro-

tektorem, aniżeli słabą ręką sięgnąć po to, czego by się utrzymać nie dało.

Sposobność do rozwinięcia planów rychło się nadarzyła. Przybył do Wenecji nadzwyczajny poseł Filipa II, hr. Broccardo, aby zawrzeć przeciw papieżowi Pawłowi IV przymierze z nowo wybranym dożą Wawrzyńcem Priuli. Pappacoda wnet się znalazł u niego, wiedząc, że Filip potrzebuje pieniędzy i że Wenecjanie z łatwością skłonią się do zawarcia przymierza, ale niełatwo otworzą swe piwnice.

— Królowa polska pożyczycie wam 400 tysięcy dukatów w złocie — mówił Pappacoda — ale pozwólcie, aby wszystko, co po jej śmierci znajdzie się w baryjskim zamku, moją było własnością. Bez mego wpływu gotówka wróci z Wenecji do Polski, a wy dostaniecie chude księstwo Bari.

Hiszpanowi myśl ta bardzo się podobała. Ogromna suma Bony wsparłaby niemało Filipa i postawiła go w możności prowadzenia wojny z papieżem. Tajemny układ podpisano. Pappacoda miał dwa zadania przed sobą: skłonić Bonę do pożyczania pieniędzy Filipowi i starać się, aby jak najprędzej mógł zostać jej dziedzicom.

Tymczasem w Wenecji nader świetne robiono przygotowania na przyjęcie Bony.

Sto szlachetnych Wenecjanek, przybranych w biel, strojnych w najpiękniejsze klejnoty świata, popłynęło na Bucentaurze, galerze lśniącej od złota i purpury do łądu, aby odprowadzić Bonę do miasta dożów, do pałacu margrabiego Ferrary. Lorenzo Priuli czekał na progu w otoczeniu prokuratorów św. Marka i innych dygnitarzy Rzeczypospolitej, a w krótkiej przemowie prosił królowę, aby przyjęła gościnność miasta. Wieczorem plac św. Marka i pałac dożów pysznem zajaśniały oświetleniem; w wielkiej sali odbywała się uczta na cześć Bony, uczta, o jakiej tylko marzyć mogą poeci.

Po bokach Bony siedział doża i poseł Filipa II, naprzeciwko nuncjusz papieski. Ostatni nierad był bliskiemu sąsiedztwu królowej z wysłannikiem króla hiszpańskiego.

Chciał on Bonę przeciągnąć na stronę papieża. Grand hiszpański jednak roztoczył cały spryt południowca, aby się przypodobać królowej polskiej.

— Wasza Królewska Mość — mówił jej — możesz się poszczycić, żeś po owych świętych, którzy na północ prawdziwą wiarę zanieśli, najpiękniejsze tam spełniła zadanie. Oni zatknęli wprawdzie krzyż w zimnych borach Polski, ale krzyż ten stał dotąd w ciemności. Wasza Królewska Mość oświeciłaś go dopiero światłem nauki i sztuki.

Pappacoda się uśmiechał na drugim końcu stołu i obliczał, ile mu się zostanie z pieniędzy królowej, gdy umówioną sumę wypłaci Hiszpanom.

Bona pełna była radości z powodu świetnego przyjęcia, jakiego doznała na wstępie do swej rodzinnej ziemi, a po kilkudniowym w Wenecji pobycie z najlepszą otuchą odpłynęła do Bari.

III.

Rodzinne Bari witało Bonę. Położone nad „rybną“ zatoką, jak ją Horacy nazywał, rozsiadło się nad morzem w dużym półkolu. Na Piazza stał poważny lew św. Marka, postawiony tam na pamiątkę, że Wenecjanie uratowali w r. 1002 kraj od saraceńskiego napadu.

W młodości królowej najbardziej kwitnące miasto handlowe Apulji, liczące przeszło 50.000 mieszkańców, zubożało Bari cokolwiek pod rządami cesarskich burgrabiów i królewskich komisarzy, a mury zamku poważną się okryły pleśnią.

Biskup baryjski i wszyscy dygnitarze prowincji, niosąc relikwiarz z szczątkami św. Mikołaja, czekali w porcie na przybywającą królowę; dzwony katedry roznosiły hymn powitalny, który dziwnie chłodno odbijał się w sercach zgromadzonej przez ciekawość ludności, nieznałej już prawie królowej. Raczej złe aniżeli dobre wspomnienia wiązały mieszczan z jej panowaniem, gdyż wspanialszą obrawszy koronę, macoszą tylko ręką włoskie zdzierzyła księstwo.

Nim się królowa udała na zamek, pojechała do św. Mikołaja złożyć dzięki Panu za szczęśliwą przeprawę. Przed starym srebrnym ołtarzem, zabytkiem XIV wieku, klęczała długo i modliła się, czując się może po raz pierwszy osamotniona i to na rodzinnej ziemi. Przykre uczucie zwiększyło się, gdy weszła w chłodne mury zamku odartego z owego przepychu, jakim dawniej jaśniał.

Obraz wspaniałych komnat, pozostały w pamięci z dzieciństwa, daleki już był od rzeczywistości, a na każdym kroku znać było chciwą rękę burgrabów. Rozdrażniona przeciw tym, którzy ją w Polsce zatrzymywać chcieli, odesłała z Wenecji wszystkich polskich dworzan, pozostawiając przy sobie już tylko włoskie otoczenie. Zapomniała jednak, że trzydziestoletnie przyzwyczajenia miały swoje prawa w sercu, że tęsknota za tymi, którzy byli świadkami najpiękniejszych chwil jej życia, niebawem się odezwie.

Mieszkała w Bari dawna dworzanka królowej, Marja Archamona. Była ona i w Polsce przy Bonie lat kilka, ale zatęskniwszy za rodzinnem słońcem, wróciła do Włoch. Królowa znowu ją wzięła w swoje usługi, a ona wraz z Pappacodą podzieliła się wkrótce rządami zamku i rzeć można, panowaniem nad osamotnioną królową. Archamona jednak we wszystkim ulegała Pappacodzie, który ją tak umał usidlić najróżnorodniejszymi obietnicami, że z niej swą powolną uczynił sługę. Za ich to obojga namową królowa zezwoliła wkrótce na pożyczanie swego złota Filipowi hiszpańskiemu, sądząc, że tym sposobem okupi sobie przyjaźń potężnego sąsiada i że neapolitańscy wicekrólowie wypuszczą z opieki małe księstwo baryjskie, na które zawsze wpływ wywierać usiłowali.

Pozbywając się swych skarbów, pozbyła się Bona ostatka władzy, jaką jej zostawił Pappacoda. Po udzieleniu pożyczki „katolickiemu królowi“, zjawił się wkrótce w Bari hrabia Broccardo i miewał częste schadzki z Pappacodą. Podejrzliwa Bona czuła jakieś niebezpieczeństwo i wezwała do siebie Scypiona Cattapano, notarjusza apostolskiego a pisarza w swej kancelarji, o którym wiedziała, że nienawidzi Pappacody.

— Masz śledzić Gian-Lorenza — mówiła mu — masz czuwać nad każdym jego krokiem. Jeśli dojdiesz właściwych zamiarów, dla których tutaj bawi hr. Broccardo, hojną dostaniesz nagrodę.

Cattapano zaczął śledzić, a królowa nosiła się z myślą, aby jaknajrychlej wrócić do Polski, obawiała się tylko wyjawić tego zamysłu, czując, że Pappacoda będzie mu przeciwny.

— Każę go uwięzić — myślała, ale nim tego zamiaru dokonać mogła, ciężką została złożona choroba.

Niepokój, tęsknota, obawa czegoś złego, wywołały mocną gorączkę. Archamona, zdjęta litością, zaczęła ją pielęgnować. Pappacoda stał jednak na czatach. Na drugi dzień po zapadnięciu królowej, wszedł do niej, nie poprosiwszy o pozwolenie wejścia do komnaty.

— Jak śmiesz w ten sposób przekraczać moje progi? — z oburzeniem zapytała go Bona.

— Racz przebaczyć, Najjaśniejsza Pani — odezwał się niewdzięcznik z uśmiechem — są wszakże ważne sprawy, niecierpiące zwłoki. Przybył nadzwyczajny poseł od króla Filipa i życzy sobie mówić z Waszą Królewską Mością.

— Dzisiaj zanadto jestem chora, abym go przyjąć mogła. Cóż za ważna zresztą sprowadza go sprawa?

— Sprawa zapisu księstwa baryjskiego — śmiało odrzekł Pappacoda. — Król Filip nieradby po śmierci Waszej Królewskiej Mości prowadzić z królem polskim sporów i sądzi, że Wasza Królewska Mość za życia jeszcze tak swemi dobrami rozporządzi zechcesz, aby się zadość stało słuszności i księstwo testamentem „katolickiemu królowi“ przekazane zostało.

— Jakto? — podnosząc się, ze wzgardą odrzekła Bona — chcecie zapis na mnie wymusić, sądziecie, że za mało już mam siły, abym mą wolę przeprowadzić mogła? Precz mi z oczu, łotrze, idź powiedzieć twemu współnikowi, że mam syna prawego następcę i że nikt ode mnie zapisów dla obcego monarchy wyłudzić nie zdoła.

Stanowczość i groźny wzrok królowej zrobiły na nędzniku wrażenie; zaczął się tłumaczyć, uderzać w pokorę, uległ spojzeniu, którego od tylu lat słuchać się przyzwyczaił i wyszedł z komnaty, aby za drzwiami tym zawziętym zakłócić gniewem.

Królowa uczuła, że nigdy tak, jak teraz, nie potrzebowała być zdrową i silną. Natura zdawała się jej być na chwilę posłuszną. Ku podziwieniu domowników wstała tego samego dnia i chciała wydawać rozkazy, ale posłusznych już w zamku nie było. Straże zamkowe uznawały tylko Pappacodę, przeczuwając bliski koniec królowej. Jeden Cattapano wszedł do niej niepostrzeżenie, ale nie widział ratunku. Królowa kazała mu potajemnie udać się do Zygmunta Finelli, komisarza Zygmunta Augusta, któremu niestety dotąd żadnego nie pozostawiła

wpływu, aby wszelkich użył sposobów w celu uwolnienia jej z groźnego położenia. Nadto kazała mu przy sobie spisać testament, w którym Zygmunta Augusta i córki robiła jedynymi dziedzicami swych dóbr, podpisała go i poleciła, aby przez zaufanego człowieka przesłał go do Wenecji.

Gorączkowa czynność zupełnie wyczerpała jej siły, upadła w krzesło i czuła się bardzo osłabioną. Pappacoda nie dał jej wszakże wypocząć, ale niebawem wszedł z miną zbrodniarza przygotowanego na wszystko. Królowa wzdrygnęła się, sądziła, że łotr trzyma już w ręku mordercze żelazo.

Pappacoda spostrzegł to przerażenie.

— Uspokój się, Najjaśniejsza Pani — odezwał się z udaną łagodnością — nie przychodzę tutaj w żadnych złych zamiarach, wymagam tylko podpisu na testamencie, któryśmy sporządzili z posłem króla katolickiego. Król polski ma być uniwersalnym sukcesorem, księstwo baryjskie tylko przypadnie Hiszpanji.

— Takiego testamentu podpisać nie mogę — odpowiedziała Bona.

— Podpisać go musisz! — stłumonym głosem wyrzekł Pappacoda — notariusze neapolitańscy stoją za drzwiami.

Bona uczuła, że podpis stanowi o jej życiu lub śmierci, sądziła zresztą, że weneckiemu testamentowi zdoła późniejszą dać datę. — Przywołaj więc notariuszów — powiedziała.

Fałszywy testament został podpisany i oblatowany w neapolitańskich aktach.

Gdy wyszli notariusze, zbliżył się Pappacoda do królowej, dziękował, że zgodziła się na jego wolę, łąsił się jak pies, upewniając, że żadnych nie ma złych zamiarów i że nic nie będzie miał przeciwko temu, aby królowa wyjechała do Polski.

— Każę zawołać doktora — dodał — zdrowie Waszej Królewskiej Mości cenne jest dla dostojnych córek.

Królowa oburzała się na ten fałsz, ale udawała, że wierzy w zapewnienia i w troskliwość Pappacody, obawiając się jego gniewu. Zgodziła się więc na doktora.

Nazajutrz przyprowadził Pappacoda lekarza, Jana Antonia z Maceraty, który nie był jej nadwornym lekarzem.

— Dlaczego nie przyszedł Farina? — zapytała królowa, mając zaufanie do zwykłego swego lekarza.

— Od kilku dni obłożnie chory — z udaniem współczuciem odpowiedział Pappacoda; Farina tymczasem był zdrowy, ale burgrabia nie miał do niego zaufania.

Jan Antonio orzekł, że stan królowej niebezpieczny, że wielkiego potrzebuje starania i przykazał jej zażyć lekarstwo.

— Wypijcie połowę, a wtedy i ja drugą wypiję — odpowiedziała Bona.

Lekarz trochę się zawahał, ale wypił, królowa także wypiała mniemane lekarstwo, nie mając już żadnego podejrzenia.

Zaledwie jednak Antonio zażył płyn, czem prędzej chciał wybiec ku drzwiom, aby wypić natychmiast antidotum przygotowane w drugim pokoju. Teraz wszakże stanął Pappacoda we drzwiach, zamknął je na klucz i wyciągnął szpadę, którą miał u boku przypiętą.

— Ani kroku dalej! — groźnym do doktora zawołał głosem.

— Ha! łotrze! Taka twoja wiara! — krzyczał bezbronny Antonio, rwąc się ku drzwiom.

— Uspokój się pocziwcze, nanic tve piskliwe nie przydadzą się głosy, w całym zamku niema nikogo... Mów lepiej pacierze, boś za życia za mało Pana Boga chwalił. Licz godziny, ile ich masz jeszcze, zanim się przywitasz z Belzebubem...

— Szatan! — zawołała Bona i chciała się podnieść, ale siły ją już opuszczały.

— Nie gniewaj się królowo — z szyderstwem powiedział Pappacoda. Zapewne nie tak prędko połączysz się jeszcze z zacnymi swymi antenatami, dam ci złota, abyś się miała czem bawić. Wszak złoto lubiałaś w swem życiu, nieprawdaż?

To mówiąc, cisnął jej Pappacoda garść złota na łóżce.

Królowa się odwróciła, nie chcąc patrzeć na swe poniżenie...

Pappacoda rozsiadł się przy drzwiach wygodnie, a tygrysim wzrokiem śledził każde poruszenie swych ofiar.

— Myślałeś głupcze, — odezwał się po chwili do Antonia — że ja ci pozwolę żywym chodzić po świecie, abyś świadczył przeciwko mnie, że ci kazał otruć królową? Myślałeś głupcze, że weźmiesz dukaty za cudze życie i będziesz spokojnie chleb swój trawił, a możesz nawet na to rachował, że jeszcze kiedy i za moje życie weźmiesz sporą sumkę?

Antonio zwrócił się do łóża Bony i prosił ją o przebaczenie.

— Najjaśniejsza Pani — mówił — jam ciężej ukarany. Ty umrzesz niebawem, do trzech dni najdalej, boś więcej trucizny zażyła, u mnie męczarnie mogą się do tygodnia przeciągnąć. Z ubóstwa dopuściłem się zbrodni. Zostawiam małych dzieci ośmioro w Maceracie...

— Łotr tkliwym się staje — przerwał Pappacoda — może mnie zechcesz zrobić opiekunem swych potomków, może masz co do powiedzenia szlachetnej swej żonie? Nie troszcz się o nią, pocieszy się wkrótce po twojej śmierci, nie będzie czekała jak Penelopa twojego powrotu — za tydzień się dowie, żeś umarł naturalną śmiercią...

Wskutek wielkiej dozy zażytej trucizny, Bona szybko wpa-
dała w apatię. Raz jeszcze się przebudziła i prosiła o księdza.

— Nie troszcz się o niego — odrzekł Pappacoda — skoro twe usta staną się nieszkodliwymi, zawołam księdza, powiem mu twe grzechy, a pamiętam je lepiej od ciebie.

Bona więcej nie przemówiła.

Pappacoda dzień i noc siedział na straży przy swoich ofiarach, wychodząc tylko czasem na chwilę do drugiego pokoju, gdzie mu Archamona donosiła pożywienie. Po trzech dniach — jak przepowiedział Antonio — umarła królowa. Antonio leżał już bezwładny, a tymczasem w zamku rozpoczęła się orgja chciwości. Pappacoda zabierał wszystko i wywoził co było do zabrania, aby się uprzątnąć przed przybyciem komisarza króla katolickiego, któremu także nie wierzył. Sprzęty, srebra, obicia, suknie — wszystko zdarł, zdarł jeszcze więcej, aniżeli królowa, gdy wyjeżdżała z Warszawy, zostawiając swe córki w opustoszałym zamku.

Ciało Bony złożono w prostą trumnę z czterech desek zbitą i naznaczono na niej dwa krzyże kawałkiem czerwonej kredy. Jak ciało galernika przeniesiono jej zwłoki do kaplicy bez żadnego obrzędu chrześcijańskiego i bez wszelkiej uroczystości, a dopiero później poseł Zygmunta Augusta, ksiądz Wyssowski, kosztem króla sprawił jej egzekwje.

Na drugi dzień po jej śmierci zajął komisarz Filipa II Bari i całe księstwo. Pappacoda zaś pisał do księcia Alby: „że przez śmierć królowej polskiej wywiązał się z obietnicy uczynionej dworowi Króla Jegomości Katolickiego“.

Filip II umiał być wdzięcznym, a nietylko dał Pappacodzie znaczne dobra i dochody, oraz nadal pozostawił burgrabią zamku baryjskiego, ale w dowód swej łaski za wielkie usługi nadał mu tytuł margrabiego Capurso. Żałował jeszcze, że czyni dlań za mało, a w przywileju nadającym mu powyższy tytuł, mówił: „że to tylko zadatek tego, coby chciał dla niego uczynić; gdyż nie był w możności wynagrodzenia go stosownie do zasług, chociażby jedno z królestw swoich oddał“.

Nad grobem Bony wszczął się dopiero długi spór sukcesyjny o sumy neapolitańskie i niejednokrotnie służył za sprężynę różnych politycznych intryg.

Dzisiaj świadectwem czynu Pappacody jest już tylko skromny nagrobek Bony za chórem w kościele św. Mikołaja w Bari, a statuy św. Kazimierza i św. Stanisława strzegą jej popiołów.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.

CHARAKTERYSTYKA BONY.

I.

Jest w Wielkopolsce podanie, że zaczarowana królowa Bona przebywa tam we wnętrzu góry, pilnując swych nieprzebranych skarbów. Wieść każe jej z czartem utrzymywać spółkę. Więc i w tradycji nader niekorzystny wyrobił się obraz Bony, zawarty w owym dwuwierszu Ambrożego Grabowskiego:

Bona ci dano imię, a tyś złość wcielona,
Chytra, mściwa, łakoma, zła matka, zła żona.

Mimo namiętności dzisiejszych historyków do rehabilitowania potępionych przez dzieje postaci, z trudnością dałoby się matkę Zygmunta Augusta w zupełnie jasnym przedstawić świetle, a chcąc w ocenianiu jej charakteru bezstronne zająć stanowisko, należałoby chyba o tyle odstąpić od dotychczasowego zwyczaju, aby jej nie sądzić jako Polki XVI wieku, nie przykładać do niej tej samej miary, podług której radziłyśmy odtworzyć postać takiej Beaty Ostrogskiej albo Anny Mazowieckiej — ale pamiętać o tem, że Bona była Włoszką, wychowaną wpośród zupełnie innych wyobrażeń, aniżeli te, które w Polsce zastała i że przeto nie możnaby jej za nie robić odpowiedzialną.

Nie trzeba zapominać, że Bona była krewną Lukrecji Borgii, że nie miała jednego w swej rodzinie członka, któryby się cudzą krwią nie splamił, że Makjavel uważał jej pradziada Franciszka Sforzę za wzorowego księcia, że wiadomości z dworu Aleksandra

VI. ją wykołysały, a rzeź, którą Cezar Borgia sprawił w Sini-gagli, zwana była prawdziwie rycerskim czynem.

Po Borgiach ród Sforzów należał do najbardziej krwawych we Włoszech, a trucizna, domowe wojny, zdrady i przewierstwa, to jedyne klejnoty, jakie historia może umieścić w ich książęcej koronie. Trudno przypuścić, aby na polskim dworze nie znano dziejów rodziny, z której miano wziąć królową, chwilowo jednak zapomniano o nich, tem bardziej, że niemieckie swaty tak znaczenie rodu Sforzów, jak i posag Bony w nader jasnym przedstawiały świetle. Zresztą osobiste przymioty księżniczki musiały niejedną osłabić zarzut, jaki może podnoszono przeciw jej rodowi. Polscy posłowie, których Zygmunt wysłał do Neapolu, ulegli odrazu uroczemu wpływowi księżniczki i mieli dla niej tylko słowa niezwykłych pochwał, a król, patrząc się na prześliczną minjaturę i czytając zgadzające się z nią posłów opisy, powziął jak najlepsze mniemanie o swej narzeczonej, nim ją jeszcze oglądał.

Nie wątpimy bynajmniej, że zachwyty posłów był zupełnie usprawiedliwiony, dość bowiem przypatrzeć się legendarnemu portretowi młodej Bony, pochodzącemu ze zbiorów puławskich i pomyśleć, że owa młodzieńcza postać o regularnych rysach, kształtnej kibici i czarnych oczach, żyła w czasach włoskiego renesansu, aby uwierzyć słowom Ostroroga, że Bona zdawała się być nimfą a raczej boginią. Wrażenie musiało być tem większe, że w Polsce takich kobiet nie widziano, a wychowanie kobiece na północy i na południu w początkach szesnastego wieku zupełnie było inne. Ideą polskiej kobiety była matrona, ideą kobiety włoskiego odrodzenia — „virago“, w najchlubniejszym tego słowa znaczeniu.

Włoskie kobiety wyższych stanów odbierały zupełnie klasyczne wykształcenie, uczyły się po grecku i łacinie, czytały Aristotelesa i Platona, powtarzały mowy Cicerona, aby w razie potrzeby gładko umieć mówić, a nawet nauka teologii i filozofii scholastycznej nie była dla nich zamknięta. Prócz tego każda grała na lutni, a w mniej lub więcej dyletancki sposób poświęcała się malarstwu.

Niejednokrotnie dziwiono się u nas, jak wytwornie Bona wyrażała się po łacinie, tak, że mierzyć się mogła nawet z ludźmi

uczonymi, nawet z profesorami akademji. Ale ściśle naukowe wykształcenie włoskich kobiet było zupełnie uzasadnione w pojęciach wieku, a nikomu na myśl nie przyszło utrzymywać kobiety na niższym stopniu umysłowego rozwoju, aniżeli mężczyzn. Zresztą wykształcenie tak kobiet jak mężczyzn musiało czerpać z jednego źródła, to jest ze starożytności, gdyż nowsze czasy nie wyrobiły jeszcze wówczas dość materiału, aby humanistyczne studia na nich opierać się mogły.

Uprzedzenie, że umiejętność niszczy w kobiecie wdzięk i urok jej właściwy, powstało na północy — Włochy odrodzenia go nie znały. „Virago“, kobieta uczona, dysputowała publicznie o zasadach teologii i filozofji, pisała poezje i traktaty, a poważne zajęcia podnosiły jej wdzięk i wzięcie w społeczeństwie.

Nie trzeba zapominać o bardzo ważnym jeszcze czynniku w wychowaniu włoskich kobiet — o religji. Biorąc w klasztorach początki nauki, wnosiły stamtąd pewne religijne formy, podobnie jak się z domu wnosi dobry obyczaj i to, co ułożeniem zowią. Religijności tej brakowało wszakże na wewnętrznej wartości, a można ją scharakteryzować jako religję przyzwoitości. Grzech nie poniżał kobiety, nie robił jej brzydką. Byłe formy religji były zachowane, łatwo darowano kobiecie, jeżeli pokryjomu kierowała sztyletem; nie przebaczonoby jej jednak, gdyby nie była regularnie chodziła do kościoła i nie odprawiała wielkanocnej pokuty. Bona, wracając z Polski podczas Wielkiejnocy, na trzy dni zamknęła się w klasztorze w Wenecji, a społeczeństwo włoskie byłoby jej daleko więcej miało za złe, gdyby tego nie uczyniła, aniżeli, że opuściła swe córki, zostawiając je bez opieki.

Na tle takiego wychowania trzeba sobie wyobrazić znakomitą Włoszkę XVI wieku. Ród Sforzów wydał ich kilka i stosunkowo może się poszczycić większą ilością niepospolitych kobiet, aniżeli mężczyzn. Siostra protoplasty Sforzów, Małgorzata, uratowała bratu życie i mienie swą stanowczością, inna znowu, Katarzyna, nie ulękła się nieprzyjaciół, którzy grozili, że jej zabiją syna, jeżeli zamku nie wyda.

— Możecie zabić — kazała im odpowiedzieć — będę miała drugiego...

Jakób z Bergamo, który pisał w pierwszej połowie XVI w.

o sławnych kobietach, nie mógł pominąć rodu Sforzów. Ginevra Sforza miała się odznaczać nadzwyczajną układnością, gracją w każdym poruszeniu, królewską prawdziwie postawą i była ideałem cnotliwej piękności. To samo mówi o Hipolicie, babce królowej Bony i wylicza pomiędzy jej zaletami wielkie wykształcenie, znakomitą wymowę, nieporównaną piękność obok uprzejmości. Na sławnym dworze w Pesaro podziwiano córkę księcia Aleksandra Sforzy, Battistę, także uczoną, także głośną z piękności.

Bona szczyliła się bezsprzecznie wszystkimi zaletami, które odziedziczyła po sławnych swego rodu kobietach. Wychowana starannie przez niepospolitą matkę, piękna, namiętna, mogła się stać jedną z pierwszych gwiazd pomiędzy księżniczkami Italji. Włochy wymagały czego innego, aniżeli Polska; niosły też z łatwością przebaczenie tam, gdzie północ piętno zbrodni wyciskała. Użycie trucizny było tak zwykłe w książęcych rodach półwyspu, że ręka truciicielki mogła z łatwością nosić ślubny pierścień najbardziej poważnego księcia; sprzedawanie urzędów, które tyle zgorszenia wywołało w Polsce, było podówczas narodowym prawie we Włoszech zwyczajem. Zresztą wyobrażenia o obowiązkach małżeństwa zupełnie były różne. „Włoskim mężatkom wolno do pewnego stopnia przyjmować zalecanki“ — mówi nasz Łukasz Górnicki. W Polsce małżeństwo jeszcze było święte, a kobieta wolniejszych obyczajów nie mogła być cierpiana w towarzystwie. Włoszki czytały powiastki Boccaccia, Polki — psalmy Dawida; Włoszki grały na lutni — Polki przedły jeszcze jak dawna Penelope i odchodziły od stołu, kiedy węgry zanadto zaczął mężczyznom dodawać animuszu. Tam dziwne połączenie wysokiej cywilizacji z występkami, do jakich tylko wzburzone namiętności doprowadzić mogą, tutaj patryarchalność i domowe cnoty.

Dodajmy do tego zupełnie inne wyobrażenie o powołaniu monarchów i o istocie rządu, jakie istniało w Polsce a jakie przynosiła z sobą Bona. Włoscy książęta to typy tyranów, to następcy syrakuskiego Dionizjusza, panujący dla siebie a nie dla ludu; podstęp, zdrada, morderstwo — wszystko dla nich dobre, byle prowadziło do umocnienia lub powiększenia władzy. Jakżeż te dążenia były przeciwne wyobrażeniom zacnego Zygmunta, który

odrzucał koronę dlatego, aby lepiej rządzić dotychczasowymi swymi poddanymi, który przynaglał syna, aby czem prędzej po śmierci Elżbiety austriackiej zwrócił jej posag Ferdynandowi, a dając nauki Władysławowi czeskiemu przekazywał mu, aby żył uczciwie, nie polował, ale myślał o sprawach państwa, uczt nie wyprawiał, ale spędzał wieczory na poważnej rozmowie z uczonymi ludźmi.

Na wstępie zaraz do Krakowa musiał się w duszy Bony wielki dokonywać przewrót wyobrażeń, a serce niemałe przechodziło walki. Oddalona o dwa do trzech miesięcy drogi od matki, do której prawdziwie była przywiązana, oddana starzejącemu się już mężowi, którego nie znała, wśród obcych zwyczajów i nowych ludzi musiała się zrazu czuć nieszczęśliwą i garnąć do siebie wszystko, co jej przypominało ojczyznę, otaczać się Włochami, których ze sobą przywiozła. Serce pozbyło się wcześniej wszelkich złudzeń, rozum i doradcy kazali się liczyć z rzeczywistością. O miłości dla męża, którego poznała dopiero po ślubie, o wiele od siebie starszego wdowca, nie było mowy — łatwo było jednak przywiązać się do niego i szczerą dlań powziąć szacunek.

W pierwszych siedmiu latach małżeństwa powiła Bona syna i cztery córki, otworzyło się więc szerokie koło obowiązków, powstał silny węzeł, łączący ją z przybraną ojczyzną. Zygmunt, zajęty w owych latach wojnami i podróżami na Litwę i do Prus, pozostawiał jej podczas swej nieobecności znaczny wpływ na rządy. Bona oko w oko spotykała się z zabiegami panów polskich, poznała słabość królewskiej ręki, poznała, że Zygmunt zanadto jest prawym człowiekiem, zanadto łagodnym charakterem, aby wzmocnić władzę. Bona miała już syna i myślała o jego następstwie: gwałtowny charakter i włoskie wyobrażenia nie mogły się pogodzić z istniejącym w Polsce porządkiem, despotyczna natura chciała silniejszej władzy, niż ta, która na każdym kroku z rąk się wysuwa.

Zwyczajna kobieta byłaby uległa lub zniechęciła się, widząc wielkie trudności do pokonania. Bona podjęła walkę w imię królewskiej potęgi i stanęła do boju z takim orężem, jakim ją walczyć nauczone. Gromadzić pieniądze, wykupywać dobra na własność dynastji, sprzedawać urzędy, aby z jednej strony skarb

zasilić, a z drugiej jednać ludzi sobie powolnych, urządzać w swych dobrach wzorową administrację i stawiać zamki, w którychby w razie danym można stawić opór szlachcie — to wyraźny program, przebijający się ze wszystkich jej czynności, program zresztą, którego wymyślać nie potrzebowała, bo wzrosła w nim od dzieciństwa i przywiozła go ze sobą do Polski. Podczas kokoszej wojny pisała do księdza Samuela Maciejowskiego: „Przywiązanie nasze ku J. K. Mości synowi naszemu i ku poddanym naszym — zmusza nas, abyśmy dobra królewskie wykupywali i zamki dla bezpieczeństwa poddanych naszych budowali — na co postanowiliśmy łożyć pieniądze i dostatki“.

Z wyjątkiem sprzedawania urzędów wchodził ten program w zamysły najznakomitszych monarchów i byłby przyniósł prawdziwy zaszczyt królowej Bonie, gdyby miał na celu podniesienie narodu, pośród którego ją losy postawiły, a nie ściśle dynastyczne korzyści.

Włosi XVI wieku nie znali ludzi uczciwych, niesprzedających; charakter narodowy, zepsuty cudzoziemskimi wpływami Hiszpanów, Niemców, Francuzów upadł zupełnie, a każdy Włoch wierzył tylko w siłę złota. Córka kondotjerów, którzy ze swoim żołdactwem walczyli raz z Rzymem, drugi raz przeciw papieżowi, raz z Rzeczpospolitą wenecką to znów stawali w szeregu jej nieprzyjaciół — nie mogła mieć innych wyobrażeń i złoto zdawało się jej owym środkiem, którym się nawet Katonów skłania do milczenia.

II.

Bona poznała świat zły, przewrotny, a zanadto lekceważąc dodatnią stronę człowieka, sądziła, że przekupstwem wszystkiego dokonać zdoła. Na tej zasadzie opierając się, w Polsce doprowadziła do tego, że po większej części miała po swojej stronie ludzi chciwych, intrygantów, krzykaczy bez znaczenia, którzy nie byli pewnymi sprzymierzeńcami, a wiele się przyczynili do zohydzenia jej zamiarów. Tarnowscy, Tomiccy, Maciejowscy nie wchodzili z nią w związki, a mając za sobą prawość i wielkie zasługi, jeszcze większego w kraju nabierali wzięcia, opierając się zamiarom królowej.

Wogóle ludzi znacznych pozyskać nie umiała. Dantyszkowi przeszkadzała w jego promocjach, a biedny poseł w Hiszpanji skarżył się, że chociażby tysiąc lat służył niewdzięcznej kobiecie, nie ochroniłoby go to przed jej pierwszym złości przystępem. Z Hozjuszem także nielepiej było. Gdy mu Zygmunt I polecił, aby ułożył list do cesarza w sprawie rozwodu Augusta, wymówił się Hozjusz odważnie, poczytując tę sprawę za niezgodną ze swoim stanem duchownym, równie jak z dobrem kraju i sławą królewskiego domu. Obraziła się tem królowa Bona, a nawet powiedziała: „Miałam go dotąd za trusią, teraz widzę, że zcicha pęk“. Nazywała go też ze zgryźliwością — niewiniątkiem. Tymczasem Krzycki, Gamrat, Zebrzydowski stali po stronie królowej. Pierwszy przynajmniej tyle, ile mu było potrzeba, gdy bowiem królowa nie uczyniła zadość jego ambicjom, wtedy gdzie mógł obmawiał ją, albo kąsał uszczypliwym wierszem i rzucał niemało złośliwych aluzyj do smoka Sforzów.

Głupi sprzymierzeńcy przywiązywali się do Bony, bo była umysłem despotycznym. Tak mówiono o Gamracie. Zebrzydowski wkońcu także się jej sprzeniewierzył, występując stanowczo przeciw jej wyjazdowi. Bona krzyczała na niego:

— Ty, ty! któryś biskupstwo kupił, sprzeciwiasz się, abym Polskę opuściła.

— Kupiłem, bo było na sprzedaż — odpowiedział biskup.

Z niepewnymi też albo mniej zaufanymi aljantami występowała Bona do walki. Mimo to zwycięstwo zrazu przy niej być się zdawało, gdyż starość króla dopomagała w osiągnięciu władzy, i znaczna część interesów państwa przeniosła się do jej kancelarji. Chwilowego powodzenia nie umiała jednak wyzyskać ku utrwaleniu swego wpływu i zyskaniu sobie stałych przyjaciół. Im dłużej owszem rządziła, tem więcej miała nieprzyjaciół.

Bona nienawidziła szlachtę, uważała ją za jedyną przeszkodę w dokonaniu swych zamiarów — nie dziw więc, że i szlachta żywiła ku niej niechęć, tem bardziej, że z zazdrością patrzyła na Włochów, rozsiadających się po krakowskim zamku.

Niemało też krwi napsuło wzbogacenie się Bony i zakupywanie ogromnych dóbr. Zręcznemi zabiegami umiała po śmierci książąt mazowieckich zabezpieczyć na Mazowszu swą oprawę, a później nie było prawie województwa, w któremby swoich



Nagrobek królowej Bony w kościele św. Mikołaja w Bari

włości nie miała. Wszędzie zaś wzorową zaprowadzała administrację, a dobra jej były solą w oku rozrzutnej szlachty. Pod względem gospodarskim bardzo wiele zrobiła dla Polski, wprowadzając bowiem w swe dobra ulepszony zarząd, korzystnie działała na sąsiednie włości. Gdy w r. 1544 na Litwie wielki głód panował, Bona w swoich dobrach pełne miała śpichrze, a zboże za wysoką cenę sprzedawała zamorskim kupcom. Chciwość jednak i egoizm nie pozwalały dobroczynnem otwarciem śpichrów zyskać sobie serca, a gdy jej chorąży żmudzki tę myśl poddawał, wyśmiała go prawie, nie pojmując dobrze zrozumianej dobroczynności.

Egoizm mnóstwo jej narobił nieprzyjaciół; taka odmowa rozdzielenia zboża w czasie głodu, albo prześladowanie dawnego swego ulubieńca, Odrowąża, za to, że śmiał się dopominać o posag swej żony, księżniczki mazowieckiej, zohydziły ją bardziej, aniżeli dziesięć sprzedanych urzędów. Nie mając serca, nie umiała, nikogo do siebie przywiązać, a wiernych sprzymierzeńców miała tak długo, jak długo spodziewali się od niej korzyści. Wszystkie jej czyny wypływały z rozumu, albo z ujemnych namiętności jak chciwość, gniew, zawiść — o szlachetnych porywach mowy u niej niema, ba, nawet mściwości, która w pewnych razach może do siebie pociągać, napróżnobyśmy u niej szukali. Każda z głośnych w dziejach kobiet: taka Katarzyna medycejska, taka Elżbieta angielska lub Izabella hiszpańska miała wiele namiętności dodatnich, które wspierały rozum i szczerych im zyskiwały zwolenników — od Bony odchodził każdy licząc zyski, które mu jej łaski przynoszą. Za młodu mogła uroczy wpływ wywierać swą pięknoscia, może Kmita był niejaki czas pod tym urokiem, ogień jednak najpiękniejszego nawet diamentu nie wznieci płomienia, gdyż zawsze zimny tylko kamień jest jego źródłem.

Znaczącem jest to, że dzieje nie przechowały nam śladu miłości, któraby miała wpływ na życie Bony. Pogłoski o stosunkach z Kmitą, z Firlejem, ba nawet podejrzewania, że z Gamratem łączyły ją niedozwolone węzły, mogą mieć w sobie cokolwiek prawdy, ale w żadnym razie nie można im przypisać takiego znaczenia, aby odsłaniały jakiś romans, stanowiący istotną część życia królowej. Sądzić zaś, że ze względu na szacunek dla

męża lub na moralne zasady nie była zdolna do wplecenia w swój żywot jakiejś awanturniczej karty, byłoby niesłuszne, bo królowa była Włoszką XVI wieku, w którym za wiarołomstwo nie palono kobiet na stosie.

Mimo więc nadzwyczaj żywej czynności, jaką Bona rozwijała w Polsce, mimo ogromnego wpływu, jaki miała na Zygmunto-wskie czasy i na ruch umysłowy — postaci jej zawsze brak reliefu, dodatnie wpływy bowiem, które jej przepisujemy, były właściwie skutkiem stojącej poza nią włoskiej cywilizacji, ujemne zaś strony kolorytowi nigdy ciepła nadać nie potrafią. Jeżeli Orzechowski na zaślubinach Augusta z Katarzyną mówi o Bonie, „że zwróciła nas od owej sarmackiej dzikości ku życiu obyczajowemu i to działała, że w ludzkości nie ustępuje Włochom, a w nauce Grekom“ — to przesadnej tej pochwały nie można odnosić do Bony, ale trzeba ją zwrócić do całej włoskiej cywilizacji XV i XVI wieku, która jeszcze przed Boną do Polski szukała przystępu, a za niej tylko ułatwione miała drogi. Włoska umiejętność jak gdzie indziej tak i do Polski byłaby się przedarła bez Bony, a chyba włoskich intryg i zepsucia bylibyśmy nie znali. Uczniowie padewscy i bolońscy roznosili światło — frau-cymer Bony zepsucie.

Rozum w postępowaniu to jeszcze jedyna nić w życiu Bony, którą z przyjemnością śledzić można, ale nie trzeba zapominać, że to rozum niewieści, nie kształtujący jeszcze samoistnego charakteru, któryby mógł się obejść bez innych szlachetnych podniet duchowych.

W czynnościach Bony znać wiele konsekwencji, przynajmniej w pierwszej połowie życia, dopóki, zerwawszy z synem, nie straciła z oczu całego celu swego poprzedniego działania, ale to działanie rozumu ciągle zniekształcają wysoki kobiecych słabostek, drażliwości, wybuchy gniewu, brak poczucia monar-szej godności, a nawet kaprysy nerwowej kobiety.

Zaledwie Bona trafnością planów wzbudziła wiarę w swój rozum, ale już jakąś drobną małością czyni się śmieszną. Nie mogąc u Zygmunta uzyskać, do czego dąży długo i pomyślnie, staje się nagle kapryśnicą, zapomina o przemądrze obmyślanych planach, płacze jak mieszcza, której mąż złocistej odmówił szaty. W takich chwilach staje się upartą, nieledwie nie tupie

nołą z gniewu, jak zepsute dziecko. W Kmicie ma najpotężniejszego sprzymierzeńca, a wszczyna z nim sąsiedzkie zatargi, niegodne królowej; chce jego pomocy, a pisze nań obelżywe słowa do przeciwników. Zwierza się ludziom, którzy nie zasługują na zaufanie, otacza się kobietami, przeciw którym zwróciła się opinia całej Polski. Panią Dzierzgowską, z domu Sobocką, znali wszyscy, jej stosunek z Gamratem oburzał szlachetniejsze umysły, a królowa miała tyle nieroztropności, że ją otwartą przyjaźnią zaszczycała, rzucając rękawicę znacnym a wpływowym matronom. Tam gdzie nią kieruje system, w którym wzrosła we Włoszech, tam gdzie ją w karbach trzymają ramy polityki Sforzów — tam jest konsekwentna, gdzie jednak wychodzi poza nałożone jej wychowaniem granice, gubi się łatwo, daje się powodować chwilowemu natchnieniu, staje się igraszką swych własnych namiętności.

Pełna narowów rwie się, gniewa, sieje niezgodę, zapominając, że w ten sposób oddała się od celu, a konsekwencja w głównych zamiarach nie przynosi owoców, jeżeli się do niej chce dojść nielogicznymi środkami. Stąd też nie wiecie się jej w Polsce. Pierwsze lata panowania zatruwa jej sprawa księstwa baryjskiego. Pełno pretendentów do tego kawałka ziemi, a Karol V ma być sędzią tam, gdzieby chętnie chciał być właścicielem. Pomimo to królowa oddaje się w tej mierze pod opieką Karola, ale gdy jej Dantyszek z Hiszpanji list napisze, jak trudno sprawę tę naprzód posunąć na hiszpańskim dworze, radaby zerwać wszystko, co już nawiązane, posyła do Franciszka I, aby z nim wejść w przyjaźń i dąży do koligacyj z francuskim dworem. Takie postępowanie jątrzy znów cesarza i tak się dzieje ciągle.

W domu chce Bona złamać szlachtę, gromadzi majątki, zawiera przyjaźnie i przymierza z magnatami, obsadza urzędy po swojej myśli, ale ogranicza się tylko do ujemnego działania, do przygotowania środków, nie stara się natomiast nic uczynić, coby utrwaliło stronnictwo, małemi może ofiarami przywiązało szlachtę, stwarzało ludzi stojących trwale przy koronie. Radaby dojść do silnych dynastycznych rządów, a nie stara się wychować rodów przywiązanych do dynastji.

Te same błędy odzywają się w wychowaniu syna. Chce

z niego zrobić potomka Sforzów, strzeże go, aby o ile możności daleki był od polskich wpływów, chce w nim wykształcić rozum, a zabić uczucie — a zapomina, że tak wstrętnych do tego używa środków, że sam syn musi wkońcu odstręczyć się od matki, musi pogardzać nią i nienawidzić. Radaby żeby syn był potężnym monarchą, a wychowuje go tak, że naród najgorzej poczyna wróżyć o młodzieńcu — stara się w nim wszelką zabić energję. Szczęśliwa gwiazda wyprowadziła Augusta z tego zgubnego prądu, którym mu kazała płynąć królowa, ale też zaprowadziła go zupełnie gdzie indziej, aniżeli tam, gdzie go pragnęła mieć matka.

Stąd rozczarowanie królowej, stąd zniechęcenie, stąd utrata wszelkiej myśli przewodniej. Od chwili, gdy Bona odstręczyła od siebie syna i na nieprzyjaznej z nim stanęła stopie, od tego czasu straciła wszelką rację bytu, a działanie jej jakkolwiek ruchliwe i gorączkowe mogło mieć tylko egoistyczne cele. Całą drugą połowę życia nie jest już królową, ale nerwową, rozgniewaną kobietą, która tak jest rozdrażniona, że działa pod wrażeniem chwili i nie ma dość trzeźwego sądu, aby widzieć, że działa często przeciwko własnym interesom. Podszepty włoskich zauszników, rady daleko patrzącego Pappacody znajdowały u niej wtedy tem chętniejsze przyjęcie, ile że w Polsce nikomu już nie wierzyła, a rady potrzebowała.

Można było powiedzieć o Bonie, że gdyby nie była drażliwą Włoszką, mogła być rozumną kobietą. Drażliwość jednak zastępowała serce, a rozum na takim zespoleniu niedobrze wychodził. Widząc, że się jej zamysły nie wiodą, traciła wiarę w siebie i szukała oparcia albo we włoskich zausznikach albo w zabobonie — we wróżbie. Dzisiaj zaledwie jesteśmy w stanie wyobrazić sobie potęgę zabobonu i dziwne połączenie z rozumem, w jakim występował. Najznakomitsi ludzie uważali wróżbiarstwo za najważniejsze źródło rad i ostrzeżeń. Karol V zostawił po sobie cały gabinet najróżnorodniejszych amuletów i kamieni, z których przepowiadał losy narodów; instrumentów, wskazujących mu, jak w danym razie ma postąpić, a przecież należał do najznakomitszych monarchów świata i do najrozumniejszych ludzi swego czasu. Trzeba chyba przypuszczać, że przesąd powolny był rozumowi i że woła ludzka mimowiednie tak zabo-

bonem kierowała, jak miała zamiar postąpić. Z Boną działo się podobnie, a odwar z macierzanki stosował się do widoków królowej.

III.

W postępowaniu królowej tak z Elżbietą austriacką, jak i z Barbarą przebija obok politycznych planów i widoków przede wszystkim złość świekry, a mamy wszelkie powody do mniemania, że gdyby August ożenił się był po jej myśli z francuską księżniczką, to tak samo jak dla Elżbiety, byłaby i dla niej najgorszą matką. Jeżeli Bona odmawia młodej królowej kawałka sera parmezańskiego, albo jeżeli intryguje, aby w Wielkopolsce przyjęto Barbarę paszkwilami, to nie czyni tego jako niechętna swej synowej królowa, ale jako złośliwa, kapryśna kobieta.

Tak Przeździecki, jak Bartoszewicz starali się udowodnić, że posądzenia, jakoby Bona otruła Elżbietę albo Barbarę, są zupełnie bezzasadne, gdyż obydwie królowe umarły naturalną śmiercią. Chętnie przyjmujemy te dowody, ale nie sądzimy, aby przez to Bona w jaśniejszym miała się ukazać świetle. Jeżeli ich nie otruła, to z pewnością tylko z tego powodu, że nie miała ku temu sposobności, albo że się obawiała złych następstw gwałtownego czynu. Na chęci ani na odwadze nie zbywało. Własne słowa Augusta najlepszym są tutaj dowodem. W niejednym liście pisanym do marszałka Radziwiłła, podejrzewa on matkę o chęć otrucia Barbary, a nawet jest tego pewny. Jeżeli przestrzega go, aby Barbarze pozwalano pić tylko z naczyń przezroczystych, w którychby łatwiej można było spostrzec truciznę, jeżeli pisze po uwięzieniu „Ozoga“: „Myśmy czarownicę królowej dostali; jest już u nas w klatce, śpiewa dosyć niemało rzeczy“, jeżeli potem opisuje, jak jadąc do Gomolina wdział rękawiczkę, aby go matka nie struła, to są to dostateczne dowody, że nie tylko obcy ludzie, ale własny syn uważał matkę za zdolną do podobnych czynów i że miał na to dowody.

Po śmierci Barbary Bona posyłała do Augusta swego sekretarza Montiego, namawiając go, aby pojął siostrę króla francuskiego. Odpowiedział jej na to, że trudno mu o tem myśleć,

bo miał już dwie żony i boi się, aby się z trzecią tak samo nie stało, jak z pierwszemi dwoma. Pisząc o tem do wojewody Radziwiłła, zakończył list słowami: „Wręcz nie wiemy, jak to połknie...“

Trucizna zresztą to tak zwykły środek u znakomitych Włozek XVI wieku, tak ugruntowany w zwyczajach, że raczej dziwilibyśmy się, gdyby Bona nie miała ochoty go używać, aniżeli że ją cały świat ówczesny o to posądzał, co jej Marsupin w oczy wyrzucał i o czem mówiono nietylko w Polsce, ale w Niemczech, w Czechach i na Węgrzech. Między ludem koło Gostynia jest do dziś podanie, że Bona w tamtejszym zamku osiadła na pokutę za otrucie Barbary, dobrowolnie, za namową Gamrata.

Tak w stosunkach z Elżbietą, jak z Barbarą, jak przy innych wielu sposobnościach okazuje się ta brzydka strona charakteru Bony, że korzystała zawsze z cudzej słabości, aby swą siłę okazać. „Dobrym sposobem — pisze Marsupin — z królową Boną nic zrobić się nie da; taką ma bowiem naturę, że im bardziej kto się przed nią upokorzy, tem bardziej ona hardziej; a tak zatwardziała chorobę ogniem tylko i żelazem leczyć można“.

Z drugiej strony nie miała tej dumy, aby się nie upokorzyła, gdy ją zwyciężono. Po najgorszej scenie z Marsupinem, prosi go, aby się wstawił za Izabellą do króla Ferdynanda, a gdy widzi, że nie przeszkodzi koronacji Barbary, posyła do niej swych dworzan z wyrazami pełnemi słodyczy, pomimo że w sercu zawsze ku niej żywi nieprzejednaną nienawiść. Nazywa Kmitę w listach „bezcelnym i niegodziwym człowiekiem“ a niebawem otacza go względami i obsypuje pochlebstwami, skoro tego interes wymaga.

Najwięcej sympatycznych stron charakteru Bony odsłania nam jej stosunek do córek. Wychowała je bardzo starannie i dała im na owe czasy nader gruntowne wykształcenie. Losami Izabelli szczerze się troszczyła, dopomagała jej do ostatniej chwili, a nie można nawet nie dostrzec pomiędzy matką a najstarszą córką pewnego węzła, wynikającego z wzajemnej ku sobie ufności. Kto wie, czy najważniejszym hamulcem, który ją wstrzymywał od otrucia Elżbiety, nie była obawa, że Ferdynand zemstę swą wyrze na królowej węgierskiej? Do niej pisze pierwszy list po śmierci małżonka, list pełen wyrazów serdeczności, z wiel-

kiem współczuciem przyjmuje ją w Krakowie po powrocie z Węgier, a pomimo że powrót ten wypada w czasach, kiedy ją największa opanowała chciwość, daje jej znaczne dobra, aby w swem sieroctwie miała przystojne utrzymanie. Izabella wreszcie jedyną jest z córek, która odprowadza matkę — królowa używa jej za tłumaczkę w rozmowie z Boratyńskim, zdaje się ufać, że córka z tej rozmowy nie wyniesie do niej żalu.

Wydanie zamąż młodych królewien szczerze jej na sercu leżało, kilkakrotnie wyrzucała Augustowi, że się za mało ich losem zajmuje, przywołała go nawet w tym celu do siebie do Gomolina. Na wszystkie strony we Włoszech i w Niemczech szukała ksiąząt, aby tylko starzejącym się już pannom los zapewnić. Obojętność pod tym względem Augusta niemało się także przyczyniła do oziębienia z nim stosunków. Królowne bardzo były do matki przywiązane, widać to nawet z listów już po jej śmierci pisanych. Przy pożegnaniu się z nią szczeremi zalewają się łzami, a nawzajem Bona pisze z Bari do Bruszwiku, ciesząc się z dobrego pożycia swej córki Zofji z mężem i żywo się jej losem zajmuje.

Nie można także utrzymywać, aby Bona złą była żoną; miała wprawdzie zupełnie inne polityczne dążenia i zapatrywania aniżeli Zygmunt, starała się swą wolę przeprowadzać i wtedy namową, płaczem, intrygami na niego działała, ale obok tego miała dlań wiele szacunku i przywiązania i zawsze wyrażała się z wielką czcią o małżonku. Nie znajdujemy też nigdy śladu dłuższych jakichś niesnasek pomiędzy królestwem, a jeżeli Bona nie mogła np. przeprowadzić nominacji Gamrata na kanclerza, to wyprawiła tylko królowi prawdziwie kobiecą scenę, przymawiała mu i biedny Zygmunt „niemało miał do wycierpienia od swojej Junony“ — ale koniec końcem sprzeczki te i nerwowe kaprysy nie miały głębszego wpływu na małżeńskie pożycie. Przyznają zresztą Bonie naoczni świadkowie, że jak tylko król zachorował, to go szczerem otaczała staraniem, a listy po jego śmierci pisane są dowodem prawdziwego żalu. Później królowa zawsze z czcią wspomina o małżonku i chętnieby widziała syna, obdarzonego temi samymi cnotami. Niestety, sama sobie była winna, jeżeli syn stracił do niej serce, jeżeli stał się dla niej zupełnie obcym człowiekiem.

Łzy u kobiety nie są wprawdzie serca dowodem, ale mogą być przynajmniej wskazówką usposobienia. Bona często płacze, najczęściej z gniewu, gdy Chojeński zostaje kanclerzem, gdy Marsupin mówi jej prawdę w oczy, rzadko wskutek smutnych zdarzeń, ale „zanosi się od płaczu“ na pogrzebie Gamrata. Ostry jej sędzia, ksiądz kanonik Górski i tym łzom niedowierza, a gdyby był wiedział o „łzach krokodylich“, z pewnością, nie omieszkałby zastosować tego porównania. Nie sądząc tak ostro jak ksiądz Górski, który pisząc o Bonie, pisze zawsze z żółcią, nie możemy nie przyznać, że Bona była zdolna przywiązywać się do ludzi i że dla Gamrata miała wiele przyjaźni. Gamrat też rzeczywiście wiernym był jej sprzymierzeńcem — co niemało ujmować musiało królowę, a nadto umiał jej zyskiwać przyjaciół. „Czepiała go się trzoda przedanych, których arcybiskup karmi mięsem i żarcikami, i przez nich pragnie dopiąć swoich i królowej zamysłów“.

Zbierając uwagi o charakterze Bony, musimy w jej życiu trzy wybitne rozróżnić epoki. Pierwszych kilkanaście lat pobytu w Polsce, to epoka dla niej najchlubniejsza, złe strony charakteru nie występują jeszcze z całą ostrością.

Królowa żyje w złudzeniu, że swoje plany przeprowadzić zdoła, że upokorzy szlachtę i przygotuje synowi potężną monarchję. Ma zresztą wiele powodzenia, król jej w niejednym ulega, na urzędach coraz więcej jej stronników, a chociaż potężna ręka Tomickiego w ważniejszych sprawach stoi jej na przeszkodzie, to przecież walka toczy się prawie równymi siłami, a przyszłość dla niej otwarta. Przytem w rodzinnem życiu wszystko idzie po myśli; królewicz daje się jej najzupełniej powodować, szlachta się wprawdzie sierdzi i radaby go wcześniej oddać pod kierunek polskiej ręki, ale królowa na te krzyki nie zważa i wychowuje go po swej myśli.

Po kokoszej wojnie położenie Bony niemało się zmienia. Królowa się przekonywa, że nietylko nie złamała szlachty, ale że cały naród jest jej zaciętym wrogiem i oskarża ją o rozdawanie godności i urzędów nikczemnym ludziom, o to że dopuszcza cudzoziemców z ujmą krajowców, że za polskie pieniądze dobra wykupuje i o wiele innych czynów przeciwnych dobru kraju. W dodatku król mimo oporu i płaczów Bony mianuje Chojeń-

skiego kancelrzem, podczas gdy Gamrat tak już jest pewnym swojej nominacji, że się podnosi w senacie, gdy Kmita w imieniu królewskim przemawia do nowego kanclerza.

— Siedźcie księżę biskupie, nie do was mowa — powiedział król do niego, a zawstydzony Gamrat usiadł, spostrzegłszy się, że mówią do Chojeńskiego.

Co więcej, ukochany syn, który we wszystkim dotąd słuchał matki i bez jej woli kroku nie uczynił, zaczyna rzucać wędzidło, zaczyna poznawać, że postępowanie matki nie we wszystkim zgadza się z dobrem kraju; zastanawia się nad jej intrygami i zaczyna dla niej tracić szacunek.

Bona z gorączkową czynnością rzuca się naprzód, aby odzyskać utracone pozycje, niepewni ludzie, pomiędzy którymi szukała sprzymierzeńców, najczęściej ją zawodzą, potężne przeciwnie stronnictwo grupuje się około księdza Samuela Maciejowskiego; walka toczy się zawzięta. W tej walce jednak Bona się zużywa, wady jej charakteru, porywczosć i drażliwość, coraz ostrzej występują i coraz bardziej oddalają cel, dla którego podjęła walkę: — szczęście i potęgę Augusta.

Małżeństwo syna z Elżbietą, trzecią w życiu Bony inauguruje epokę. Potężna kobieta zmienia się w potężną megerę, zerwawszy z Augustem traci wszelką moralną podstawę swych czynności; rzuca się, tysiączne robi wysilenia, aby się utrzymać przy władzy. Chciwość w niej szaleje — przygłusza wszelkie szlachetniejsze porywy. Włosi korzystają z tego chorobliwego już usposobienia królowej, aby ją namówić do powrotu i wywieźć z kraju majątki. Mówią jej, że w Polsce jej życie i mienie nie jest bezpieczne, że niewdzięczny syn ochraniać jej nie zechce. Bona przywiedziona do ostateczności sprawą Barbary, jeszcze bardziej się gniewa, gdy jej z Polski wypuścić nie chcą, skarży się „iż się jej gwałt dzieje od tego, którego w żywocie nosiła“, a Włosi jątrzą coraz bardziej; Pappacoda plany podsuwa.

— Nogębym jedną oddała, a drugąbym uciekła! — powtarza zmęczona tem wszystkim Bona i z gorączkowym pośpiechem jedzie do Włoch, zapominając w tym szale o obowiązkach dla córek, o pracy całego życia...

Zastanowienie przyszło aż na włoskiej ziemi, ale przyszło za późno. Pappacoda, straszny mściciel chciwości, stał już nad

nią z wzrokiem bazyliuszka. Bona chciała naprawić swe błędy tajemnie zdziałanym testamentem; książę Alba jednak dobrze zapłacił Pappacodę, a Włoch umiał jeszcze lepiej dotrzymać umowy.

Nikt nie zapłakał nad jej grobem — bo sama zapała się uczucia...



SPIS RZECZY.

I. Młoda królowa	1
II. Bunt gdański	16
III. Karły	30
IV. Diana di Cardona	66
V. Dworskie zabiegi	91
VI. Sprawa o ser parmezański	101
VII. Dzień Zmartwychwstania r. 1548	121
VIII. Ostatnia karta	132
IX. Dzieło Pappacody	169
X. Charakterystyka Bony	186

Nie pożyczaj się do

domu.

BIBLIOTEKA

UNIWERSYTECKA

Gdańsk

11348104